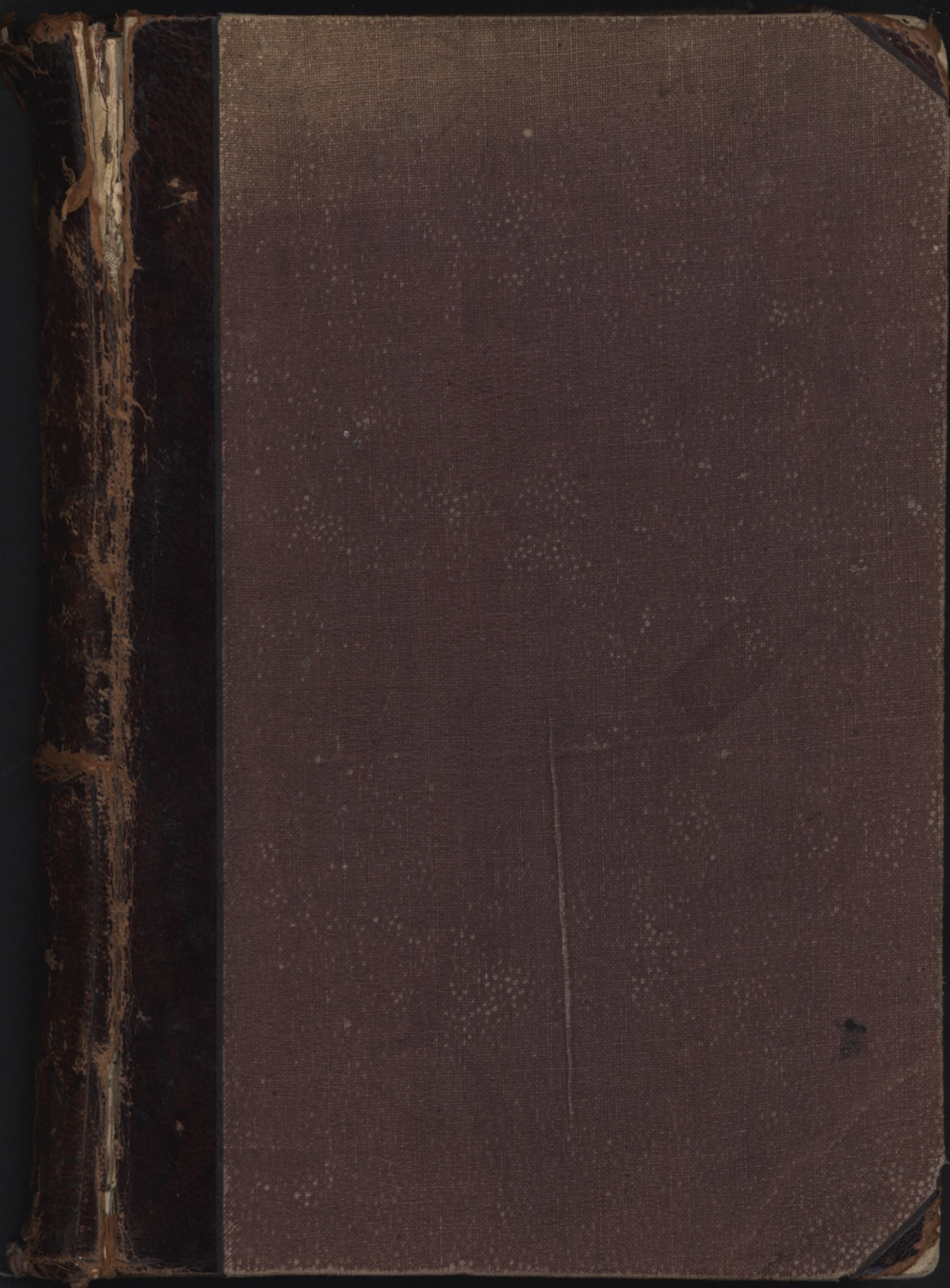




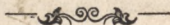
J. Sabyler

DZIEJE IDEAŁU.

POWIEŚĆ

PRZEZ

JANA ZACHARYASIEWICZA.



bn
h1
64
h4

WARSZAWA.

NAKŁADEM GEBETHNERA I WOLFFA.

—
1870.



101258

Дозволено Цензурою.

Варшава 16 Октября 1869 года.

I.

Z PODRÓŻNYCH NOTATEK NIEZNAJOMEGO.

Zakład gospodarczy w Salzmünde, który przed kilkoma dniami zwiedziłem, stał mi jeszcze żywo przed oczyma. Byłem smutny i dziwne jakieś rozrzewnienie opanowało serce moje. Uczucia tego nie umiem z niczem porównać. Może to była zazdrość, może żal, jakiego mimowoli doznajemy patrząc na szczęśliwszych od nas. Zaiste, dla Niemców inaczej ziemia rodzi, niżeli dla nas....

Mówią, że spokój wewnętrzny jest szczęściem. Na to jednak nie trzeba wychylać głowy poza kopce rodzinnéj wioski. Trzeba żyć w tém błogiém upojeniu, że jesteśmy rozumni, a to co nas otacza, jest tak doskonałe, że już doskonalszém być nie może!

Mam sąsiada, który już liczy lat ośmdziesiąt, a prócz wycieczek do powiatowego miasteczka, nigdzie ani krokiem się nie ruszył. W mieście powiatowém dają mu złą pieczeń na obiad, a że kucharz jego lepszą w domu sporządza, wyrobił sobie pocziwy pan Błażej to święte przekonanie, że u niego wszystko jest lepsze. Dodajmy jeszcze do tego, że nieliczne otoczenie pana Błażeja nie grzeszy bynajmniej ani rozumem, ani zbytniém wykształceniem: trudno więc, aby pan Błażej nie wierzył, że rozsądnieszego człowieka nad niego niema na całym świecie. Wiary téj i spokoju nikt mu nie odbierze. W tym względzie jeszcze przechodzi Chińczyka.

Drugi mój sąsiad był zupełnie innego zdania. Nie czuł się u siebie tak szczęśliwym, jak pan Błażej: próbował jednak być szczęśliwym we własnym domu. Rozwalił stary dwór, postawił pałacyk we włoskim guście, otoczył się służbą galonowaną, słowem robił co mógł, aby sobie stworzyć pańską atmosferę. W ciągu kilku lat sprzykrzyła mu się ta zabawka. Wyjechał za granicę i odtąd jest tego zdania, że człowiek dobrze urodzony i wychowany musi żyć za granicą, że w domu wszystko jest złe, zaczawszy od słońca które mglisto świeci, a skończywszy na ziemi, która nie rodzi wina szampańskiego.

Porównywając tych obu sąsiadów żał mi było, że nie mamy u siebie większej liczby takich, którzyby stali w pośrodku tych dwóch ludzi excentrycznych. A właśnie widok gospodarstwa w Salzmünde owionął mnie takim bolesnym uczuciem. W obec tego, co tam widziałem, jakże ubogą wydała mi się nasza praca! Jeżeli pracujemy, to pracujemy tak, że praca nasza bardzo mało nam się wynagradza. A jeżeli mamy jakie większe zasoby, to nie uważamy ich za środek do rozprzestrzenienia pracy, ale wyrzucamy pełną garścią na użycie, po którym z autentyczną pewnością musi nastąpić bankructwo.

Takimi myślami byłem zajęty, gdy pociąg nasz zbliżał się do granicy jakiegoś państwa niemieckiego. Towarzystwo moje zmieniło się tutaj zupełnie. Zamiast milczącego i poziewającego Anglika, usiadł naprzeciw mnie jakiś żywy rozmowny Niemiec. Za Niemcem przyszedł jeszcze kilku jego znajomych, a na samym ostatku wszedł do wagonu słusznego wzrostu mężczyzna o jasno blond włosach i wymownych niebieskich oczach, z dużą podróżną teką pod pachą.

Ruchliwy Niemiec rozpoczął natychmiast rozmowę ze mną. Mówiliśmy o tegoroczném winobranii, o francuzkich działach gwintowanych, marzeniach pruskich i podobnych rzeczach, które właśnie stały na porządku dziennym. Mieszali się i inni do téj rozmowy: było więc kilku przeciw jednemu. Zdania moje odmienne, nie miały najmniej-

szego widoku zwycięstwa. Musiałem całą rozmowę sprowadzić na przedmiot neutralny. A że jak powiedziałem gospodarstwo w Salzmünde stało mi ciągle przed oczyma, zacząłem więc rozprawiać z Niemcami w tój materji.

Nagadaliśmy się do syta. Dwóch Niemców usnęło, jeden wyłamał się z pod rygoru powszechnej dyskusji i zaczął czytać jakąś gazetę, a inny wysiadł gdzieś po drodze tak cicho, żeśmy jego ubytku nie spostrzegli.

Zostałem tylko na placu sam jeden. Towarzysz mój, jasny blondyn z teką pod pachą nie brał żadnego udziału w rozmowie. Oparł głowę o ścianę i zdawał się być zamysłonym.

Gdy w wagonie cisza nastała, milczący towarzysz, którego miałem za Anglika, zwrócił do mnie swoje wymowne niebieskie oczy, patrzył z uśmiechem na mnie czas niejaki, a potem ozwał się po polsku:

— Jeżeli się nie mylę, pan jesteś Polakiem. Akcent pana w rozmowie niemieckiej każe mi tak wnosić.

Ucieszyłem się niezmiernie tём odkryciem. Przyznam się, że język mój nie przyzwyczajony do niemczyzny, zmęczył się nie lada i gorąco pragnął odświeżyć siły swoje funkcją przyrodzoną. Prócz tego widok nieznanego blondyna miał dla mnie tyle sympatycznego pociągu, że radość moja była bez granic, gdym się dowiedział że jest moim rodakiem.

Teraz z większém zajęciem zacząłem mu się przypatrywać. Twarz jego nie miała tego spokojnego, apatycznego wyrazu, właściwego blondynom. Wybijało się z niej żywsze życie, któremu wtórowało błękitne, jasno świecące oko. Włosy miał jasnego koloru, bez widocznej pretensji, niedbale za uszy zarzucone. Mały, orzechowego koloru kapelusik jedwabny zdawał się unosić na tych włosach.

— Niezmiernie się cieszę, że w panu mogę powitać towarzysza — odpowiedziałem uradowany.

Przywitaliśmy się serdecznie, jakbyśmy już byli od wieków znajomi i zaprzyjaźnieni.

— Przyznam się panu—ozwał się po chwili mój towarzysz—że z wielką rozkoszą przysłuchiwałem się rozmowom, które prowadziłeś pan z swymi sąsiadami. Jakkolwiek po akcencie poznawałem rodaka, z różnych wniosków jednak zdawało mi się, że pan jesteś Holendrem!

— Holendrem? — zapytałem zadziwiony — dlaczego Holendrem?

— Bo pan apoteozowałeś gospodarstwo! — odparł z uśmiechem mój towarzysz. Słuchając pana, zdawałoby się, że oprócz olbrzymich buraków, dobrze utuczonych wieprzów i doskonałej fabryki sera, nie ma nic w świecie piękniejszego, idealniejszego, szczytniejszego!

Słowa te drasnęły mnie niemile. Żał mi było, że sympatya moja dla nieznanomego, którego w téj chwili wziąłem za próżniaka, po tych słowach znacznie ostygła. Nie kryłem się z tém wcale i odparłem:

— Nie wiem, z jakiego stanowiska zapatrujesz się pan na olbrzymie buraki, karmione wieprze i sery ementalskie. Ja skromny człowiek wiem, że wszystkie te trzy rzeczy są doskonałe, a jeszcze doskonalsze i smaczniejsze, jeśli je sami produkujemy. Zapatrywanie się podobne pańskiemu jest winą, że dzisiaj nie jesteśmy tém, czém być byliśmy powinni.

Towarzysz mój rozśmiał się właściwym jemu, napół smutnym uśmiechem.

— Bardzo się cieszę — rzekł po chwili — żem sprowadził rozmowę naszą odrazu na tak ciekawy punkt, z którego wiele rzeczy będziemy mogli obejrzeć..... Powiedz mi pan, czyś w podróży nic takiego nie ujrzał, coby godniej ten szlachetny zapach spotrzebować mogło? Czy gospodarstwo w Salzmünde....

— Zaraz się panu wytłumaczę. Wiesz pan zapewne, czém w dzisiejszych stosunkach międzynarodowych jest gospodarstwo krajowe. Czém dawniej było zbrojne rycerstwo, tém dzisiaj jest czujne gospodarstwo. Wieki podboju i zaboru nie przeminęły wcale, jak to mylnie w szkołach nas uczą,

ale trwają ciągle i tylko rodzaj broni zmieniono. Bronią jest dzisiaj praca, rozumna i nieustająca praca. Kto tu przegra, ten przegra wszystko.

— Dotąd we wszystkim się z panem zgadzam!

— Dlaczego zaś o gospodarstwie w Salzmünde z takim bałwochwalstwem mówiłem—i z tego się panu wytłumaczę. Widziałem kilka zakładów gospodarczych wzorowo założonych. Gospodarstwa te jednak są założone wielkim kapitałem. Stworzyli je ludzie majątni. Zakład zaś gospodarczy w Salzmünde jest dziełem jednego, biednego, lecz rozumnie pracowitego człowieka! Ojciec zostawił mu młyn niezdarne, kilka morgów ziemi i dwieście czy trzysta talarów. Dzisiaj ten człowiek ma *miliony*, stał się ojcem wielkiej rodziny robotników, założył dla niej szkoły i kasy pożyczkowe, słowem jest osiłą, około której krążą bajeczne kapitały i tysiące biednych, których żywi i odziewa!...

Towarzysz mój na te słowa zdjął kapelusz i ozwał się z uśmiechem sympatycznym:

— Pokłon, najniższy pokłon takiemu człowiekowi. Obyśmy takich ludzi mieli jak najwięcej!

— I dlaczegoż uniesienie moje nad gospodarstwem w Salzmünde pierwój tak pana zadziwiło?—zapytałem.

Nieznajomy mój towarzysz pomilczał chwilę, uśmiechnął się sam do siebie i odparł:

— Z tém coś mi pan powiedział, zupełnie się zgadzam. Mógłbym nawet od pana iść jeszcze dalej: rozsądne a pracowite gospodarstwo w ziemi, pomieściłbym między dogmatami religii... Ale nie trzeba zapominać, że dobry byt nie jest ostatecznym celem społeczeństwa, ale środkiem tylko jego wyższych interesów!

— Tego przecie nigdy nie przeczyłem!—odpowiedziałem szybko.

— Bo my, ciągnął dalej mój towarzysz—stawiamy się zawsze na skrajnych stanowiskach. Nie umiemy nigdy różnych potrzeb naszego społeczeństwa pogodzić razem.

Rzucamy się z zapalem w jedną albo w drugą stronę, a przecież każda prawda stoi w pośrodku!

— Nie wiem, do czego pan w szczególności zmierza?— odpowiedziałem po niejakiem namyśle.

— Zmierzam poprostu do tego—odparł mój towarzysz z większym ogniem—że byt materyalny jest nader ważnym warunkiem każdego społeczeństwa, jest podstawą jego istnienia. Ale jak fundament i podstawa budującego się pałacu, nie jest jeszcze pałacem; tak samo i byt materyalny nie stanowi jeszcze społeczeństwa. Znamy ludy i ludki opływające w dostatkach materyalnych, zarobione w ziemi z wielką korzyścią... ależ jakie lichy widzimy tam społeczeństwo! Człowiek u nich nie jest niczem innem nad to, czem jest pszczoła w swojej gromadzie. Robić, zbierać a potem jeść, to ich hasło. Człowiek takiego społeczeństwa jest tylko lepiej wychowanem, udoskonalonem zwierzęciem, a samo społeczeństwo niczem innem, jak rojem pszczoł, stadem baranów lub gromadą innych zwierząt.

— Pan zgadzałeś się pierwój ze mną—odpowiedziałem żartobliwie—teraz ja z panem zupełnie się zgadzam. Czekam jednak, czem pan zakończy tę wycieczkę na biednych, pocziwych rolników?

Po chwili mówił mój towarzysz dalej:

— Jakkolwiek byt materyalny do pierwszorzędných prac należy, nie powinniśmy jednak stawiać go jak złotego cielca na tronie i bić przed nim pokłony. Dobry byt materyalny jest produktem egoizmu ludzkiego, a jako taki jest przyrodzonem pragnieniem każdego człowieka. Powinniśmy nim rozsądnje kierować, a nie sławić go ustawicznie, robiąc z niego ostateczny cel społeczeństwa, jak to naprzykład widzimy dzisiaj u niektórych, nawet u wielkich narodów! Jutro okaże się, że to była droga fałszywa i zgubna!

Dalsza podróż zesła nam na wzajemnych zwierzeniach, które były dla nas korzyścią obopólną.

Aby nam tych kilka chwil jeszcze milój uprzyjemnić, wyniósł się na pierwszej stacyi trzeci nasz towarzysz, i zostawił nas samych.

Rozkoszą jest dla mnie widzieć zapał młodych adeptów sztuki lub literatury. Z czystym ogniem, z całym zasobem młodości, przystępujący młodzian do téj twardej, a tak mało korzystnej pracy jest zawsze dla mnie przedmiotem uwielbienia. W jego marzącem oku widzę naprzód przyszłe losy jego; widzę jak to oko nieraz z smutku i osamotnienia gorzko zapłaczę, jak te usta ścisną się bólem nad przewrotnością i złością ludzką... widzę jak na tych młodych skroniach osiedzie kiedyś ostra, cierniowa korona; ale mimo to wszystko widzę także w około téj korony cierniowej jasno rysującą się aureolę, która tylu ciemnym przyświecać będzie nawet wtedy, gdy ta stroskana głowa wraz z tą koroną cierniową zniknie na zawsze!...

Wszystko to jednak wtedy tylko widzę, jeśli młody adept do obranej pracy wnosi prawdziwą miłość i zapał szlachetny, co z każdym dniem rzadszém się staje. Dzisiaj młody pracownik zaczyna najczęściej od niesumiennych podjazdów, od walki bezimiennój, od poniewierki tego, co jest przed nim. Żółć, zgryźliwość, niesmak, ironia cechują wszystkie jego słowa. Widać w tém jakąś starość przedwczesną, która szamoce się i złości w niemocy swojej. Tacy ludzie nic nie robią, nic nie postawią, tylko utrudniają wzrost tego, co rośnie mimo ich złości.

To też wielce cieszyłem się z poznania mego towarzysza, który prawie dosięgł mego ideału. Widziałem wykształcenie wszechstronne, tak nader rzadkie u dzisiejszych artystów, i skromność wielką, ową oznakę prawdziwego talentu.

Młodzi artyści czy poeci błędzą w tém powszechnie, że od społeczeństwa wymagają takiej czci i takiego szacunku, jakiby im się należał, gdyby to wszystko, co mają

w swoich głowach i planach, stało się już dziełem widomém. Tymczasem społeczeństwo nie o tych tajemnych skarbach schowanych pod bujnym zarostem długich włosów nie wie i widzi tylko przed sobą młodych, jak wielu utrzymuje, próżniaków. Ztąd między przyszłym geniuszem a obecném społeczeństwem wyradza się dziwny, anormalny stosunek. Zapoznają się wzajemnie, i obrzucają się błotem. Poeta zaczyna pozować *à la Byron* lub *à la Heyne*, pluje żółcią na cały boży świat, a świat zatyka sobie uszy bawełną i z uśmiechem przechodzi mimo niego, nie widząc i nie słysząc go!...

Młody mój towarzysz inną pójdzie drogą. W duszy jego widzę wiele śmiałych marzeń, ale marzenia te kryje przed światem i nie żąda od niego, aby według tych dobrych chęci jego już go sądzono. Czy te marzenia swoje kiedy osiągnie? Nie wiem. Patrzałem już nieraz jak się rozbijały podobne marzenia. Jednym do wyższego lotu nie stało siły, drugich zdruzgotał piorun, który się nagle wkoło nich zapalił; a widziałem i takich, którzy pchnięci z góry przez drapieżnego sokoła, zwicznęli skrzydła swoje i kalekami po ziemi chodzili.

Ciekawy jest zawsze bieg życia człowieka, żyjącego naraz w dwóch odrębnych światach, które napozór wzajemnie negować się zdają. A przecież między temi dwoma światami jest silna spójnia, bez której żaden z nich z osobna istniećby nie mógł. To zaś, co dostrzegamy na niekorzyść téj wzajemnej spójni, jest tylko zboczeniem z jednej lub drugiej strony, za co zaraz nieprzebiegana następuje kara.

— Więc poświęcasz się mój bracie malarstwu — rzekłem do mego towarzysza po jakimś czasie—powiedz mi, czém według twego zdania, ta sztuka być powinna?

— Nie przesądzając wcale innym odcieniom téj sztuki, —mówił zarumieniony mój towarzysz—zdaje mi się, że ta, której cały poświęcam się dzisiaj, powinna mówić, wiele i wyraźnie mówić. Jedna bawioko, druga rozbudza wyo-

braźnią, a moja będzie przemawiać głośno do tego, który na nią patrzy!

— Nie mogę dobrze pojąć, o co właściwie ci chodzi!

— Wracam właśnie z Paryża i tam widziałem na własne oczy, czém sztuka jest dla społeczeństwa. W szerokich salach Luwru i Wersalu widziałem masy ludu, jak stały z twarzami zarumienionymi przed obrazami mistrzów swoich. Nie wiem czy która katedra Sorbony wychowała tyle szlache-tnych bohaterów, ile wykołysały te ponure płótna z tą mową czarodziejską!... Widziałem grupę prostych żołnie-rzy, jak patrzali na obraz Verneta przedstawiający bitwę w pustyni afrykańskiej... widziałem żuawa stojącego przed płótnem olbrzymiém Ivona, na którém wylatywały w powie-trze mury twierdzy, a wśród tych zwalisk stał blady i krwią zbaczony zwycięzca... Dość było widzieć tego żuawa: był to największy tryumf sztuki!...

— Mówisz bracie o malarstwie dziejowém.

— Nie, tego, co mówisz, nie mogę włożyć w tak ciasne ramki. Może być ono dziejowém i niekoniecznie dziejo-wém, ale musi przemawiać, wstrząsać, sposobić ducha ludz-kiego do wielkich, pięknych czynów, słowem powinno mieć silny, donośny głos, który gnuśnych budzi, a czuwającym zasnąć nie pozwala!

— Bardzo szczerne dajesz stanowisko sztuce! — zauwa-żyłem zatopiony we własnych myślach.

— Nie lubię sztuki, która jest zabawką i bawi oko wyszukaną kombinacją światła i cienia lub ustawieniem grup nic nie mówiących!

— Gra twoja jest wielka, — odpowiedziałem po chwili — ale na taką grę trzeba bardzo wiele postawić!

— Stawiam wszystko co mam — rzekł z zapalem i pokraśniał cały na twarzy.

W téj chwili zatrzymał się pociąg a konduktor zawołał:

— Homburg!

Towarzysz mój zabierał się do opuszczenia mnie.

— Czy tu jest cel twój podróży? — zapytałem zdziwiony. Zarumienił się, spuścił oczy i odparł:

— Tym razem tu jest cel mojej podróży.

Widziałem jego zakłopotanie. Weszliśmy już w serdeczniejszy stosunek z sobą. Widziałem jak walczył z sobą. Nie chciał, aby został na nim jakiś cień podejrzenia o lekko-myślność, a z drugiej strony nie mógł odważyć się na wypowiedzenie prawdy. Wreszcie przemogło lepsze dla mnie uczucie. Nieśmiało ozwał się:

— Nie chciéj mieć o mnie tak fatalnego wyobrażenia jakie mimo woli natrąca to słowo „Homburg“! Ruleta tutejsza nie jest celem mojej podróży. Tak zwodniczej fortunie nie powierzyłbym nigdy szczęścia mego. Mam to przekonanie, że wszyscy ci, którzy tutaj po szczęście przychodzą, już je w drodze *utracili!*

— Bardzo słusznie mówisz — odpowiedziałem — jednak...

— Jednak dziwi cię, co tu robić będę! Otóż muszę się wypowiedzieć przed tobą, bo inaczej trudno mi wykręcić się łatwym kosztem z tego podejrzenia. Jest nas dwóch braci. Po rodzicach wzięliśmy nader skromną puściznę. Ja rozłożyłem ją sobie na kilka lat pracy, mój brat próbuje szczęścia w ruletę! Jadę właśnie do niego, bo słyszałem, że coś mu bardzo źle gra poszła.

Ta szczerza spowiedź nowego mego przyjaciela, wkładała na mnie pewne obowiązki! Zresztą dziwne usposobienie tych dwóch braci tak mnie zainteresowało, że postanowiłem wysiaść w Homburgu. W wyobraźni mojej widziałem już tego nieszczęśliwego gracza z włosem rozczochranym, z rozpaczą na czole a rewolwerem w ręku... tak, jak zazwyczaj kończą podobni ludzie.

Kto widział giełdę w Paryżu podczas fluktuacyi politycznych, temu barwy Homburga nie wydadzą się tak jaskrawe jak są niemi w istocie. Więcéj tylko uzupełnia

się tutaj obraz. Zaraz obok akcyi, widzimy skutki. Co kilkanaście kroków obaczysz bladego człowieka z oczami głęboko wpadniętymi; z włosiem rozczochranym na głowie. Pierwszy lepszy posługacz opowie ci krótkie jego dzieje. Poprostu stracił, przegrał wszystko co miał.

Tysiączne i tysiączne postacie przechodzą ci przed oczy, a każda z nich jest chodzącą powieścią. Gdybyś chciał każdą zbadać, dowiedziałbyś się, że każda z nich miała jakieś dziwne powody, które ją popchnęły na tę występłą drogę. Jest to nieprzebrane studyum ludzi i urzędzeń społecznych.

Na dzisiaj jednak więcej zajęty byłem moim towarzyszem.

Po małym wypoczynku weszliśmy do sali. Koło fortuny kręciło się z dziwnym jakimś szelestem. Jeśli dobrze tego przyrównania użyję, szelest ten podobny wydał mi się do poświstu miecza, ścinającego głowę ofierze....

Miedzy niezliczoną liczbą osób, cisnących się do zakłętego koła, wpadły mi na pierwszym planie w oczy dwie osoby. Jedną z nich była kobieta niepośledniej urody. Wystrojona była wykwintnie. Zdaje się, że na jój strój składały się najznakomitsze magazyny bulwarów włoskich w Paryżu. Nie było tam żadnego fałszu, żadnej imitacyi, prócz.... prócz może, samój osoby. Na pierwszy rzut oka wyglądała na księżniczkę z rodu. Rączkę miała drobnutką, jak Kleopatry, oczy jak dwa turkusy na szabli sułtańskiej, a białe ząbki tak pięknej emaliowanej białości jak perły korony hiszpańskiej.

Stała przy stole oparta na zgrabnej parasolce. Przed nią na rubryce: *pair et rouge* leżało kilka błękitnych papierków francuzkich. Jój oczy patrzyły spokojnie na krążące koło, usta uśmiechały się, zapewne z przyzwyczajenia, zalotnie.

— Zgadnij—rzekłem do mego towarzysza—ile stawia ta kobieta w stosunku do swoich zasobów?

Towarzysz mój spojrzał na nią z uwagą i zatrzymał się dłuższy czas przy grze jój fizyognomii.

— Zdaje mi się — odparł po chwili — że nie wiele ceni stawkę swoją!

— Masz słuszość — odpowiedziałem — bo ona już dawno wszystko przegrała! Szczęśliwa, dzisiaj nie wie jeszcze o tém, ale patrz ile tam rózu i bielidła potrzeba już do podtrzymania uciekających wdzięków. Wiedzioną instynktem chce się ratować przed smutną przyszłością tą grą hazardowną.....

Obok niój stał mężczyzna z czołem zmarszczoném i pilnie śledził obracające się koło. Niepokój malował się na jego twarzy. Zdawało się, że leżący przed nim papierek nie był mu tak wcale obojętnym....

— To mój brat! — rzekł mój towarzysz i westchnął skrycie.

— Brat twój? — powtórzyłem z zadziwieniem — dlaczegoż nie witasz się z nim?

— Na nic nie przyda się w téj chwili witanie moje! — Patrz jak cały grą zajęty. Ręczę ci, że w téj chwili nie poznałby mnie nawet! Doświadczyłem już tego w Wiesbaden!

Smutek ogarnął mnie na widok tego dziwnego szалу. Koło rulety zwalniało swój bieg, a na twarzach patrzących tém większy malował się niepokój.

Wreszcie zawołał krupier: *Noir impair!*

Kleopatra przegrała i lekko zarumieniała się, brat mego towarzysza przegrał także i dziko potoczył okiem dokoła. Sięgnął do kieszeni, ale w kieszeni nic nie znalazł. Wreszcie spostrzegł brata.

— Stefanie! — krzyknął przyskakując do niego — daj mi sto franków, bo teraz wygram!

Takie było przywitanie brata. Żadnego innego nie miał dla niego słowa, żadnego uścisku. A brat ten z daleka przyjechał do niego, aby go odwiedzić, uściskać i ucałować!...

Zawstydził się pocziwy Stefan. Przytrzymał brata za rękę i ze mną zapoznał. Trzecia osoba zmieniła postać rze-

czy. Potrzeba było choćby z grzeczności coś przemówić, na coś odpowiedzieć i czegoś wysłuchać. Powoli przyszedł nie-szczęśliwy gracz do siebie.

— Cóż ty Stefanie—zapytał po niejakiem czasie—czy ciągle marzysz o laurach artysty?

Nie czekając jednak na to odpowiedzi zwrócił się do mnie i rzekł:

— Nie prawda, panie—że Stefan gra w grę hazardową? On stawia za wiele....

Dziwny uśmiech przeszedł po twarzy Stefana. Chciał się nawet serdecznie rozśmiać na ten dziwny morał brata swego, który właśnie zgrał się do koszuli, gdy mu nagle przerwałem:

— Niezawodnie—Stefan bardzo wiele stawia, a może więcej od pana!

Nie dopowiedziałem jednak całej myśli mojej; wiem bowiem z doświadczenia, że w ruletę można tylko to stawiać i stracić, co człowiek ma, a w położeniu Stefana stawia się często to, czego się nie ma!...

*Wrzesień 185**

Trzy lata później.

II.

SIOSTRA DO SIOSTRY.

*Drezno, listopad 185**

Jesteśmy więc, kochana siostro, od kilku tygodni w Dreźnie, czyli, jak mówią Sasi, we Florencyi nadelbiańskiej. Jowita nie przeczuwa jeszcze naszych planów. Wprawdzie zaraz z początku zatrwożyła mnie swoim zapytaniem. Myślałam, że już wszystko odgadła, a w takim razie znasz jej dziwaczne usposobienie. Przeszło jednak jakoś.

Towarzystwo tutejsze urządziło wycieczkę na statku parowym. Pani Kazimierzowa zaprosiła i nas, chociaż jeszcze nie poczyniłyśmy wszystkich wizyt. Jowita jak spostrzegałam, wielce się podoba. Wielu młodych ludzi otaczało ją przez całą podróż. Zdaje się że do wdzięków naszej siostrzeniczki przyczyniła się także i wieść dziwna o bajecznych, prawdziwie ukraińskich cyfrach jej posagu. Kilka szanownych matron pytało się już mnie o wyjaśnienie. Byłam dyplomata. Uśmiechałam się, nie przyznawałam, ani też nie przeczyłam. Zdaje się że nie popełniam grzechu śmiertelnego, jeżeli Jowity nie pozbawiam tych bezskutecznych hołdów, które mogą dla niej być rozrywką. A jeżeli wyrządzam tém krzywdę jej adoratorom, to na to sowiec sobie zasłużyli.

Otóż po téj przejażdżce na Elbie i po tych licznych adoracyach tutejszój młodzieży naszój, wróciłyśmy późnym wieczorem do domu. Przyznam się, że z tego niejako pierwszego wystąpienia Jowity byłam mocno zadowolona. Wprawdzie nie było między nami tego, o którym wiesz; ale uważałam to niejako za próbę, o ile Jowita podobać się może. Skutek przeszedł moje oczekiwanie. I mnie nawet, mimo że już piąty krzyżyk się zbliża, dostało się sporo kadzidła.

Cieszyłam się i tém kadzidłem, odnosząc je do Jowity, lecz mocno byłam zdziwioną, gdy wróciwszy do domu, ujrzałam Jowitę z temi trzema fałdzikami na czole, z którými wprawdzie jest jēj tak ładnie, ale które nieraz dały nam się we znaki, jak o tém sama wiesz najlepiej.

Zrazu nie chciałam zwracać na to uwagi myśląc że te fałdziki rozsuną się same z siebie; to jednak wcale nie nastąpiło. Przez cały czas herbaty siedziała strasznie zamyślona. W głowie jēj gotowały się jakieś strzałki piorunowe, które dla nas były tém straszniejsze, że kończyły się zawsze płaczem i kurczem spazmatycznym.

Daremnie szukałam powodu tego szczególnego niezadowolenia Jowity. Na statku parowym nic się takiego nie stało, coby ją zmartwić lub jēj ubliżyć mogło. Byłam zawsze przy niěj. Słyszałam jak rozmawiała z otaczającą ją młodzieżą. Żaden z nich nie poważył się żadném słówkiem jēj ubliżyć. Wszak wiesz dobrze jak wygląda Jowita z tém czołem graniastém, gdy jeszcze brwi podniesie do góry. W samėj rzeczy masz słusność że podobna jest wtedy do gromowładnego Jowisza, do którego zbliżyć się niepodobna.... A Jowita więcj niżeli kiedy indziej była wtedy podobną do swego imiennika pogańskiego.... Nawet dowcipkujący zawsze pan Zenon musiał niczego tam do niěj przemawiać.

Po herbacie chciałam te błyski, które uieustannie pojawiały się na czole Jowity, nie szkodliwie zażegnać dobrém, przyjazném słowem, które jak wiesz wiele znaczy u niěj: gdy nagle zadziwiła mnie zapytaniem:

— Kochana ciociu!—rzekła do mnie z nienacka —proszę o szczerą i otwartą odpowiedź: po co my tutaj przyjechały?

Wyobraź sobie, jak wielce przstraszyło mnie to zapytanie. Widziałam już wszystkie nasze plany udaremnione. Myślałam, że który z młodzieży domyśliwszy się naszych zamiarów, szepnął ję jakie słówko, które oczywiście w takim razie każdą kobietę niepospolicie gniewa, chociażby sama dążyła do podobnego celu. Cóż dopiero mówić o Jowicie, która o niczem nie wie i najmniejszego nawet nie miała do tego podejrzenia?

Wprawdzie ten, dla którego właściwie tutaj przyjechaliśmy, nie jest tutaj i także o zamiarach naszych nic nie wie, złe jednak jakieś przeczucie mówiło mi, że jakiś zły duch podsłuchiwał zapewne nasze myśli i marzenia i do ucha Jowity je zaniósł. Tak przynajmniej wnosiłam z tego zapytania Jowity.

— I zkąd ci się wzięło takie zapytanie, droga Jociu — rzekłam przestraszona.

Jocia wytrzymała mnie niejaki czas w tój bolesnej niepewności, a potem drżącym głosem odpowiedziała:

— Mnie się zdaje, że mnie ciocia przywiozła tutaj jakby na wystawę. Kupcy oglądają mnie, a w spojrzeniu cioci czytam zapytanie: kto da więcej!

Odetchnęłam wolniej po tych słowach. Z chmury piorunnej spadł tylko mały, rzęsy deszczyk. Jocia zaczęła płakać, jak to jest ję zwyczajem, gdy przychodzi w styczność z światem. Wyobraża bowiem sobie, że świat inaczej ją ceni, niżeli jest w stanie, że przykłada do niej miarę zwyczajnej kobiety, kiedy ona chce być nieco wyższą nad poziom zwykłych śmiertelniczek.

Biędne dziecię! Ona nie wie jeszcze, że marzeń wszystkich nie można wcielić w życie! Dosyć już dla nas szczęścia, jeśli choć mała isierka z nich gdzieś się zatli!....

Mam jednak nadzieję, że to wszystko z czasem przemienie. Jowita ma rok dwudziesty, a chociaż co do siły marzeń

nie przechodzi jeszcze po za rok piętnasty, jest jednak już na drodze pogodzenia się z rzeczywistością. Wprawdzie kompromis ten będzie ją więcej kosztował, niż którąkolwiek inną jej towarzyszkę, ale za to ręczę za jej szczęście. Są kobiety, które nie mogą i nie umieją być nieszczęśliwymi. Jeżeli im gdzie szczęścia zabraknie, to je sobie tworzą: do tych kobiet należy Jowita.

Słowa jej, które do mnie wymówiła, dały mi tę otuchę, że jakkolwiek bolesnym jest dla niej to pierwsze zetknięcie się ze światem i do tego jeszcze z światem dzisiejszym, który najczęściej młodą dziewczę ocenia tylko według jej posagu, zamysły jednak nasze były dla niej jeszcze zupełnie ukryte. Inaczej nicby mi nie pozostało, jak czémprędzej wrócić z nią w nasze ustronie, gdzieby znowu zatopiła się w admiracyą pięknych widoków i odnowiła dawne związki z naszą dziką bezbarwną naturą, w której ona widzi tyle uroku i tyle tajemnic!

Uścisnęłam ją więc jak dziecko niesprawiedliwie rozdane i rzekłam do niej:

— Uchowaj Boże, droga Jociu — abym tu ciebie jakby na targ jaki wyprowadziła! Żadna podobna myśl nie powstała we mnie. Przyjechałyśmy po prostu, aby się trochę w świecie rozerwać, czegoś więcej się nauczyć, np. przy tych skarbach sztuki, jakie właśnie to miasto posiada. Wiesz przecie, że galerya tutejsza należy do najznakomitszych w całej Europie!... A sama nieraz mówiłaś dawniej, że dzieła sztuki kształcą umysł i serce...

Uśmiechnęła się do mnie przez łzy, ucałowała mi rękę i odpowiedziała:

— Dobrze więc, kochana ciociu, starajmy się więc o towarzystwo sztuki, a nie wyłącznie o takie, w jakim dzisiaj byłyśmy. Gdy na pokładzie statku stałam a tutejsza młodzież nasza mnie lustrowała, widziałam w spojrzeniu cioci jakieś zadowolenie, jakbym stała na targu publicznym. Opowiadanie jednego z nich o jakiejś Melanii przekonało mnie że każda panna prawie, która tutaj przyjeżdża, ściąga

na siebie] podejrzenie, że przyjeżdża w celach matrymonialnych!

— Cóż w tém dziwnego—odpowiedziałam—jeśli ludzie dla łatwiejszego zaznajomienia się schodzą się w jakim miejscu?

— W tém nie ma wprawdzie nic dziwnego—rzekła po krótkim namyśle Jocia—ale światu złośliwemu nie powinniśmy nigdy dać pozorów, aby źle o nas sądził. Przypominam sobie, że panna Pelagia przez trzy lata do Drezna jeździła i za każdym powrotem z rozpromienioną twarzą opowiadała mi, jak się wybornie bawiła! W jej słowach nie spostrzegłam najmniejszego śladu jakichś zawodów, doznanych z powodu téj podróży. A wczoraj jakiś młodzik mówił do drugiego: „Panna Pelagia na trzy zawody przyjeżdżała tutaj po męża i trzy razy wracała sama, bez towarzysza!”...

— Podobne złe dowcipy młokosów nie powinny cię obchodzić.

— Jutro pójdziemy do galeryi, po jutrze także i tak dalej...—już nieco weselej szczebiotała Jowita.

— Dobrze, moje dziecię; będziemy tam codziennie!—odpowiedziałam całując ją w czoło.

Ściskam cię serdecznie.

III.

Początek grudnia.

Za list twój, droga siostró, i za rady twoje wdzięczną ci jestem. Widzę z nich, że również jak ja życzysz dobrze biédnej sierocie. Bądź pewną, że niczego nie zaniedbam, aby jój szczęście utrwalić. Wiadomość o jój dosyć znacznym posagu, rozchodzi się pomiędzy tutejszą młodzieżą naszą. Z tego powodu mam nie mało kłopotu. Młodzi i starzy, dobrze zagospodarowani i bankruci cisną się do nas wszystkiemi szparami. Wiele rzeczy nawet muszę ukrywać przed Jocią, bo inaczéj taki sekret kosztowałby ją wiele łez!

Ale co na to powiesz, pana Alfreda dotąd jeszcze nie ma! Jest w Paryżu i dobrze się tam bawi. Stryjenka jego pani marszałkowa, już go uwiadomiła o naszym przyjeździe przed trzema tygodniami. Dotąd jednak nie raczył sobie nas przypomnieć. Ale nie ma się co dziwić temu. Dla takiego jak on człowieka, stoi cały świat otworem. Młody, bogacz i czegoż dzisiaj chcieć więcej? Paryż dla takich ludzi ma zbyt wiele ponęty... zresztą mówią: *que la jeunesse se passe*, ale zdaje mi się, że byłby już czas przypomnieć sobie, że i Drezno ma coś dla niego....

Jowita jeszcze niczego się nie domyśla. Nie wymawiam nawet nazwiska tego w obec niej. Gdyby wiedziała o tém, że góra nie chciała przyjść do proroka i że prorok sam do góry przyszedł, umarłaby ze zmartwienia.

Ale cóż robić! Wiele rzeczy robi się tylko dla uratowania pozorów, a cóż dopiero znaczą tak błahe skrupuły kobiety, która jeszcze cała żyje w swoich marzeniach! Jéj się zdaje, że bohater jéj serca powinien ją przeczuci i wynaleźć w ostatnim zakątku świata, przyjechać i ukłęknać. Ona nie wie, jakich sprężyn muszą nieraz użyć biedne matki i ciotki, aby tych bohaterów ściągnąć do siebie od smacznych papierosików lub od czegoś gorszego jeszcze.... Ona nie wie, że przy dzisiejszych rozwolnionych stosunkach, a z drugiej strony wymaganiach towarzyskich, ten tylko wchodzi na stanowisko epuzera, który potrzebuje nadszarganą fortunę swoją łątać spodziewanym posagiem! O miłości, o sercu już się nawet wcale nie mówi, a jeśli czasem wspomnieć wypada, to dzieje się to tak oklepanym, bezdusznym frazesem, że lepiej byłoby go nie słyszeć. Szczęście wielkie, że to wszystko najczęściej odbywa się za pomocą wyrobionych formułek francuzkich....

Pan Alfred obiecał stryjence swojej, że najdaléj za kilka tygodni przyjedzie. Rozumie się, wszystko to wiem pod sekretem. Gdyby tylko przyjechał, to jestem pewną wygraną.

A jeśli nie przyjedzie?

To będziemy się bawić galeryą obrazów, będziemy co tydzień zwiedzać „grünes Gewölbe,” a gdy nam się to wszystko sprzykrzy, to pójdziemy do „Thiergarten” patrzeć się na małpy i niedźwiedzie....

A gdy wrócimy do domu, będzie Jowita z rozpromienioną twarzą opowiadać sąsiadkom swoim, że się wybornie bawiła, wiele rzadkich rzeczy widziała i że zupełnie z pobytu w Dreźnie jest zadowolona!... Opowiadając nawet to wszystko, będzie szczerą i otwartą.

Czy jéj sąsiadki uwierzą? Nie wiem, ale wiem, że w oczy nie okażą jéj swojej niewiary!

IV.

STEFAN DO NIEZNAJOMEGO (1).

Drezno. Początek grudnia.

Przed tygodniem opuściłem Düsseldorf, o czém cię, drogi i jedyny mój przyjacielu i doradco, natychmiast zawiadamiam, aby listy twoje, które są mi jedynym balsamem na ciernistą moją drogę, nie minęły się ze mną. Byłaby to dla mnie szkoda niepowetowana; im bowiem wyżej pnę się po cierniach mego zawodu, tém więcej czuję się na świecie osamotnionym. Wszystko to, co wkoło mnie żyje, zdaje się mieć inne warunki życia. Czasem pytam siebie na seryo, czy mam pełną rozumu, czy w organizacyi mojej duszy czego niedostaje? Taką jakąś dziwną różnicę widzę między sobą a tém co mnie otacza!

Z tego sam osądzisz, jak drogą jest dla mnie przyjaźń twoja. Od tej szczęśliwej chwili (a upłynęło już odtąd trzy lata) gdyśmy o gospodarstwie w Salzmünde z takim ferworem rozmawiali, widzę tylko w tobie pokrewną duszę, przed którą żadnych nie mogę mieć tajemnic. Już przez ten przeciąg czasu doświadczyłem tego słodkiego uczucia, jakie serce

(1) Ponieważ w dokumentach, z których niniejsza powieść się składa, nigdzie nazwiska tego nieznajomego nie wyczytałem, nazywałem go będąc sawase: Nieznajomym.

moje upaja, gdy sobie pomyślę, że jest ktoś, przed którym mogę się zupełnie wypowiedzieć!

Nie wiem, czy jest co boleśniejszego, jak nosić się z myślami i marzeniami zamkniętymi w głębi duszy. A z drugiej strony nie wiem, czy jest co śmieszniejszego, jak przed obojętnym człowiekiem wynurzać się z tajemnic duszy! Trzeba koniecznie jakiegoś pokrewieństwa duchowego, a w dodatku trzeba szczerzej i niezwyklej przyjaźni, jaką mnie od lat trzech zaszczycaasz!

Dzisiaj, gdy jeszcze do większej pracy nie zabrałem się, mam więcej czasu do pisania, pozwolisz więc że dłużej z tobą rozmawiać będę.

Wspomniałem ci już, że czuję się strasznie osamotnionym. Nie myśl, abym dopiero w cichém Dreźnie przyszedł do tego uczucia po gwarliwym i tłumnym Paryżu. I nad Sekwaną czułem to samo, ale mogłem się jakim narkotykiem upoić. Potrzeba było tylko wejść w tłumy bulwarowe, a już dręczące mary uciekały. Samo wyteżenie uwagi, aby nie być rozjechanym lub podeptanym, sprawiało duszy jakąś ulgę. Tutaj to wszystko ustało, a są chwile, w których słyszę jak mi serce bije, jak za każdym jego uderzeniem rwie się dusza w jakiejś dziwnej, nieopisaniej tęsknocie!

Gdy siedzę przed płótnem zapominam wprawdzie o sobie i o świecie. Rodzące się pod pędzlem postacie mówią ze mną, płaczą lub śmieją się stosownie do swego usposobienia. Nie uwierzysz, jak dziwne opanowało mnie uczucie, gdy pod moją ręką konał Turek, strzałą przeszyty... gdy mu zwolna siniąły usta... oczy coraz więcej otwierały się szeroko.... gdy wreszcie ciało jego straciło całą gibkość i skostniało jak bryła lodu na morzu Północném, aby już więcej nigdy nie ożyć!....

W takich chwilach, przyznasz sam, że nie jestem samotnym. Przeciwnie, jestem w towarzystwie, w jakim nie każdemu być wolno! Nim bowiem to wszystko na płótno przeszło, musiałem je pierwój w duszy odtworzyć, żyć i roz-

mawiać czas niejaki z wszystkimi temi znakomitościami. Przyznaj mi, że niejeden pozazdrościłby mi takiego towarzyswa!...

Raz pamiętam, szkicowałem scenę z pierwszych czasów chrześcijaństwa. Na pierwszym planie otoczony liktorami stał Pretor. W dali widne były zwłoki ofiar ciemnoty i pogaństwa. Przed Pretorem postawiłem małą dziewczynkę, która ruchem ręki i całą postawą swoją miała mówić do niego: „Każ mnie także zabić, bo matka moja czeka na mnie niecierpliwie!” Pretor na ten widok miał doznać dziwnego uczucia. Po raz pierwszy może szepnął mu szatan, stróż jego do ucha: „Kto jest ż was wyższym i większym? Czy ty na kurulnem krześle, czy to dziecię błagające śmierci dla miłości matki?”... Nie umiem opisać ci rozkoszy, z jaką na tę pogańską twarz kładłem rysy, wyrażające pogardę samego siebie, z jakim zadowoleniem wykrzywiałem te usta o zębach połamanych w uśmiech szatański, szydzący z wszystkiego a nawet z własnej potęgi!... A jak błogo było mi przy tej niewinnej dziecinie, która za życia była już pół-aniółem! Zarzuconej na ramionach szacie dałem kształt przyszłych skrzydeł anielskich, podobnych do tych, które z błękitnego nieba spuszczały się z wieńcem zielonym do niego!

Zaiste, obcowanie z takimi postaciami czyni człowieka lepszym i pocciwszym. Towarzystwo takie przekładam nad każde inne, jakie w wielkim świecie znaleźć można, a które bez obłoków dymu tytoniowego i kuflów bawarskiego piwa obejść się nie może!

Ale wszystko to wystarcza mi przy pracy mojej, przy dzienném świetle. Gdy zaś wieczorem do cichego mieszkania mego powracam, wtedy te wszystkie obrazy sprawiają na mnie jakieś dziwne wrażenie, które w sposób straszny i bolesny daje mi uczuć moje osamotnienie!

Wyobraź sobie takiego nieszczęsnego samotnika. Cały dzień myślał, marzył i pracował, a gdy się ściemniło wyszedł na chwilę, aby ciało pożywić. Zafatwiwszy to, wraca, otwiera drzwi, zapala świecę i widzi się sam jeden!...

Wprawdzie jest i teraz z nim dawne jego towarzystwo, ale to wszystko wcale inaczej teraz wygląda! Pierwój, śród pracy, ożywiało się, dzisiaj straszy swoją martwością!...

Ów turek zabity odwrócił się jakoś inaczej i wytrzeszczył na mnie szkaradne oczy, jakby mię chciał o zabójstwo oskarżyć!... Pretor zakrawa mi więcój na wiejskiego bakałarza, który stara się dziewczynce wytłumaczyć, że dwa a dwa jest cztery!...

Słowem, postacie moje straszą, gniewają mnie, śmieją się i szyczą ze mnie!... A nie mam gdzie od nich ucieknąć, nie mam gdzie oka i myśli schować przed niemi, bo jestem sam, sam jeden!...

Ale wróćmy do innój materji, chociaż nie ręczę, czy znowu do tego natrętnego tematu nie wrócę.

Poznałem się z tutejszymi artystami. Są to zacni i poczcwi ludziska. Trzymają się razem z synami Melpomeny. W tym celu schodzą się po największej części w restauracyi, zwanój „u Elbicha”. Jest to długi budynek, zajmujący nad samym brzegiem Elby całą przestrzeń od teatru aż do mostu. Charakteryzuje to tutejszych artystów, że przy kuflu piwa i baraniój pieczeni mają oraz najpyszniejszy widok na Elbę i domy Nowego-Miasta, między którymi fantastycznie odbija z zielonym dachem swoim pałac japoński!

Tutaj schodzą się prawie codziennie. Rozprawiają wiele o sztuce lub polityce, stosownie do materyału jaki im przyniósł dziennik miejscowy.

Są to w ogóle zacni i poczcwi ludzie. Kochają kraj swój, to jest Saksonię i dla króla swego mają afekt gorący. Ale sztuka w ich pojęciu i praktyce jest to nader wygodna szalfmyca. Najwięcej widać energii w ich pędzlu, gdy kopiują obrazy galeryi. We własnych zaś kompozycjach lubią przedewszystkiem „das gemüthliche”, to jest, rzeczy spokojne, słodko usypiające, lub jakie niewinne sceny z życia familijnego, do którego niemniej należą koty, pieski i cieleta.

Widziałem naprzykład na ich wystawie obraz świeży, nad którym wielce się unosili. Temat tego obrazu jest następujący: Na śmiecisku domowém, otoczony kurkami grzebał za ziarnem kogut bohater. Rzeczywiście między kurami był on nie lada bohaterem. Wnosząc z jego grzebieńia dumnie na bok zwieszonego, opowiadał im prawdopodobnie przy grzebaniu coś o bohaterstwie swojej, o czém czubate kury wcale nie powątpiewały. Nieszczęście jednak chciało, że właśnie o podobném bohaterstwie gdzieś za krzakami marzyło ciele jasno nakrapianej maści. I oboje zostaliby może przez całe życie przy tój dobrej opinii o sobie, gdyby ciele nie chciało spróbować swego bohaterstwa. Zadarło dumnie ogon do góry, wierzgnęło nogami i przedarło łbem krzaki, dzielące je od koguta.

I cóż się stało?... kury ze strachu pokładły się na ziemię i z pod oka patrzą na bohatera koguta. Ale o hańbo! ciele przestraszyło się koguta, a kogut cielecia!...

Ten moment komiczny uchwycił artysta do obrazu, i włożył w niego cały swój talent. Sasi śmieją się do rozpuku przed tym obrazem i niezawodnie znajdzie kupca!

Obraz jest dobrze malowany, ale według mnie, szkoda talentu dla takiego przedmiotu.

Ale cóż robić. Wszak i przed arką przymiérza w obec zgromadzonych tłumów Izraela skakał Dawid przygrywając sobie na harfie. I on chwalił Pana Boga!

V.

10 grudnia.

Za przysłanie dzienników niemieckich, które o moim obrazie na wystawie w Monachium, życzliwie się odezwały, jestem ci bardzo obowiązany. Nadeszły one w sam czas, kiedy najmocniej takiego lekarstwa potrzebowałem. Czytam je co wieczór, i zdaje mi się, że mam przyjaciela u siebie.

Nieraz myślałem nad tém, czy artysta lub autor powinien wiele wagi przywiązywać do krytyki. Znakomici artyści i pisarze są tego zdania, że wiele na krytykę zważać nie trzeba. Tylko mali ludzie rozbijają się za krytyką dzieł swoich, i wolą nawet być zgromieni niżeli przemilczeni. Jeden ze znakomitych pisarzy porównywa krytykę do kuli bengalskiej, która w najlepszym razie głośno pęknie, iskry i szmaty palące się na około rozrzuci i zagaśnie. Wiem także z doświadczeń różnych, że często krytyka ma różne cele uboczne, które starannie zakrywa. W najgorszym jednak razie jest zawsze dla prawdziwych talentów nieszkodliwą, a miernoty najwyszukańszą chwalbą swoją nigdy nad zero nie podniesie.

Ztąd jednak wypływa, że do nader miernych talentów należę, kiedy krytyka mego obrazu tak wielce mnie zajmuje... Mówię ci to otwarcie drogi przyjacielu, bo z każdym dniem

jakoś mi duszniej w mojej atmosferze. W tej chwili wypogodziło się trochę około mnie i zdaje mi się, że znowu jaśniej widzę. A wszystko to zawdzięczam tobie i przysłanym dziennikom. Geniusz tworzy bezwzględnie, a talent pracuje. Do pracy zaś każdej potrzeba zachęty i przyjaznego słowa, bo inaczej zmęczy choćby najuporczywszego. A tą zachętą był dla mnie twój list i małe artykułiki dzienników.

Piszesz mi drogi bracie, abym nie tracił odwagi. Mówisz, że droga każdego talentu podobną jest do stromej, po nad przepaście prowadzącej drogi pod górę. Ten tylko może na szczyt zdążyć, który ciągle przed siebie, naprzód, patrzy. Kto stanie i za siebie się obejrzy, temu na widok ziejących przepaści głowa się zawróci. Straci odwagę, a zwracając spadnie i pokaleczy się, bo z takiej drogi wraca się tylko kaleką!...

Tak mi piszesz i prawdę piszesz. Ja tylko ukradkiem spojrzałem kilka razy poza siebie, a już nie mogę się pozbyć zawrotu głowy. Zdaje mi się, że dalej nie zajdę, że to co widzę przed sobą, jest dla mnie niedostępne!...:

A do tego jeszcze jakież okropne widoki trzeba przebywać w tej podróży! Co kilka kroków spotyka się zwłoki śmiałego wędrowca, który tak samo jak ja piał się do góry i tu zginął marnie, bo mu sił do dalszego pochodu zabrakło!... Straszne, okropne są te drogoskazy! Usta zsiniałe, z bólu otwarte, oczy krwią zasłte, pięście ściśnięte jakby do walki!... Oni walczyli strasznie i rozpaczliwie, walczyli z nieprzyjacielem niewidomym, walczyli z sobą samym! Zaiście, znam tę walkę z małych prób, jest ona najokropniejszą, najboleśniejszą walką, jaką kiedykolwiek człowiek podejmuje. A jest ona tém niewdzięczniejsza, że mało kto ją widzi, nikt prawie nie śledzi jej przebiegu, a zwycięstwo lub upadek przypisują innym wpływom naturalnym.

Czy żywot taki nie jest osamotnieniem? A w takim osamotnieniu jakże wielką jest rozkoszą, usłyszeć głos bratni, obaczyć kogoś, który na nas patrzy i przebieg naszej walki skrzętnie zapisuje?....

Tymczasem dobre chęci niemieckich krytyków nie trafiły jak mi się zdaje do celu. Może to być nauką dla nie jednej krytyki. Chwałą rzecz, której tam wcale nie włożyłem, podsuwają mi myśli i zachcenia, o których nie miałem wyobrażenia i pasują mnie na rycerza za okazane męstwo, podczas gdy może spałem najsmaczniej. Za to nie wiedzą tego wcale, co ja tam właśnie uwydatnić chciałem, pomijając rzeczy, do których właśnie chciałem przykleić oko widza, aby się zatrzymał i artyście hołd oddał. Zgoła przekrecono myśl moją i widziano w obrazie wcale co innego. Cóż ztąd wnosić, oto, że obraz mój nie był dobrze obmyślany i wykonany. Wydarzyło mi się to samo, co jednemu memu koledze w Paryżu.

Powziął myśl namalować „spokój po burzy.” Szczęśliwy do tego wynalazł sposób, aby tę myśl oddać. Oto na brzeg morza wyrzucają rozhukane bałwany trupa. Jest to ostatnia fala burzy, bo poza nią już się morze wygładza i niebo błękitne wychyla. Wszystkie inne akcesorya były trafnie dobrane.

Ale cóż mówi krytyka?

„Obraz zasłużonego naszego malarza, powiada, bez żadnej myśli ubocznej, przedstawia pyszny krajobraz z otwartym widokiem na morze. Czujemy na niebie i nad tą wodą, mocno-błękitny gorejący skwar południa. Wszystko tu pragnie ochłody zaczawszy od suchej, rozdartej skały na przodzie obrazu, aż do tego w siniej dali niknącego ptaszka, który z pragnienia zniża swój lot do pluskającej fali.... Zdaje się, że w obec tak jasno przemawiającej natury nie potrzebny już był dodatek, kąpiącego się człowieka, który właśnie wyszedł z fal chłodnych i rozkosznie obsusza się na żarkiem słońcu”!...

I cóż miał artysta powiedzieć na tę krytykę? Zrazu wziął ją za ironią, ale przekonał się, że krytyk pisał jak w najlepszej wierze!... Umilkł i dał obraz za to, za co wzięła go krytyka!

Ja mego obrazu nie mogę wziąć za to, za co mają go niemieccy krytycy i bynajmniej z tém się nie kryję. Mimo to sprawia mi ich życzliwość jakieś błogie uczucie, którego potrzebowałem w téj chwili koniecznie.

Nie zapominaj o mnie, a kiedykolwiek chcesz mnie słowem nawiedzić, to pamiętaj o tém, żem zawsze głodny i spragniony!

VI.

15 grudnia.

Na różne moje utyskiwania piszesz mi, że każdy talent ma swoje fluktuacye podobne do morza. Raz zdaje mu się, że przebija niebiosy, drugi raz upada na dół, grzęźnie w bezdennych ciemnościach głębi i na zawsze ginie. Powiadasz, że ani jedno ani drugie nie jest prawdziwem. Niebiosów nikt nie przebił, a przy rzetelnéj pracy, w zapomnieniu nikt nie zginął. Może być że masz słuszność.

Jeżeli jednak chory z bólu w niebogłosy woła, a lekarz mu przytém mówi, że ten ból jest koniecznością przyszłego zdrowia, to przeto nie zakazuje krzyczeć choremu, jeżeli to mu sprawia niejaką ulgę!

Otóż mimo wszelkich rad twoich i zdań trafnych, pozwól mi krzyczeć z bólu, jeżeli ten ból dzisiaj więcej niżeli kiedykolwiek mnie dolega!

Przyznam ci się, że jestem często w rozpacz. Był w Rzymie w średnich wiekach znakomity malarz, z którego pracowni często wychodził krzyk przeraźliwy i płacz spazmatyczny. Gdy domownicy pospieszyli mu na ratunek, ujrżeli go przed sztalugą spokojnego zupełnie.

— Cóż ci to jest? — pytali przestraszeni domownicy.

— Nic mi nie jest — odpowiadał spokojnie — wszak widzicie że pracuję!



Nie sądź z tego, abym zuchwale chciał się stawiać obok mistrza Dominikina. Zresztą nie płakałem jeszcze nigdy nad żadną moją kreacyą. Może być, że kiedy zapłacę...

Dziwnie jednak upadam czasem na duchu. Mam chwile gorączkowe, w których, zdaje mi się że sam siebie przewyższam. Postać i myśli cisną mi się przed oczy, tylko rękę wyciągnąć i wziąć je. A zaraz potem opuszczają mnie siły jak pływającego na morzu, jasne światło niknie z przed oczu moich, a we mgle jakiegś nieprzebitej, macam w okół siebie i pytam się, gdzie jestem? To, com przed chwilą stworzył wydaje mi się nie mojém, bo mnie na to stać nie mogło!....

Ty powiadasz, że pierwsze jest natchnienie, a drugie następujące po niem znużenie. Nie przeczę ci. To jest, jak mówisz, fluktuacya każdego talentu. Ale powiedz mi mój drogi, czy nie ma w życiu, coby mogło podsycać to nie ustające w nas natchnienie, a znużenie nasze uczynić nam mniej nieznośném?...

VII.

20 grudnia.

Nie, mów co chcesz, ja nie mam wcale talentu. Nabiłem sobie poprostu głowę aby być artystą, nauczyłem się kilkoletnią mozolną pracą trochę rysować ludzi, zwierzęta i naturę, a teraz gdy mi przyjdzie coś stworzyć z tego, nie umiem, nie potrafię! Brak mi sił, brak mi własnego sądu, brak mi wytrwałości. Nie umiem rozróżnić co złe a co dobre, ot pracuję tylko, jak najęty robotnik!

Sam nie wiem, co dalej począć. Widzę, żem się zbłąkał, żem nie powinien był pójść tą drogą. Gorszą drogą poszedłem od mego brata, który tylko to przegrał co miał, a ja stawiałem to, czego nie miałem.

Weźmiesz to za wyskok melancholii z mojej strony, bo zawsze jesteś względny i wyrozumiały dla słabości mojej. Ale pytam się teraz, czy przez tę zbytnią wyrozumiałość dla mnie nie grzeszysz wraz ze mną? Czyby nie szlachetniej wypadło dla nas obu, gdybyś mi wręcz był powiedział: rzuć pędzel i paletę, a weź hebel lub młotek, aby uczciwie na chleb zarabiać i społeczeństwu swemu nie czynić potem marnych i nieugruntowanych wyrzutów, że geniusza zapoznało, że nie dało mu urosć i dojrzeć, a gdy mimoto dojrzewał, nie obsypano go należytem kadzidłem!...

Byłoby to szczerzej i otwarciiej, byłoby korzystniej dla mnie!

Niema większej męczarni, jak szamotanie się bez talentu. Gdybym przynajmniej nie był malarzem tylko pisarzem, tobym jeszcze jakoś mógł zużytkować nieszczęśliwe położenie moje. Zostałbym np. pseudo-krytykiem, i z prawdziwą rokoszą expensując żółć moją, odmawiałbym pisarzom talentu, drwiłbym z wierszowanych komeđyj i przedrzeźniałbym się tragedjom pisany wierszem miarowym. Przecież wtedy miałbym jeszcze nadzieję, że imię moje nie utonie w fali niepamięci! Mówiliby między sobą prostaczkowie: znakomity jest zapewne ten człowiek, kiedy znakomitych pisarzy tak z góry traktuje!...

Gdyby jednak rola znakomitego krytyka nie wydała mi się tak łatwą, zostałbym przy piórze produkującym, ale żółć moją wylałbym na całe społeczeństwo. Pisałbym w czarnym kolorze, naśladowałbym zacnego Wiktora Hugo lub kapryśnego Hejnego. Ganiłbym ludzi, urządzenia społeczne, a wszystkie piękne kobiety w czambułbym potępił, nazywając je zawsze szatanami! Wszystko malowałbym *en noir* a może znalazłby się jaki krytyk, który unosząc się nad ponuremi memi barwami, powiedziałby z emfazą: jak piękna i szlachetna jest to dusza, dla której wszystko na ziemi jest tak brudne i ciemne!...

A to tymczasem własna moja dusza byłaby brudną i plugawą! Świat i społeczeństwo widziałem dla tego brudnym i czarnym, bo nie przyniosłem z sobą miłości. Miałem z sobą tylko jad i żółć, mściłem się tylko na innych dlatego że sam byłem głupim i niedołężnym.

Wszystko to mogłoby się stać, gdyby narzędziem mego rzemiosła było pióro i papier. Niejeden redaktor mający złość na kogo, nająłby mnie i dobrze zapłacił. Byłbym poszukiwanym dla stylu pałaszowego, jak poszukiwany i dobrze opłacany był niegdyś „il bravo“!....

Ale to stać się nie może, bo przed sobą mam tylko płótno! Nawet karykatur ludzkich rysować na niem nie potrafię. A gdybym nawet chciał malować samych dyabłów z rogami,

to powiedzą ludzie patrząc na obraz: nie taki dyabeł straszny, jak go malujesz!....

Cóż więc mogę uczynić? W jakiż sposób spotrzebować korzystnie ten zasób żółci, który się w sercu mojem nzbierał? Na co wyrzucić tę jadowitą ślinę, która w długim milczeniu napełniła mi usta moje?

Widzę jak ruszasz głową z politowania i mówisz do siebie:

— Ten człowiek śmieszy mnie. Zżyma się na coś, jak Donkiszot na wietrzne młyny!

Ale tak powiedzieć nie możesz. Inaczéj zanegowałbyś samego siebie, o którym mam to przekonanie, że jest znawcą duszy ludzkiej i moim szczerym i otwartym przyjacielem.

Słowa moje są może szorstkie i rubaszne, ale wśród bólu nie przebiera człowiek w słowniku wyborowych wyrażen. Opowiada jakiś złośliwy autor, że pewna salonowa dama włożyła na nauczycielkę obowiązek, aby rozpieszczonego panicza przyzwocie krzyczeć i płakać nauczyła, gdy czasem ojciec uznał za potrzebne okazać mu odwrotną stronę życia ludzkiego.

Mnie płakać przyzwocie nie uczono, chociaż los często do płaczu mnie zmuszał. Zbyt wczesnie wydobywały nie-szczęścia z piersi mojej krzyk boleści, dlatego ochrypłym i chrypliwym głosem skarzę się przed tobą. Zdaje mi się, że tém prędzej powinienes wierzyć w prawdziwość bólu mego!

Ogłaszają różne wynalazki na odświeżenie i odmłodnienie skóry człowieczej; czy nie wiesz jakiego środka, któryby w ducha wlał nowe siły?

VIII.

Ostatni grudzień.

Rok już dobiega do kresu swego. Ludzie zwykli zamykać tutaj rachunki swoje.

I ja dzisiaj cały dzień rachowałem się z sobą i kończę swój rachunek mimo opozycji twojej, że złą drogą poszedłem. To co mi na pociechę powiadasz, że jeden z dawniejszych moich obrazów przeszedł w drugie ręce za cenę podwójną, bynajmniej mnie z drogi nie zwodzi! Widzę, że przeceniłem siły moje, że wszedłem do świątyni bez namaszczenia, jak Saul do liczby proroków!

Twój szeroki wywód o wymaganiach sztuki, o warunkach, w których żyć i dojrzewać musi, może być bardzo logiczny i trafny, ale we mnie nie wleje on tego, czego nie mam.

Powiadasz, że dawniej mylnie pojmowano warunki pracy duchowej. Mniemano bowiem powszechnie, że tylko żywot *ascetyczny* może rodzić wielkie myśli i dzieła! Chwycono się więc ascetyzmu i chciano od niego mieć to, czego natura nie dała. Ztąd poszedł ten krzywy kierunek wielu prac średniowiecznych. W oderwaniu się od świata, otoczono wszystko mglistą atmosferą i stworzono pokarm duchowy nie zrozumiały i niestrawny dla społeczeństwa. Nawet znakomite duchy musiały skarłowacić w tej posusze i zabić się w zwątpieniach!...

Tak prawisz do mnie i prawisz nader rozsądnie. Wyrzucasz mi mój żywot ascetyczny, oskarżasz mnie o wystę-

pek dobrowolnego osamotnienia. Powiadasz, że sam zrywam harmonią między mną a społeczeństwem, która to harmonia konieczną jest dla tworzącego ducha!

Lecz powiedz mi co mam czynić, abym odzyskał tę harmonią? Czy jest na to jaki sposób? Cóż poradzi człowiek, który zaproszony na wielką ucztę ubrał się w ciemnej celi swojej, sądząc że ma na sobie szaty świąteczne, a tymczasem w jasno oświeconej sali spostrzegł, że szata jego ma dziury i jest połatana? Cóż uczyni wtedy ten człowiek? W jakiż sposób przywrócisz między nim a innymi godową harmonią?... Powiesz na to, że najlepiej uczyni, gdy wyjdzie i wróci do ciemnej celi swojej!...

Dobrze! Ale ty wiesz, jak to boleśnie jest wracać głodnym od uczty, wracać wśród śmiechu i urągawiska młotchu, który wtedy najwięcej się raduje, jeśli kogoś płaczącego widzi!...

Daj mi sposób, a wrócę, bo siły ostatecznie opuszczają mnie!

W zeszłym tygodniu szkicowałem rzucony jeszcze w Rzymie pomysł: Msza święta w katakumbach w pierwszych czasach chrześcijaństwa.

W ciemnym korytarzu przed świeżym grobem męczennika stoi kapłan boży z gromadką wiernych. Przez górną rozpadlinę, która katakumbie mały promyk światła słała, widać było w perspektywie, stojących żołnierzy i oprawców rzymskiego władcy, którym wysłany zausznik opowiada o zgromadzonych w katakumbach chrześcijanach.

Jest to krótka chwila, która zgromadzonych wiernych przedziela od śmierci męczeńskiej...

A jednak na ich twarzach miał być spokój; ich oczy patrzyły z rozkoszą w niebo, gdzie mieszkał ich Bóg...

Może cię dziwi, że od niejakiego czasu o samych ponurych obrazach mówię z tobą. Przyznam się, że i mnie to dziwi, ale zagadki tej rozwiązać ci nie umiem. Jest coś w duszy mojej czarnego, zrozpaczonego....

Otóż szkic ten stoi dzisiaj przedemną!...

Gdybyś go widział, sambyś powiedział, że nic nie umiem, że żadnego nie mam talentu!

Kapłan mój z czasów męczeństwa wygląda na spokojnego proboszcza z Łysiej Woli, którego znałem będąc dzieckiem. Mam go nawet w podejrzeniu, że wznosząc z kielichem ręce do góry, myśli o smacznej pieczeni, która go już od pół godziny w plebanii czeka!... A ci stojący i klęczący wkoło niego wierni! To istna zgraja odpustowa, która z dalekich wsi przyszedłszy odpoczywa tutaj podczas nabożeństwa słodko czasem zasypiając!...

Powiesz: przecież żołnierze rzymscy i ten donosiciel groźnie wyglądają i czynią efekt niepospolity!

Gdzie tam! Są to po prostu sascy dinstmanowie przebierani w stare saskie zbroje, które wypożyczyłem z „Rüstkamer”!... Jeden nawet z nich uśmiecha się do mnie tym samym znanym mi śmiechem, jakim mnie zawsze wita na rogu „schlosstrasse”!... A cała ta zgraja pochylona nad rozpadliną podobną jest do myśliwych, którzy w lisią jamę zagląдают, gdzie im właśnie lis umknął!...

I cóż? Mamże jeszcze w siebie wmówić, że jestem artystą?

Powiedz mi, czy jest jakiś środek, któryby wlał we mnie wiarę zagubioną w srogich walkach życia? Czy jest jakiś sposób na to, abym najprzód uwierzył sam sobie, a potem ludziom? Czy mógłbym przez jaką formułkę czarodziejską, sprowadzić tę upragnioną między mną a światem harmonię?

Nie, ja nic nie widzę! Widzę przed sobą szary, pusty, gościniec życia. Samotny idę tym gościńcem, i nic nie wiem, co na nim spotkam; wiem tylko czém się on kończy!...

Ale dość już tego na zakończenie starego roku.

Może nowy wraz z gwiazdą Trzech Króli przyniesie co lepszego.

Życzę ci jednak lepszój nadziei od mojej!....

IX.

JOWITA DO SALOMEI.

Listopad, Drezno.

Gniewasz się na mnie, kochana Salciu, i gniewasz się słusznie. Obiecałam ci zdawać sprawę z każdego dnia, z każdego wrażenia. Do dzisiaj nie wywiązałam się wcale z tego przyrzeczenia. Nie winuj jednak mnie, ale winuj ten brzydki świat, który wcale jest innym, niżeli nam się okazywał w naszych marzeniach!

Ciocia powiada, że tak długie zaniedbanie ciebie, jest z mojej strony pierwszym krokiem do pogodzenia się z światem. Nie myśl jednak, aby tém tobie ubliżyć chciała. Uchowaj Boże! Ona kocha cię nie mniej odemnie. Ma tylko pewne odmienne od naszych, wyobrażenia.

I tak na przykład, całą przyjaźń naszą nazywa chorobliwą exaggeracją. Powiada, że kobieta powinna mieć pewne sekrety tylko dla siebie wyłącznie, a która je zaraz w lot drugiej udziela, to jest oznaką, że je nie wiele ceni.

Być może, że ciocia ma słuszność. Ja nie mam jeszcze takich sekretów, którebym dla siebie zatrzymać mogła przed tobą, gdybym je rzeczywiście miała. Wiem, że cieszyć się będziesz ze mną, gdy ci coś radosnego doniosę i wiem że zapłaczesz, jeśli w moich oczach łzy obaczysz!

Otóż ciocia niesłusznie mówi, że tak długie milczenie moje miałoby być pierwszym krokiem do pogodzenia się z światem. W taki sposób musiałoby zamilknąć serce moje, a to nastąpiłoby dopiero trzy dni.. przed moim pogrzebem.

Strach mnie czegoś ogarnął, gdym napisała wiersz ostatni... Droga Salciu, czy ty temu nie przeczysz, aby serce dopiero na trzy dni przed pogrzebem zamierało? Czy może ono zamilknąć prędzej? A czy można żyć na świecie, nosząc w sobie serce zastygłe?...

Daruj mi to dziwactwo moje. Wczoraj mówił mi jeden z naszych gości, że jak młoda panna o klasztorze lub o śmierci mówi, to jest znak, że chce iść za mąż. Nie chcę, abyś i ty podobnie myśleć chciała. Nie będę już więcej mówić o tem, co kiedyś umrzeć może, ale rozpowiem ci dziwne rzeczy o tem, co było wczoraj, a co jest dzisiaj.

Milczenie moje tak długie wytłumacz sobie na moje korzyść. Chciałabym ci wszystkie wrażenia moje spisać, a tych jest tyle, że nie wiem od czego zacząć. Opowiadają bajkę o Arabie, który wyprosił sobie u Boga łaskę, aby choć przez kilka minut biło wkoło niego sto źródeł. Bóg wysłuchał Araba. Sto krynic zimnej wody otworzyło się nagle przed nim; ale Arab z żadnej nie skosztował: namyślał się od której zacząć, a tymczasem łaska Boga skończyła się.

Nie jestem ja tak jak ów Arab nowemi zjawiskami odurzona. To co mnie otacza, nie jest dla mnie tak okrutnie nowem, abym do siebie długi czas przyjść nie mogła. Wprawdzie w naszym ustroniu nie widziałyśmy obie wiele świata. Ale nie wiem jak się to dzieje? to co widzę, nie uderza mnie zbytnią nowością. Mówię tutaj o świecie powszednim, a jeżeli się na mnie nie rozgniewasz, to policzę do tego owych powszednich ludzi, których i w naszym ustroniu miałyśmy do syta.

Z mego dotychczasowego pobytu za granicą tyle się nauczyłam, że formy zewnętrzne nie zmieniają nigdy człowieka ani na lepsze ani na gorsze. Jeżeli jest wewnątrz próżnia, to i pod politurą będzie ta sama próżnia... Czy przypominasz sobie naszego pocziwego sąsiada, który próżną kasę swoją kazał z wierzchu wyłocić?...

Nie przeczę jednak, że i w tym krótkim czasie czegoś się więcej dowiedziałam...

Widzę teraz, jak trudno jest znaleźć na świecie prawdziwe szczęście! ..

A przecież w naszém ustroniu wydało nam się to tak łatwem! Po każdej przeczytanej książce tworzyliśmy sobie bohaterów, którzy tak blisko, bogdaj czy nie w sąsiedztwie nawet byli....

Czy przypominasz sobie tę ważniejszą epokę naszego życia, wycieczką na odpust do Częstochowy? Tam pod kościołem oparty o rozwalony filar muru stał blady o długich włosach mężczyzna; w całém jego zjawieniu się widzieliśmy coś nadnaturalnego. Wyraz jego twarzy pełen cierpienia, jego duże ogniste oko, tło na którem tak dziwnie się odbijał, wszystko to kazało nam wnosić, żeśmy ujrzeli jednego z tych bohaterów, których nam tak gorąco zalecają autorowie powieści!..

I przypominasz sobie nasze rozmowy o tym nieznanym? Jeśli się nie mylę byłam nawet trochę zazdrosną, że w ciebie patrzył jak w tęczę. Przypisywałam to nieco złośliwie twojej białej talmie, która między odpustowemi wielki efekt sprawiała. Przypisywałam także ten sukces w duchu twojej niezwykłej wtedy ruchliwości, jaką nieznanemu miałaś okazać swój niepokój...

Cóż się za kilka godzin stało z naszym bohaterem, któregośmy sobie w duchu wzajemnie wydzierały?

Oto: widzieliśmy jak pijany włókł się w towarzystwie brudnych, śmiejących się kobiet, i stroił do nich przykre, rubaszne żarty!...

Nie mam jeszcze, jak wiesz, żadnych doświadczeń, ale przecucie moje mówi mi, droga Salciu, że wkoło nas jest wielu podobnych temu bohaterowi naszemu, z tą tylko różnicą, że oni jeszcze pozują fantastycznie pod zwaliskami filaru!... Cierpliwości, a obaczyłybyśmy ich w téj samej roli i w takiem samém towarzystwie, w jakim był nasz bohater odpustowy!

Lecz na cóż tobie o tém wszystkiém w pierwszym liście piszę?

X.

Listopad.

Jestem tak dziwnie roztargnioną, że zapomniałam zupełnie, co w pierwszym liście do ciebie pisałam. Być może że się tutaj powtarzać będę. Nie bierz mi téj nieuwagi za złe. W naszym ustroniu można było myśli swoje dobrze na uwięzi trzymać, bo był i czas i cisza po temu; tutaj nie prawie nie robię, a jednak brak mi zawsze czasu. Obawiam się, abym z czasem nie wychowała się na tak zwaną „kobietę światową,” która właśnie nic nigdy nie robi, o niczem nie myśli, niczem się nie zatrudnia, a jednak nie wie, kiedy jój czas upływa i nigdy nie ma go podostatkiem.

Nie lękaj się jednak o mnie. Taką kobietą nigdy nie zostanę. Sprzeciwia się to całej mojej organizacyi... Posiadam tyle tylko talentu, aby się do nowego mego położenia zastosować; ale nigdy nie wyrzekłabym się sama siebie: w czém dotąd wyrosłam, to musi zostać ze mną do końca.

Z tego co mówię sama poznasz, że roztargnienie moje jest tylko chwilą przejściową. Położenie moje dzisiejsze alteruje mnie czasem; wtedy szukam prędko równowagi: jakkolwiek zawsze przychodzę do niej, jednak zawsze kosztuje mnie to nieco czasu. W tym czasie mogę się zawsze nazwać roztargnioną. Jeżeli więc w jednej z takich chwil piszę do ciebie, to nie chciój źle sądzić o mnie, bo taką nie jestem.

Przypominasz sobie, co się z nami działo, gdy nadchodziła niedziela. Był to jeden dzień w całym tygodniu, gdy

najbliższe nasze sąsiedztwo odwiedzało nas. Jakkolwiek cały tydzień byliśmy z sobą w harmonii, w tym dniu jednak musiałyśmy długie odbyć dysputy, zanim zgodziłyśmy się na rzecz jaką. Dzień ten wyjątkowy przyniósł nam tyle wątpliwości, że je usunąć potrzeba było. Najprzód chodziło nam o przyjęcie gości, o przygotowanie potrzebnych do tego rzeczy. Potém spierałyśmy się, kto przyjedzie, a kto nie przyjedzie. Czy przypominasz sobie, jakiego marsa stawiłaś zawsze na mnie, gdym wszelkimi możliwemi sposobami chciała ci dowieść, że pan January nie przyjedzie?...

Otóż widzisz moja Salciu: tam miałyśmy jeden dzień w tygodniu i jednego a najwięcej dwóch Januarych, o których czasem spierałyśmy się, a tu jest takich dni siedem w tygodniu, a dwa razy tyle takich Januarych! Przyznasz więc sama, że dosyć jest roboty, aby przynajmniej w jakiej takiej roli się utrzymać.

Nie bez namysłu użyłam tutaj tego słowa „roli.” Tak jest, powtarzam ci to jeszcze raz, że dotąd prócz roli, jakiej odemnie wymaga zwykłe towarzystwo, nic więcéj nie mam na mojem sumieniu.

Ty mnie rozumiesz, o czém mówię. I widzę nawet, jak twoje piękne oczka zamykają się przy tych słowach moich... jak o mnie zupełnie zapominasz... a tymczasem w mglistém, listopadowém powietrzu przeciąga powoli przed tobą rumiana twarz pana Januarego z tym zaczepnym wąsikiem do góry podkreconym... A co, czy nie prawda? Czy się omyliłam?

Nie wypieraj się moja Salciu, bo i ja nie będę wypierać się przed tobą, gdy podobny obrazek stanie mi przed oczyma. Nie będę nawet rumienić się z zakłopotania, ale jasnym okiem spojrzę na ciebie i z rozkosznie bijącym sercem powiem ci, że znalazłam szczęście, o którym serce kobiety tyle przecudnych rzeczy namarzyło!...

Zdaje się jednak, że długo na to czekać będziesz!

XI.

Listopad.

Powiadasz, że moich listów wcale nie rozumiesz. Utrzymujesz, że nie ma w nich owéj ścisłej konsekwencji, jaka mnie zawsze cechowała. Być może, że listom moim brakowało owego spokoju, który zawsze we mnie podziwiałaś. Nie chciały jednak tego sobie na moję niekorzyść tłumaczyć. Nic mi tutaj jeszcze nie zamąciło mego spokoju. Serce moje bije regularnie z wyjątkiem chwil, w których gniewam się na siebie.

A wiesz dlaczego? Oto dlatego, że nie mogę we wszystkiém zgodzić się z towarzystwem, które mnie otacza.

Nie bierz tego za ukrytą chęć wyróżnienia się od innych. Znasz wszystkie moje myśli i marzenia, a jednak, wierząc mi, gdy patrzę na moje towarzyszek, zazdroszczę im w duchu, że nie jestem do nich podobną!

Mamy tutaj kilkanaście domów znajomych, które zjechały tu na długie zimowe wieczory. Rowieśniczek mam wiele, a z niektórymi jestem nawet już w dosyć przyjaznych stosunkach.

Tutaj muszę wrócić do dawnego naszego sporu. Tyś zaprzeczała mi, aby między naszą płcią mógł zachodzić istotny stosunek przyjaźni; widzę teraz, że masz poniekąd słusność.

Przyjaźń między ludźmi gruntuje się zawsze na wspólności jakiego interesu, w poziomém i idealném znaczeniu

tego słowa. Życie ma bardzo wiele interesów nam wspólnych, które nas razem łączą złotym łańcuchem przyjaźni. Jesteśmy niejako kapłankami idealniejszych, wznioślejszych uczuć. Ta kraina jest nam powierzona i ją bronić mamy od inwazyi brudnego realizmu i barbarzyństwa. Ludzie uczeni powiadają, że w rękach kobiet jest przyszłość społeczeństwa; do nas więc należy stawiać coraz większe wymagania co do postępu, a byłby to z naszej strony wielki krok zacofania, gdybyśmy na tém tylko poprzestać miały, gdzie były nasze prababki. Ta tylko kobieta, według mego zdania, spełnia obowiązki swego posłannictwa, która potrafi atmosferę swego otoczenia oświecić idealniejszém światłem życia. Podobną jest ona wtedy do malarza - pejzażysty, który umie naturze wykraść najidealniejsze jój momenta i przedstawić ją w tym stanie.

W naturze bowiem tak samo jak w życiu jest wiele napozór nader niepoczesnych przedmiotów, które dopiero przy należytem oświeceniu zyskują na piękności. Któż np. nie zna pospolitej naszej wierzby? Skromny ten w królestwie roślinném plebejusz nie rości sobie wielkich pretensyj, rośnie przy każdym rowie, samotny stoi przy opuszczonej drożynie, kołysze się nad brudną kałużą, i gdzie żadne inne drzewo stać nie chce, on tam staje z rezygnacją godną lepszej doli! Bydło ogryza mu liście, pastuchy wycinają mu młode gałązki, a on to wszystko znosi z cierpliwością upośledzonego, od którego całe lepsze towarzystwo ucieka!...

A jednak spojrzysz na tę wierzbę, co z niej robi wprawna ręka artysty. Będzie ta sama, zwyczajna nasza wierzba, ale jakie światło zagra w jój konarach! Ileż tam bogactwa rozleją promienie słońca, ile tęczowych roztoczy się półcieni?...

Otóż i w życiu naszym są takie rzeczy powszednie, które idealną barwą obrzucić musi ręka kobiety! Ona całemu stworzeniu musi wykraść tajemnicę piękna i wkoło siebie rozsiewać je i tworzyć tak jak Bóg tworzył....

Otóżto jest nasze wspólne zadanie i w tém wszystkie się zgadzamy. Na tém polu możemy zawrzeć wieczny sojusz, możemy zaprzysiąc sobie przyjaźń po koniec świata; na tém polu możemy ścigać wspólnego nieprzyjaciela, któryby nam chciał odebrać nasze szaty kapłańskie, a na głosy nasze zarzucić worek barbarzyństwa azyatyckiego!

Wszystko tu jest nam wspólne, ale gdy pracę naszą pojedynczo robieramy między siebie, wtedy, kochana Salciu, łamię się często ogniuwa naszą przyjaźni.

Krótko mówiąc, gdy jest nas więcej razem otoczonych ciekawymi widzami, któraż z nas mówiąc szczerze i otwarcie, nie chce się lepszą i piękniejszą wydać od innych? Tu kończy się przyjaźń, zwierzenia szczerze ustają, a zostaje jakiś zwykły, nieokreślony dobrze stosunek.

Zastosowując to wszystko do mego dzisiejszego towarzystwa, otwarcie ci mówię, że z żadną z rówieśniczek moich nie jestem w ścisłej przyjaźni we właściwem znaczeniu tego słowa.

Mimoto umiem czasem Sokratesową metodą uchwycić ich tajemniejsze myśli i marzenia. I dlatego powiedziałam powyżej, że zazdroszczę, iż taką nie jestem jak one!

W rzeczy samój, im do szczęścia, do życia tak mało potrzeba! Wprawdzie mówi się inaczej. Piękne frazesy nie kosztują. Miłość, poświęcenie się, piękne wzniosłe uczucia, są to prześliczne arabeski, które haftują się na białém tle życia. A poza tém stoi z urzędową miną licytanta, mama dobrodziejka lub ciocia i woła od czasu do czasu: Kto da więcej!

Gdyby przynajmniej tę formułę: „Kto da więcej!” należycie zrozumiano! Więcej np. daje człowiek zacny i pocciwy od pierwszego lepszego niepocciwca! Więcej daje pracowity i pożyteczny członek społeczeństwa, od próżniaka i marnotrawcy. Więcej daje człowiek wyższych, wznioslejszych dążeń od pełzającego egoisty! Więcej daje mężczyzna świeżego serca i duszy młodej od zgrzybiałego sybaryty o roztrwonioném sercu i duszy zamarłej! Więcej

wreszcie daje ten, który własną pracą i zasługą dobił się wyższego stanowiska, niżeli skarłowaciały potomek hetmańskiej rodziny, który w występnieńm życiu dogryza ostatnie szczątki pradziadowskiej sławy i fortuny!

Ale to „więcej” znaczy powszechnie u nas „mniej,” a to „mniej” jest „więcej!....”

Teraz zrozumiesz mnie jeśli powiadam, że im zazdrościć!.... Bo cóż łatwiej jak znaleźć to, co je zadawalnia?....

Ale dosyć na dzisiaj. Tyś gotowa mnie o co podejrzewać, czego ja bynajmniej powiedzieć nie chciałam. Wierzaj mi, nie miałam żadnej myśli ubocznej pisząc te słowa. Ot, chciałam z tobą trochę porozprawiać, tak jak to często dawniej bywało. Niech ci to stanie za dowód, że tutaj nawet nie mam z kim w podobny sposób rozprawiać.

Mimoto widzę jak ten złośliwy, znany mi uśmieszek rysuje się koło ust twoich z zapytaniem: Dlaczegoż moja Jociu tak strasznie usprawiedliwiasz się przedemną, kiedy ja o nic cię nie obwiniam?.... Wiele, bardzo wiele myślisz o tych rzeczach, jeżeli tyle o nich mi piszesz!

A więc urywam: w następnym liście wcale co innego!

XII.

Grudzień.

Słusznie mnie pomawiasz, że piszę listy, któreby mogły być i na wsi a niekoniecznie w Dreźnie pisane. Jest w nich wszystkiego potrosze, tylko Drezna nie ma. Mówisz, gdyby nie stampila pocztowa, tobyś nie wiedziała, że mieszkam w Dreźnie.

Twoje skargi są słuszne, ale im już zadość uczyniłam. Wczoraj wysłałam właśnie list długi do ciebie, opisując ci miasto zaczawszy od „bürgerwiese” a skończywszy na browarze „Waldschlösschen.” Wprawdzie w pierwszej lepszej podręcznej książce przeczytasz to daleko lepiej i obszerniej, ale próbowałam sama nakreślić ci moją własną ręką obraz miasta, które nazywają przedmieściem Warszawy.

Do wszystkich innych osobliwości muszę ci jeszcze dodać jeden szczegółik. Posądzają Sasów o brak idealniejszego polotu. Mówią, że im tu na tym padole płaczu jest tak dobrze i wygodnie, że niczego więcej nad dary ziemskie nie żądają. Otóż właśnie przedwczoraj dowiedziałam się, że i idealista Szyler potrzebny im był do kompletu tego szczęścia, o którym złośliwy Hejne powiada:

.....hast Schiller und Göthe.

Deutschland! Was wilst du noch mehr?

Sasi więc poczcziwi uczcili tutaj pamięć wielkiego poety, ogródkiem piwnym, nazwanym *Schiller-garten!*.... Czy

cię to śmiesz? Bynajmniej! Oni mu poświęcili najprzyjemniejsze chwile życia.....

Kończę na tych kilku wierszach, bo za chwilę idziemy z ciocią do galeryi obrazów.

Czy ty wiesz, co to jest galerya obrazów w Dreźnie?

Żałuję, że ci jęj opisać nie mogę! Ale kiedyś gdy wrócę z galeryi, napiszę list do ciebie. Z samego stylu będziesz mogła poznać, jakie wrażenie sprawiają arcydzieła sztuki.

Powiadam ci szczerze, że stając przed temi dziełami geniuszów sam spektator staje się lepszym, i wychodzi wyższym człowiekiem, niżeli wszedł!.... Duch rozprzestrzenia się, odkrywa w sobie jakieś dziwne, nietknięte dotąd zasoby jakich piérwój nie widział!...

Jest to dziwny magnetyzm sztuki!....

XIII.

Grudzień.

Twierdzenia twoje są słuszne. Rozprawy moje, jak je nazywasz, były rzeczywiście potrącone czémś, o czém jeszcze ci nie pisałam. Trafia się to często w życiu, że innym objawiamy tylko skutki, a o przyczynach zupełnie przemilczamy. Przypominasz sobie naszego starego ekonoma, który pogniewawszy się na parobków, dowodził żonie, że rosół za słony, a kasza przydymiona?

Otoż i ja rozprawiałam przez kilka listów, a nie powiedziałam ci, z kąd mi się wziął taki ferwor do rozpraw. Masz słuszność, że ten ferwor musi mieć jakąś ukrytą przyczynę i ma ją istotnie.

Wiesz dobrze, że wybrałyśmy się z ciocią, aby trochę więcej świata obaczyć, niżeli to uczynić można było z ganku naszego starego dworu. Prócz gorącej chęci obaczenia i nauczania się czegoś, nie miałam żadnej innej myśli ubocznej. Płakałam z radości, gdy wreszcie stanęłam na miejscu, w którym mogłam na własne oczy oglądać te wszystkie skarby, o których tylko z opisów pełnych zachwycenia wiedziałam.

Wyobraź sobie moje pierwsze, straszne rozczarowanie. Gdym się po raz pierwszy znalazła w większym towarzystwie dowiedziałam się, że niektórzy mieli to niezbite niczém uprzedzenie, że tutaj przyjeżdża się zazwyczaj jakby na wystawę jaką, aby sobie poszukać męża!

Znasz pod tym względem moją dumę. Wiesz, że pierwój mogłabym umrzeć lub wreszcie do jakiego klasztoru najostrzejszej reguły wstąpić na całe życie, niżeli ubliżyć naszej godności kobiecej i szukać zamiast być szukaną. Przypominasz sobie, ile to sporów, gniewu i walki kosztowało, zanim zgodziłam się na to, aby z tobą do miasta powiatowego po sprawunki pojechać w ten dzień, w którym zwykle można było spotkać tam pana Januarego! Przypominasz sobie, jak gorąco dowodziłam ci, że kobieta powinna w takim razie unikać nawet pozoru, jakoby ze swojej strony chciała ułatwić jakie, choćby nader przyjemne spotkanie.

Zaprawdę, panowanie nasze zawisło od nas samych. Jeżeli kobieta z tronu swego tylko jeden stopień niżej zejdzie, już traci koronę i przestaje być królową...

Otóż wyobraź sobie mój gniew i moję rozpacz, gdy z różnych półsłówek mego towarzystwa mogłam sobie złożyć tę myśl nieszczęsną, że może i mnie przywieziono tutaj jakby na wystawę, aby jaki lepszy zrobić interes, niżeli to staćby się mogło w naszym odludnym ustroniu?

Na tę myśl zalałam się łzami. Dotknęła ona najboleśniejszej strony moich marzeń. Ciocia spostrzegła to i zapytała mnie o przyczynę. Odpowiedziałam jej szczerze i otwarcie i zapytałam ją oraz, czy to prawda, aby mnie tutaj jakby na sprzedaż publiczną przywieziono?

Ciocia zaprzeczyła temu jak najuroczyściej, zakłęła się na wszystko w świecie, że podobna myśl nigdy nią nie kierowała. Uspokoiliłam się na razie. Mimoto raz powzięta myśl nie odchodzi, nie pozostawiając jakichś śladów po sobie. Otóż i myśl ta, zanim mnie opuściła, poruszyła wiele rzeczy w sercu mojem.

Nie wiem jak się to dzieje, ale od tego czasu często nachodzą mnie różne marzenia, o których dawniej wiele nie wiedziałam. Tworzę sobie sama różne sytuacje i bieżę się nad wynalezieniem sposobu, aby z nich wyjść obronną ręką. Stwarzam sobie ludzi złych i dobrych, i albo wal-

czę z nimi z całą urojoną energią, albo zbliżam ich do serca mego i pozwalam im słuchać jak ono bije....

Otóż gdy śród tych walk i rozkoszy urojonych do ciebie piszę, słuszna, że nie ze wszystkiém mnie rozumiesz. Słyszysz moje narzekania, a nie widzisz moich urojeń, które stały się powodem tych narzekań. Czytasz jakieś dziwne rozprawy moje, a nie wiesz, że wstęp i motyw tych rozpraw zostały w głębi duszy nie wypowiedziane!

Teraz powinno ci się wszystko wyjaśnić. Wiesz teraz że wszystkie moje myśli, marzenia, moje skargi i żałoby krążą około najbliższej mojej przyszłości.

Jakkolwiek oburza mnie ta myśl, że mogę być posądzoną, żem przybyła tutaj, aby się światu przedstawić i z nabytej sztuki podobania, zdać z sukcesem publiczny egzamen: jednak fakt pozostanie zawsze faktem, żem z cichój ostoji wypłynęła na szerszy gościniec życia, gdzie można kogoś spotkać i być również spotkaną....

Ta myśl zaprzęta mnie całą i trwoży mnie, jakbym blizką była wielkiego niebezpieczeństwa!....

Czy sądzisz, że to nie jest wielkiem niebezpieczeństwem, rozrządzić na raz całém życiem swoim?

Mój Boże! wszak mamy tylko jedno życie!

XIV.

Grudzień.

Wdzięczną ci jestem, że weszłaś w moje położenie i razem ze mną zaczynasz się o mnie trwożyć. Bierzesz na serio moje słowa, choć nie miałam odwagi żądać tego od ciebie. Jestto już skarbem nieocenionym dla każdego serca, jeśli znajdzie taką przyjaźń, jaką ty mi dajesz!

Im więcej okiem mojem świata zagarniam, tém więcej przekonywam się, że ludzie dążą coraz bardziej do wygod tak w świecie rzeczywistym, jako téż w świecie moralnym. Starają się ogładzić wszystkie ostre kanty, które w życiu ranią i niepokoją. Czynią kompromis z dobrem i złem, aby tylko żadnej walki nie toczyć. Walka to niepokój, drażni i męczy, a któż im wreszcie zaręczy za zwycięstwo tak, jak rządy poręczają spółkom kolei żelaznych pewne procenta od kapitałów wyłożonych? Wolą jeść codziennie jedną i tę samą strawę bez żadnego apetytu, jak dręczyć się pracą w ogrodzie warzywnym, któryby im tyle smakowitych mógł dostarczyć specyałów!...

Taką dziwną wygodę życia widzę prawie u wszystkich tych, którzy mnie otaczają. Głębsze uczucia serca, wyższe interesa społeczeństwa, zdaje mi się, nie istnieją dla nich. A jeśli czasem wypada o nich z konieczności coś mówić, to obwijają według kanonów salonowych, ostre ich kanty uśmiechem ironicznym, ubranym kunsztownie garniturą dowcipu.

Wierzaj mi, nie umiałabym nigdy wystawić sobie tych ludzi w jakich poważnych, dramatycznych sytuacjach życia. Zdaje mi się że nawet w tragedyi rzeczywistej, wzbudzaliby śmiech we mnie....

Wyobraź bowiem sobie towarzystwo aktorów, które zmuszone jest odgrywać codziennie farsy i komedyjki jednoaktowe. Niech im da kto do odegrania dramat lub tragedya. W najpatetyczniejszych scenach rozśmieszają cię. Dlaczego? Dlatego, że nie umieją uczuć tych scen, że grą lekką zabili w sobie namiętności; nie mają nawet wyobrażenia, że coś podobnego w życiu człowieka istnieć może! Oni przywykli tylko śmiać się i rozśmieszać drugih, wychodząc z tego założenia, że śmiech jest najlepszą przyprawą życia! Każde inne uczucie jest dla nich niezrozumiałe!

Gdyby śmiech był w istocie najwyższym kwiatem życia, to nikt nie widziałby cierpień bliźniego; nie słyszałby głosu nędzy i głuchym byłby nawet sam Bóg na krzyk bólesci czy to pojedynczego człowieka, czy całego społeczeństwa!... Nie byłoby żadnych, wielkich cnót: słowem nie byłoby żadnych bohaterów!

Według mego zdania śmieje się nieustannie tylko człowiek ograniczony. Uśmiechem swoim pokrywa wszystko, tak jak żebrak jedną długą opończą zakrywa dziury i łaty szat swoich.

Śmiech pusty bierze mnie, gdy się obejrzę wkoło siebie i w duchu tym wszystkim co mnie otaczają, rozdram jakiegoś trudniejszego role od ról bezdusznych marynetek!

I tak np. jakby wyglądał w roli markiza Pozy pan Lolek, jak go powszechnie nazywają? Młodzieniaszek ten zaledwie ukończył szkołę, niema wąsów ani brody, ale za to pewien skeptyczny wyraz na twarzy i pewną zgrzybiałość duszy, od której aż zimno bije. Krytykuje wszystko, zaczawszy od kapelusika pani marszałkowej a skończywszy na najnowszych ustawach ludzkich i dogmatach religijnych. Według niego wszystko jest złe i cały świat czeka jakiegoś

wielkiego męża, o którym jednak nie bliższego nie mówią. Wątpię aby siebie myślał, choć często ze skromnością podejrzaną oczy spuszcza. Ale wśród tych ironią zaprawionych rozpraw poprawia często angielski kołnierzyk, przymuskuje włosy i stara się pozować jak najwdzięczniej!..

Drugi ze sporo wyłysiałem czy raczej wytartem czołem, przysadkowatęj figury p. Nereusz przedstawia niejako typ tęg zagubionęj tężyzny, o której dawne pamiętniki z czasów Stanisława Augusta tyle dziwnych opowiadają rzeczy. Jest to uosobiona proza życia z całą swoją brzydką zarozumiałością i pychą, która zdala odstrasza rubaszością i prostactwem! Śmieje on się do rozpuku z wszystkich ideałów życia, umie wybornie trawestować wszystkie ody i elegie klasyków, powiada bez ogródki, że to tylko jest dobrem, co przynosi zysk namacalny i głośno odzywa się z tém zdaniem, że panna każda o tyle ma dzisiaj wartości, o ile przedstawia pewną cyfrę posagu. Związek małżeński uważa za nieuniknioną konieczność, jeżeli mężczyzna posagu żony potrzebuje.

Przyznam ci się, że mimo jego rubaszości wolę go od papinkowatęj twarzyczki pana Agapita, który wszystko da z siebie zrobić jak manekin malarza. Jaką mu pozę nadasz w takięj wytrwa, aż mu co innego rozkażesz. Na godzinę zmieni się tysiąc razy jak kameleon, stosownie do tego, jakim kto go widzieć pragnie. Ktoś powie że to białe, on przyzna, a za chwilę nie zaprzeczy drugiemu, który twierdzi że to czarne.

— Pan X. jest zły człowiek!—powiada ktoś do niego—opowiadają o nim rzeczy nie nader szlachetnej natury!

— Wszystko prawda—odpowiada pan Agapit—nawet więcej jeszcze powiem! To człowiek brudny....

— Czy znasz pan pana X.?—mówi za chwilę ktoś inny—to bardzo zacny człowiek chociaż ma nieprzyjaciół...

— A któż ich niema?—z słodkim uśmiechem odpiera p. Agapit—pan X. to człowiek jakich szukać....

— Słyszałeś pan, że panna Y. poszła za mąż tylko dla majątku przyszłego męża!

— Sam to stwierdzić mogę, bo byłem dosyć blizkim całej téj sprawy!

— Panna Y. to prawdziwa bohaterka! Czy uwierzysz pan że poświęciła się....

— Nie mów mi pan o tém, bo ja sam wiem to lepiej. To osoba tak rzadko pojawiająca się dzisiaj....

— Muzyka Wagnera jest nieznośną! Nieprawdaż?

— Wolałbym słuchać we młynie łoskotu kół!

— Niektórzy wyrządzają krzywdę wielkiemu Wagnerowi! On pierwszy sprowadził muzykę do właściwego stanowiska....

— Słusznie pani mówisz: to człowiek niepospolity! Nie mogę się dość nasłuchać jego kompozycji....

Zdaje mi się, że dosyć jasno odrysowałam ci tego manekina, którego zasady i poglądy są tak gibkie, jak skóra irchowa wypchana siercią. W niczem ci się nie sprzeciwi, na wszystko uśmiechnie się i zgodzi.

To są mniéj więcéj główne typy mego otoczenia, które znowu mieszają się między sobą w najrozmaitsze odcienia. Znajdziesz w nich wszystkiego po trosze, ale nie znajdziesz nigdzie człowieka samoistnego, któryby stał na własnych nogach, przyszedł pracą myśli swoich do pewnego zdania o życiu i jego obowiązkach, a któryby przedewszystkiémi miał całe, zdrowe serce, posiadał w pełni wszystkie ludzkie namiętności, które właściwie życie stanowią. Ubytek tego wszystkiego zastępuje tam sztuka, która tak się ma do rzeczywistości, jak nakręcana pozytywka do wibrującego głosu w pełnéj, żyjącéj piersi!

W takiém więc otoczeniu trudno jest bardzo, droga Salciu, aby głębsza myśl przyjęta została bez uśmiechu. Dlatego kocham cię teraz w dwójnasób, żeś odrazu nastroiła się do mego tonu: sprawia mi to niemałą radość.

A z drugiéj strony, jakież przykre uczucie ogarnia serce moje, gdy sobie przypomnę, że może właśnie w tém otoczeniu będę musiała wybierać i takiemu wybranemu oddać całe życie moje?....

XV.

w końcu grudnia.

Nadzwyczaj trudne dałaś mi zadanie. Widzę teraz, że byłam podobną do rozkapryszonego dziecka, któremu piastunka najrozmaitsze okazuje rzeczy, a które na wszystko odpowiada: nie chcę!

— Czegóż więc chcesz? — pyta w końcu piastunka.

I ty kochana Salciu zapytałaś mnie w podobny sposób. Powiadasz mi, że już wiesz czego ja nie chcę i żądasz wiedzieć odemnie, czego właściwie chcę!...

Przyznam ci się, że to niespodziane zapytanie trafiło mnie nieprzygotowaną.

Gdy się świata nie widzi, wtedy w samotności tworzymy sobie ten świat, stwarzamy ludzi i sytuacje. Mamy zawsze w zapasie jakieś gotowe idealiki, którymi pieścimy się do czasu.

Jeżeli zaś wejdziemy na szerszy świat, to los naszych idealików może być dwojaki. Albo zostawiamy je w osamotnionem ustroniu naszego życia, jak zostawia dziecię najpyszniejsze lalki swoje, gdy wychodzi na pensyą: albo bierzemy je w świat z sobą, ukrywszy je starannie w naszym podróżnym węzełku.

Wtedy na każdej stacyi życia wyjmujemy ukryty starannie idealik, i porównujemy go z otaczającym nas towarzystwem. Rozumie się, że otaczające nas towarzystwo różni się wielce od tego idealiku. Jeżeli nas to częste porówny-

wanie znuży, tłuczemy z bólem serca ten niezdarny idealik i wyrzucamy go od siebie. Jestto dla serca czas najniebezpieczniejszy... bo wtedy bez warunków podpisujemy kapitulacyą, chociażby nawet nie była bardzo honorową!...

Gdy zaś bez tego idealiku w świat wchodzimy, wtedy zatrzymujemy się chwilę przed każdym, który również przed nami stanie i pytamy według usposobienia naszego, główki lub serca: Czy ten? Nie ten, odpowiada główka albo serce i idziemy dalej.

Otóż na wszystkie moje terażniejsze spotkania odpowiedziałam sobie: Nie ten! Wiem więc czego nie chcesz a ty rzucasz mi pytanie: Czego więc chcesz?

Czy mamże w odpowiedzi na to zapytanie wydobyć z teki pensyonarskiej pozostawiony tamże idealik, którego najgłówniejszą zaletą były jasne kędzierzawe włosy, *en poëte* starannie ufryzowane, wąsik fiksatuarem do góry podniesiony i śnieżnej białości kołnierzyk *en enfant*!...

Nie, tego nie uczynię, bo nigdy cofać się nie lubię. Ale tém trudniejszą jest dla mnie odpowiedź.

Dotąd żyje ten ideał we mnie, tylko negacyą tego co widzę. Czuję go biciem serca, dotykam się go każdym westchnieniem, otulam skrzydłami duszy... ale go nie widzę, nie wiem jak wygląda! Wiem, że jest we mnie, zwinięty jak motyl, ale skrzydeł jeszcze nie rozprzestrzenił, nie przeleciał mi przed oczyma, choć go tak pragnę obaczyć!...

W jaki więc sposób odpowiem tobie: czego chcę właściwie?...

XVI.

Ostatni grudnia.

Dzisiejszego dnia, zamykając rachunek całego roku, myślałam nad odpowiedzią, którą tobie winna jestem. Pytałaś innie, czem ma być ten, któremu całą przyszłość moję powierzę?

Nad tą odpowiedzią myślałam dzień cały, ale myślałam napróżno.

Późną nocą przyszliśmy do domu, z wieczoru u pani marszałkowej.

Mówiono tam wiele o spirytystach w Ameryce. Przez całą drogę brzęczała mi w uszach ta dziwna rozmowa i nastrojała mię w sposób wyjątkowy.

Udałam się na spoczynek. Księżyc świecił jasno na niebie i przez białe, przezroczyste firanki przebijał, sine światło swoje malując na posadzce w najrozmaitsze arabeski.

Wyobraźnia moja była rozdrażniona opowiadaniem o spirytystach.

— Czemuż—pomyślałam sobie—jeśli to być może, nie stanie mi w téj chwili przed oczy ten, któremu mam kiedyś oddać całe życie moje? Czemuż choć na chwilę nie zajrzę w twarz jego i z niej nie wywrózę sobie o przyszłym szczęściu mojem? Czemuż dotąd ma on być ciągle owym nieznajomym, któremu już dzisiaj serce ulega?

Tak myślałam sobie patrząc na oświecone światłem księżycy arabski firanek.

Na ulicy było głucho i smutno. Lekki, zmęczony wiatr sunął się zwolna po śniegiem zawianej ziemi i tylko czasami uderzał o niedopartą szybę okna, lub obracał nad sklepem godło blaszane rzemieślnika... Czasami, tam z dali dochodził głos trąbki nocnego stróża, który niewidzialnemu towarzyszowi dawał jakieś umówione, tajemnicze znaki...

Wszystko to dziwnie mnie usposabiało. Na oczy moje nasunęła się jakaś ciężka ale przezroczysta zasłona, przez którą wszystko mogłam wygodnie widzieć. Nie powiem, żem spała i śniła. Słyszałam wyraźnie szklanny dźwięk okna, gdy wiatr o nie uderzał, słyszałam skrzyp blachy żelaznej, wyobrażającej koronę niemiecką, która w sposób przerażający zwiastowała całej okolicy istnienie swoje jako symbol arystokratyczny głównego wyszynku piwa... wszystko to słyszałam z wszelkimi odcieniami!

W tej chwili na jasnym tle firanek, narzuconym różnymi arabskimi zaczęła się rysować jakaś postać...

Dobrze jęj opisać nie umiem. Był to jakiś szkic niewyraźny....

Postać ta podobną była do człowieka, który idzie pod górę. Wiatr od góry rozwiewał długie włosy jego i szatom odpowiednio także nadawał draperye....!

Uderzona tym zjawiskiem otworzyłam szerzej oczy aby lepiej dojrzeć, ale zjawisko zniknęło.

Podniosłam głowę z poduszki i obejrzałam się z niejaką trwogą, ale oraz z rokosznie bijącym sercem po wszystkich kątach mego pokoju...

Wszędzie było pusto. Księżyc świecił tak samo przez okno, i zawiłe arabski firanek odtwarzał na błyszczącej posadzce. Wiatr trącał ustawicznie o szybę, a korona niemiecka skrzypiała nad sąsiednim szynkiem.

Nademną wisała kopja sławnego obrazu: przejście Napoleona przez Alpy.

Na ten obraz spojrzalam w tej chwili. I dziwna myśl przyszła mi do głowy. Postać ujrzana na białem tle firanek, miała niejake podobieństwo do tej pnącej się na koniu do góry postaci wielkiego człowieka! Osobliwie draperya sukni wiatrem unoszonej, dziwne miała podobieństwo!...

Czy to było jakie optyczne złudzenie? Czy obraz ten dziwną grą światła ze ściany nademną, przeszedł na firanki u okna i tam odbił się w sposób tajemniczy?

Nie mogłam sobie tego wytłumaczyć, ale dziwne to zjawisko wzięłam sobie za temat następnych marzeń moich! Widziałam w tém nawet jakiś dziwny związek ze spirytyzmem!

Bądź co bądź, miała to zawsze być wskazówka tego, którego tak gorąco pragnęłam obaczyć!...

I cóż miał oznaczać ten mglisty, niewyraźny rysunek?

Co raz jaśniej, co raz wyraźniej zaczął mi się przed oczyma duszy rysować mój ideał...

Miał to być w każdym razie człowiek, który nie leży gnuśnie na miejscu, gdzie go przypadek rzucił, ale który gdzieś idzie, gdzieś dąży, do czegoś wyższego wspina. Przed nim góra nieprzebyta, a nawet wiatr od góry tamuje kroki jego. On walczy i dobywając sił ostatnich dąży naprzód... Tam na szczycie góry uśmiechają się do niego wieńce z kwiatów... Tam wejść razem z nim i te wieńce położyć mu na głowę...

I powoli rozjaśniała mi się myśl tej wizyi. Ideał mój powinien być człowiekiem jakiegoś czynu. Temu czynowi powinien poświęcać życie swoje, a jabym wtedy z rozkoszą nieokreśloną do jego życia dorzuciła połowę mego życia, połowę serca i duszy... i tak przeięci jednem uczuciem, natchnieni jedną myślą szlibyśmy, co raz dalej, co raz więcej.

Taka myśl ogarniała z wolna całe serce, całą duszę moją... Roztopiłam się cała w tej myśli i z jakąś niewysłowioną rozkoszą zaczęłam tracić zmysły moje! Nie widziałam już arabesków na tle firanek, nie widziałam sinego światła księżycy, który ślniącą posadzkę ubierał w perskie dywany.... nie widziałam nawet już obrazu Napoleona, gdy

z wzdętym od wiatru płaszczem przebywa niebotyczne Alpy.... słowem nic a nic nie widziałam z tego, co mnie przed chwilą otaczało... ale widziałam za to teraz dziwne rzeczy.

Człowiek, o którym przed chwilą marzyłam, wystąpił nagle z ciemnego tła i stanął przedemną. Jak wyglądał? Nie wiem. Silne wrażenia nie pozwalają nigdy zająć się szczegółami. Wiem tylko że na widok jego, rozkosznie uderzyło mi serce, a dusza napoiła się dziwném, niezaznaném dotąd uczuciem!... Dziwną potęgą woli i nieugaszonego pragnienia przyciągałam go zwolna do siebie.... a on zbliżał się do mnie... zbliżał się coraz więcej z wejrzeniem przykuteń do moich oczu.... Wreszcie uczułam na moich ustach gorący pocałunek i z nadmiaru szczęścia przestałam prawie żyć....

Tak, rzeczywiście. To był pocałunek mego ideału, był zakład z mojej strony, że mu zostanę wierną do śmierci! Nic mnie od niego nie odłączy, bo bez niego nie ma dla mnie życia! Kobieta ślubuje sercem, a serce to ona! Ślubowałam wierność memu ideałowi, czy go znajdę na ziemi?

Cokolwiekbyś nastąpi, ty już masz odpowiedź na twoje zapytanie!

XVII.

ALFRED DO NEREUSZA.

Paryż, grudzień.

Witam cię królu nasz na ziemi Saskiej, bądź pozdrowion imieniem tych, którzy pamięć twoją czczą nieustannie pełnym kielichem i nieustającą adoracją pięknej połowy rodzaju ludzkiego!...

Witam cię śmiały pogromco serc kobiecych, który do boju stajesz z otwartością godniejszą lepszéj sprawy, gardząc wszelkimi kramkami dyplomatycznymi jak ongi Napoleon Wielki!.....

Witają cię przezemnie, jako naturalnego reprezentanta wszystkie owe zakapturzone kapłanki z bulwarów włoskich, które pozują i które wcale nie pozują! Witaj nam! Po trzy kroć witaj nam!

Pytasz mnie zkąd nagle taki oratorski talent wziął się we mnie? Na to odpowiadam ci, że z potrzeby. Trzeci bowiem dzień siedzę w domu jak trapiści, a wszystko to co mnie otacza, woła do mnie: *memento mori*!

Najprzód wymówił te słowa brodaty eskulap z miną tajemniczą. Powiedział mi wyraźnie, że żyję z kapitału życia, a jeżeli nie ograniczę się na procentach, to kapitał się wyczerpie, zbankrutuję, to jest: umrę!

Potém to samo, tylko w sposób więcej obrazowy powiedziała mi flaszką z medycyną, na której przeczytałem złowieszcze słowa: *lichen islandicum* i inne jakieś zioła z przydomkiem *pectorale*!...

Głupi eskulap! On myśli że łacińska jego kuchnia pomoże co na to, jeśli ktoś trzy dni spełna biesiadował u *Petersa*, a trzy nocy w liczniejszym towarzystwie w służbie Bachusa i Satyrów przesiedział w owych cudownych *cabinet-canapée* u *Vachèta*! Mówię ci, jedna taka biesiada wystarcza za wszelkie marcepany matrymonialnego szczęścia!..

Otóż, *à propos* szczęścia matrymonialnego, przypominam sobie, o czém właściwie chciałem dzisiaj pisać do ciebie. Już dawno ułożyłem sobie zająć cię moją korespondencją, ale zawsze do dobrych chęci zabrakło mi czasu. „Czas jest złoto“ powiada anglik, a ja powiadam, że czas jest czémś więcej: jest rozkoszą!

I nie wiem kiedybym mógł tę chwilę bezużytecznego czasu wynaleźć, gdyby nie eskulap, który mnie na kilka dni zamknął w pokoju moim, strasząc nieustannie owém złowieszczem słowem: *memento mori*!

Na tych więc rekolekcyach przychodzą mi różne myśli do głowy. Przypominam sobie, com komu winien, a kto mi jest dłużny. Przypominam sobie, com komu przyobiecał, a nie dał, gdzie jaki weksel podpisałem a dotąd nie zapłaciłem.

Wszystkie te szkaradne cyfry defilują przedemną jak wojsko przed komendantem, a ręczę ci, że wcale z nich zadowolony nie jestem. Starają się bowiem one mnie przekonać, że to nie jest prawdą, co głupi eskulap mówił, jakobym żył z kapitału życia, bo kapitału już wcale żadnego nie widzę, ale widzę tylko kredyt znakomity.

Pewien postępowy ekonomista, współpracownik „Figara” powiada, że marnotrawstwo ma swoją dobrą stronę. Jeśli bowiem, damy na to, ma ktoś kapitału sto tysięcy, i dosyć oszczędnie z tego kapitału żyje, to za pewien przeciąg czasu spotrzebuje ten kapitał, to jest przeżyje ni mniej ni więcej

jak tylko sto tysięcy. Jeżeli zaś ja te sto tysięcy zamiast dzielić je homeopatycznie, w krótkim przeciągu czasu z wielkim efektem rozrzucę, to zarobię sobie niemi kredyt na drugie sto tysięcy. Spożytkowawszy więc należycie ten zarobiony kredyt, zrobiłem złoty interes. Mając bowiem sto tysięcy, wydałem w krótkim przeciągu czasu dwa kroć, co znaczy, że mój kapitał zakładowy przyniósł mi w rezultacie przeszło sto procent.

Dajże mi więc sposób na to, aby kapitał lepiej się rentował. Marnotrawstwo jest wielką spekulacją, jakiej tylko płytkie rozumy ocenić nie potrafią. Nie jeden w pocie czoła je tylko barszcz z chlebem, podczas gdy my mamy zawsze w perspektywie pieczonego indyka z truflami i butelkę szampana!...

Podobny system obrotu kapitałów naśladowają wszyscy, a nawet i mieszczaństwo bierze się do tego. Czyż nie tą samą drogą postępuje kupiec, który na urządzenie pysznego sklepu wyrzuci kilka kroć, a potem z kredytu tylko żyje. Wprawdzie jak u nas tak i u niego wyczerpuje się kredyt a koniec jest ten sam, dla niego jak i dla nas korzystny. Kredytorowie układają się, przyjmując od niego dziesięć za sto, a od nas, nic!

Ale to *nic*, jest zawsze dla nas, nie wygodne. Kupiec z tym przydomkiem daje sobie radę. Idzie za pomocnika do drugiego sklepu i rozpoczyna znowu na nowo swoją karierę. Dla nas to rzecz trudniejsza. Jesteśmy jak gracje w wyjątkowém położeniu i nie mamy się na czém odbić. Francuz na przykład ma lepszą szansę. Gdy straci ostatniego franka, maże koronę i herb na karcie wizytowej i z prostém tylko nazwiskiem idzie w służbę. Wstępuje do wojska albo do kancelaryi dyplomatycznej albo do departamentu kolonialnego. Markiz, hrabia, albo książę przebywa inkognito pierwsze stopnie. Znałem sam takich biędaków, a widząc ich bilety, pytałem dlaczego zmazali z nich swoje tytuły.

—To kosztuje za wiele—odpowiadali z uśmiechem.

Dopiero doszedłszy do ważniejszej posady wychodzą nagle w swoim dawnym blasku, i często nawet swoim najbliższym znajomym czynią tém najpociesznieszą niespodziankę.

U nas zaś ma się rzecz odwrotnie. W charakterze naszym leży aby przynajmniej za granicą, dorabiać sobie na biletach korony i różne herby. Tradycja to dawna i jej trzymać się nam należy. Za to dajemy zagranicą wyobrażenie, że nasz naród składa się z samych oficerów, że szeregowców nie ma. A zagranica zato znowu kocha nas, że pobudzamy kapitały do większego ruchu. Zdaje mi się, że wszelkie historyczne sympatye dla nas mieszkańców z nad Sekwany odnoszą się do tych nie ocenionych przymiotów naszych...

Wyłożywszy ci tę najnowszą ekonomję społeczną, powiedziałem ci, co robi kupiec, gdy mozolnie zarobiony kredyt jego do zera dochodzi i powiedziałem ci także, co robi *markiz* lub *comta*, gdy kalendarz jego domowy również tę fatalną nulę mu okaże.

Zgadnijże teraz, co robi w takim razie nasz szlachcic czystej krwi, gdy również to fatalne kółko zobaczy?

Oto—żeni się!

Przy tém słowie „żeni się” nic nie dodaje, bo to jest niepotrzebném. Dzisiaj nikt tego słowa nie pojmuje inaczej. Żenić się, to znaczy, wziąć posag z żoną.

Parbleu! Jest to zawsze ważny krok w życiu, choćby tylko był krokiem, po pieniądze. Kandydat do takiego heroizmu nader zabawnie wygląda. Mieliśmy tu niedawno przykład z poczciwego Tolka. Nie uwierzysz, i żal nam go było, i śmialiśmy się z niego do rozpuku. Kiedy już musiał z powodu fatalnego zera nasze wieczorki pożegnać, zaczął z nudów chodzić do kościoła św. Magdaleny i tam w „*chappelle des mariages*” przesiadywał całe godziny. Pewnego poranku ujrzał ślubną parę przystępującą do ołtarza. Panna młoda była kobietą w średnim wieku i dobrze zażywną. Pan młody zaś był to stary, suchotniczy starzec z długim nosem i obwisłymi ustami. Tylko skombinował że tu będzie

jakieś spadkobierstwo dla niego. Dowiedział się o stanie majątku pana młodego i zaznajomił się z szczęśliwem stadem. Bankierowi wyrabiał różne interesa, namówił go na podróż do Pireneów dla świeżego powietrza, i tam z całą troskliwością w przesłicznój okolicy z widokiem na morze, pochował. Sam zaś w kilka miesięcy w téj saméj „chapelle des mariages” przysiągł półgębkiem zażywnéj jejmości miłość i wierność dozgonną...

Ha, cóż robić. Są sytuacje, w których nic innego zrobić nie można.

Wesele Tolka obchodziliśmy wesoło uroczystością jego pogrzebu. Kazaliśmy jeden „cabinet separé” u Vacheta przyozdobić czarną krepu, a wśród pękających butelek śpiewaliśmy żalonym głosem psalmy pokutne... Biedny Tolko on umarł żywcem i pogrzebion jest na wieki!...

Wszystko to, mój drogi Nereuszu, dąży do tego, że i mnie ten los czeka!...

Przestrzasza cię to, ale to jest prawda, smutna prawda. Głupie przysłowie mówi, że do czasu dzban wodę nosi.... Otóż nie wiesz, co gorsza, czy gdy się dzban stłucze, czy gdy się woda wyczerpie?

Jedno i drugie jest fatalne, a trzeba temu jakoś zapobiedz.

Już trzy listy pisała mi stryjenka moja, pani marszałkowa, że tam do Drezna, wyłącznie w tym celu, aby mój dzbanek się nie stłukł i wody nie zabrakło, przywiozła jakaś pocziwa ciocia z Ukrainy wcale nie szpetną i jeśli nie szpakami ale zato kukurydzą dobrze utuczoną szkatułeczkę, w której ma być gotówką parę kroć.... Pisze mi dalej stryjenka, że nieoceniona ciocia codziennie o mnie się pyta i wyraźnie pod sekretem jéj wyznała, że na umyślnie dla mnie przywiozła z pod „Porohów” ten klejnocik z nieoszacowaną oprawą.

Gdyby to można tę kosztowną oprawę bez tego klejnocika wziąć *brevi manu* w posiadanie, toby mniej było zachodu i mniej może powodów do następnych nieporozumień. Ale

kiedy już tak stary obyczaj każe, to cóż robić, trzeba się i na to zgodzić. *Nollens volens* trzeba i o klejnociku pomyśleć.

Otóż w tym celu przyszła mi myśl napisać do ciebie i prosić cię w tej mierze o *bonnes-offices*. Mianuję cię więc moim ambasadorem, ale do czasu nie będziesz jeszcze wywieszał mojej bandery. Doniesiesz mi tylko, rozumię się z zachowaniem wszelkiej dyskrecyi, jak tam rzeczy stoją i jakiego rodzaju jest ten klejnocik, aby wrazie potrzeby stosowną dla niego przybrać pozę. Napisz mi, co w takim razie każdy kandydat do stanu matrymonialnego wiedzieć powinien. *Sapienti sat*, mądrój głowie dość dwie słowie.

A jeśli wszystko potem się złoży, to wyprawię wam taką stypę mego kawalerstwa, jakiej nikt nie widział i wiedzieć nie będzie świat i korona Burbońska. Zawsze twój.

P. S. Ukrainka ta nazywa się Jowita. Zkąd na Ukrainie zakwitło to pogańskie imię, tego wytłumaczyć sobie nie umiem. Opisz mi tę szacowną poganę!

XVIII.

Paryż, grudzień.

Szacowny ambasadorze! *Pas trop de zele* mawiał jakiś wielki człowiek, i bardzo prawdopodobnie, było mu z tém dobrze. Otóż i ty powinienes być wiedzieć o téj zasadzie. Ależ żeś nie wiedział, to stało się, że list twój zastał mnie w niemałym kłopotcie.

Przed tygodniem w dobraném towarzystwie wracałem z Alkazaru, gdzie właśnie *madame Kaiser* po raz pierwszy występowała. Nie będę ci opisywać owego wieczoru ani nawet nie zatrzymam się na czarnych oczach mulatki, która precudnie w śpiewie szepleni, ale odrazu zacznę od rzeczy.

Wracając z Alkazaru wstąpiliśmy do *Cafe riche*. Nie bywam tam nigdy, bo to nie nasza stacya. Jest to większej części miejsce schadzki giełdzystów, czy raczej tak zwanój kulisy. Zapewnie wiesz z jakich ludzi składa się kulisa. Jest to banda prostych rozbójników giełdowych. Gdyby pod inną formą rozbijali, wysłanoby naprzeciw nim kilka regimentów żandarmów. Dzisiaj toleruje się to, a nawet czasem nazywa się zręczném robieniem majątku.

Rozumie się samo przez się, że ludzie ci nie grzeszą zbytniém wykształceniem. Ponieważ odrazu przychodzą do wielkich fortun, więc chcąc świata użyć, wyrzucają pełnemi garściami pieniądze, tak że przy nich, nie ma co człowiek robić mający w kieszeni parę sto frankówek.

To téż zawsze zdala trzymałem się tego *café riche*, ale wtedy coś nas znęciło.

Przez kryształową szybę, oświeconą tysiącem płomków gazowych obaczyliśmy prześliczną rusałkę...

Siedziała przy marmurowym stoliku i dumiała nad filiżanką czekolady. Miała główkę drobną rączką podpartą, na której błyszcząły imitacye brylantów. Zbliżyłem się do niej.

Była piękna jak Wenus. Oczy czarne jak dwa pieprze pływały w białej emalii. Brwi, nieco podmalowane, wyglądały jednak pysznie. Usta jak dwa korale. Cała twarz, jak prześliczna kunsztownie zakonserwowana emalia.

Było coś uroczego w jej całej postaci. Rozpatrzywszy się bliżej poznałem natychmiast, że to była jedna z tych piękności, które mają *gratis* filiżankę czekolady i szklanę wody za to, aby w malowniczej postawie za szybą kryształową pozowały. Na ulicy sprawia to efekt czarodziejski. Kawiarnia ubrana w same zwierciadła, szyby kryształowe, tysiące płomieni gazowych, a wśród tego czarodziejskiego tła rysuje się piękna czarodziejka, istny obraz Van-Dyka w ciemnych ramach nocy.

Mów co chcesz, ale tutaj umie się kobiéta okazać.

Porównaj z tém czarodziejskiém oświetleniem naszą kobietę w spokojnym, łojową świeczką oświeconym dworku szleheckim, gdy podzwaniając kluczami od spiżarni ociera ręce od krajania słoniny, i z lukrecyjnym uśmiechem zapowiada ci zrazy z kaszą na wieczerzę...

Ha, cóż robić... Twój list, kochany Nereuszu stawia mi także w perspektywie takie zrazy z kaszą... Powiadasz że Jowita nie jest szpetna i że ma jakieś podobieństwo do mulatki z Alkazaru. Więc jest ciemnej cery, niebieskich oczu i czarnych włosów. Jeżeli jak twierdzisz, babka jej była Włoszką, to będzie to typ włoski. Ale mniejsza o to. Ważniejsza sprawa z posagiem. Więc rzeczywiście będzie kilka kroć...

Powiadasz dalej, że jest trochę dzika i że brak jój spokoju salonowego. To nie najlepsza rekomendacya. Kobiety podobne trudno tém zadowolić, co im salon dać może. A przyznasz sam, że w takim razie, jest się w wielkim ambarasie. Ale słuszną czynisz uwagę, że to z jój strony może być przemijające pozowanie na bohatérkę jakiego przeczytanego romansu. I słusznie powiadasz, że jój rogi wnet się przetrą.

Żałuję bardzo, że nie mogę w téj chwili przyjechać do was. Sądzę, że zawsze na czas przyjadę. Tymczasem stryjence mojej dałem instrukcye, aby przygotowała pole. Napisz mi wkrótce.

XIX.

Paryż, grudzień.

Ręczę ci, przeczacny Nereuszu, że takięj kobiety, jaką jest Celestyna nie ma drugiey na świecie.

A wiesz kto jest ta *mlle. Celestine*? Owa czarodziejka z *café riche*!

Jesteśmy w wielkiey przyjaźni z sobą. Jadamy codziennie u Vacheta w *entre-solu*, a wszyscy znajomi zazdroszą mi tego znakomitego zwycięstwa.

Ma to szczęście wprowadzie swoją stronę odwrotną. Niebianka moja kosztuje mnie szalone pieniądze. Nazywam ją „kruczkiem“ bo tak jak kruk lubi wszystko co błyszczy. Zabrała mi wszystkie moje szpilki dyamentowe, zabiera mi nawet złoto *in natura*, bez żadnej wartości artystycznej jak np. napoleondory, a nawet i błękitne sto frankówki mają dla niej powab nie zwyciężony. A na koronę tego wszystkiego u Vacheta ję za trzy i pije za drugie tyle, wybierając rozumie się co najlepszego i najdroższego!...

Ale za to wolno mi patrzeć w te czarne pływające w białej emalii źrenice, mam na zawołanie ten uśmiech czarodziejski tych ust koralowych, bo potrzebuję tylko coś błyszczącego okazać... mam jęj dowcip tryskający jak wino szampańskie i tę nieokreśloną niczem, nieujętą w żadną książkę ani przepis—sztukę podobania się, sztukę zużytkowania ku naszej zabawie wszystkich wdzięków, zacząwszy od

mikroskopijnego bucika a skończywszy na pieprzyku nad okiem.

Nie sztuka to naszym zacnym stryjenkom pisać nam kazania i egzorty przeciw temu, o czém one nigdy wyobrażenia nie miały!... To właściwie można poznać, czém może być kobieta!

Smutno, bardzo smutno jest mi, gdy mi na myśl przyjdzie, że kogós może kiedyś porównywać będą z niezapomnianą Celestyną!... Widzę najprzód, że ten ktoś bardzo źle wyjdzie na tém porównaniu!

Być ładną, piękną, a nawet rozumną, to jeszcze nie jest dosyć. To jest dopiero zakładowy kapitał, z którego dopiero coś zrobić można, jak powiada ekonomista z Figara.

Celestyna to cudowna kobieta!

Pisze mi stryjenka, że towarzystwo takie czyni mi ujmę. Pytam się ciebie, jaka jest różnica między Mlle Celestine a najzacniejszą naszą panną, która dla majątku idzie za mąż? Celestyna sprzedaje pojedynczo każdorazowy swój uśmiech, swoje spojrzenie i dowcipek malujący, a tamtęj ryczałem z góry zapłacono!

Z tego com ci napisał, nie weźmiesz mi za złe, jeśli tak prędko do was nie przyjadę. Wierzę w moją dobrą gwiazdę. Nigdy jeszcze w życiu nie spóźniłem się. Zdaje mi się nawet, gdybym za dnia miał jeszcze gdzie stanąć, a na to dnia jużby nie wystarczyło, toby słońce z grzecznością zatrzymało się na niebie, a księżyc nie wylazłby z pod ziemi!..

Dobra wiara wiele znaczy w życiu.

Ale mimo to, gdybyś spostrzegł jakie niebezpieczeństwo, to niezawadzi mnie ostrzedz o tém. Jestem w tój mierze podobnego zdania, co ambasador pruski na dworze perskim. Złożył on władcy Persyi w podarunku uzbrojenie kirasyera pruskiego wraz z karabinem iglicowym.

— Na co ta blacha żelazna? — zapytał prawowierny władzca.

— To kirys, na piersi, aby kula nie przeszła — pokornie odpowiada ambasador.

— Więc dobrze, spróbujemy zaraz — rzecze namiestnik proroka — każ służącemu wziąć kirys.

Służący zbladł.

— Czemuż blednie ten głupiec? — pyta rozgniewany władzca.

— Bo czasami może kula przebić tę blachę! — nieśmiało odpowiedział poseł.

Dorób sobie sam do tego sens moralny i bądź zdrow, bo Celestyna czeka na mnie w cafe riche!

XX.

STEFAN DO NIEZNAJOMEGO.

Drezno, 5 stycznia.

Drogi przyjacielu! Długo namyślałem się, nim list niniejszy do ciebie pisać zacząłem. Dotąd w listach naszych rozbieraliśmy różne kwestye sztuki. Mamże teraz w zakres tych listów wciągnąć i więcej nizeli przyjazne zwierzenia się? Po długim namyśle przychodzę do tego przekonania, że to koniecznie uczynić muszę. Widzę, że człowieka pracującego duchem nie można podzielić na dwie części: na człowieka prywatnego i publicznego. Minister może być w biurze swojem ministrem, a w domu u siebie, w gronie rodziny, prywatnym człowiekiem. To samo może uczynić żołnierz, kupiec a nawet rzemieślnik. Nie może tylko tego uczynić poeta ani artysta!

U jednego jak u drugiego wszystko należy do sztuki lub umiejętności. Wszystkie jego myśli, marzenia, całe życie są własnością ogółu, któremu służy. A ogół ten jest często tak okrutny, że każe mu zdawać rachunek z każdego uderzenia serca, z każdego na wiatr rzuconego westchnienia! I znajdują się oprawcy, którzy wołają, dlaczego to serce teraz słabiej bije, kiedy ongi biło żywiej... dlaczego głos ten jest mniej donośnym, nizeli był za lepszych czasów!...

To też nieobojętném powinno być poecie lub artyście to wszystko, co jego serce porusza, i co piersi jego głęboko

wzdychać każe. Nie jest to prywatną częścią jego życia, bo to odbija się w następnych jego twórcach. Mimowoli i mimochęci przechodzi to zwolna na płótno lub na papier, chociażby nawet świat nie poznał!

Dlatego też i ja, drogi mój przyjacielu, nie mogę mieć żadnych tajemnic przed tobą, bo wszystkie moje tajemnice tak ściśle są z moją sztuką związane, że ich od siebie odłączyć nie można!

Posłuchaj więc cierpliwie mego wyznania.

Od ostatniego listu mego czułem się nieszczęśliwym i strasznie przygnębionym. Jakiś dziwnym przecuciem wiedziony czekałem pociechy z dnia na dzień, od tygodnia do tygodnia. Tymczasem upływały dnie i tygodnie, a w duszy mojej było tak straszno i smutno, że sam siebie obawiał!

Nie ma nic okropniejszego, jak wśród jakiegoś zawodu, nagle zwątpienie w siły swoje.

Takie właśnie zwątpienie męczyło mnie od niejakiego czasu.

Powyrzucałem wszystkie moje szkice do rozleglejszych kompozycji. Chciałem wkoło siebie stworzyć pustynię, próżnię, jaka właśnie panowała w duszy mojej. Chciałem wszystkie władze mego ducha położyć na niejaki czas odłożeniem w nadziei, że może coś lepszego urodzi się na roli świeżej i wypoczywaną.

Ale daremnie oczekiwałem nowych owoców. Jakaś dziwna posucha ośwładnęła mój umysł. Zacząłem zupełnie już wątpić o sobie. Straszne, okropne jest to uczucie.

Jest to rzeczą znaną, że myśli i uczuć, które dłuższy czas pieściliśmy w głębi duszy, nie można pozbyć się od razu. Podobnie do rozruszanej struny, brzmia one jeszcze czas niejaki, chociaż tej struny ręka już więcej nie porusza. Wtedy słuchamy mimowoli tego dźwięku, chociaż go słyszeć wcale nie pragniemy.

Tak też stało się i z moją wyobraźnią. Wyrzuciłem z niej wszystkie plany i projekty do nowych kompozycji tak

samo jak z mego pokoju na strych powynosiłem niezdarne szkice i kartony, aby mi złęgo humoru mego nie zwiększały. I zdawało mi się, że jak wszystko wkoło siebie uprzątnąłem, tak samo i w wyobraźni mojej zmasałem.

Dziwnym wydał mi się ten nowy porządek u mnie. Nie wiedziałem, że wkoło siebie i w duszy mojej zrobiłem to samo, co robi każdy przezorny gospodarz, który oczekuje upragnionego gościa. Skrętnie wyprząta wszystkie kąty, wyrzuca niepotrzebne rupiecia, ściera i myje pozostałe brudy, aby gościa swego uczcić jak należy, i okazać mu, jak wielce go pragnął i wysoko ocenił.

Zdaje się że to samo i ja mimowolnie uczyniłem. Czy przeczuwałem nowego gościa?...

Mimoto wszystko brzęczały jeszcze w wyobraźni niektóre pozostałości.

Najuporczywiej prześladowała mnie myśl do jednego obrazu. Wiesz już, że całą duszą utonął w czasach pierwszego chrześcijaństwa. Jest to skutek mego pobytu w Rzymie i częstych odwiedzin katakumbów. Otóż myśl tego obrazu odnosiła się do tych czasów.

Chciałem przedstawić sądy na pierwszych wyznawców Chrystusa. Przed sędzią pogańskim stoi niewiasta-chrześcianka. Z różnych akcesoryi widać, że wymaga od niej wyznania, czy jest rzeczywiście wiary Chrystusowej. Jest to moment który rozstrzyga o jej życiu. Postawa jej i wyraz twarzy ma oznaczać, że ona w duchu już dawno tę kwestyą rozstrzygnęła i teraz tylko wygłasza ustami to straszne słowo, które zarazem jest dla niej wyrokiem śmierci!

Wyobrazisz sobie, że cała trudność tego obrazu zależy na tém, aby ta niewiasta, w której fałdy chowają się z trwogą małe dziatki, całą swoją postawą i twarzą mogła tę myśl wyrazić!...

Napróżno od kilku miesięcy szukałem modelu, któryby mógł choć w części zbliżyć się do tej postaci, jaka mi przed oczyma duszy pozowała. Nie było jej nigdzie. Wszystko to co widziałem, było poziome, powszednie. Jedna z nich

nie okazałaby tego spokoju, téj wspaniałej duszy, téj królewskiej postawy w takiej chwili życia! W najlepszym razie stworzyłbym z takich materyałów coś teatralnego, z jakąś głową podniesioną do góry, czoło okrutnie zmarszczone i pierś zaciśniętą! Na scenie prowincjonalnej może to wystarczyć, ale obraz taki nie przemówi!

Otóż między innemi rupieciami wyrzuciłem i tę myśl, ale jakoś uporczywie zawsze wracała do mnie.

Za każdym krokiem oglądałem się, bo zdawało mi się że idąca ku mnie kobieta może właśnie być tém, czego od mego wymarzonego modelu oczekiwałem. Ale zawsze i wszędzie to samo rozczarowanie....

Dzisiaj był ranek nader przyjemny. Jakkolwiek mróz trzymał jeszcze wszystko w swoim żelaznym ujęciu, słońce jednak świeciło dosyć ciepło. W powietrzu była cisza a niebo miało tylko jeden, błękitny kolor.

Koło południa wyszedłem na „terasę brülowską.” Zastałem tam wielu ludzi przechadzających się.

Lubię niezmiernie widok z téj terasy. Nawet w zimie ma ten widok coś uroczego. Pochyła przestrzeń Elby świecąca sinym, zimnym kolorytem lodu stanowiła przepyszny przód tego wspaniałego obrazu. Po lewej ręce przecinały tu jednostajną przestrzeń regularne łuki starego mostu, za którym w niewielkiej oddali nieco, już za siną mgłą stały znowu w drugim szeregu kamienne arkady nowego mostu, po którym właśnie lotem strzały o napuszonych piórach z pary, pędziła lokomotywa.

Nic tak nie ozdabia saméj natury, jak pojawiające się na jéj tle linie architektoniczne. Najromantyczniejsza okolica nie przemówi do nas tym językiem, jakim przemawia natura połączona z sztuką. Widzimy bowiem na niej ślad i panowanie człowieka.

Tą myślą właśnie natchnęły mnie te prześliczne arkady tych dwóch kamiennych mostów, rysujących się na przezroczystém tle olbrzymiej rzeki....

Stałem długo przy murze terasy i patrzałem na ten widok precudny, oświecony szczególnie światłem zimowém.

Lekki szmer sukni oznajmił mi, że nie sam jeden podziwiam roztaczający się obraz...

Spojrzałem na moją sąsiadkę....

Nie śmiej się ze mnie, gdy ci powiem, że doznałem tak dziwnego uczucia, o jakim nie miałem wyobrażenia.

Radość nieopisana napełniła serce moje. Zdawało mi się, że nagle znalazł to, czegom tak długo, z taką tęsknotą szukałem, że sam Bóg przysłał mi ją tak blisko, tak blisko, iż mogłem słyszeć jej oddech....

Zapytasz mnie zapewne z uśmiechem, co właściwie znalazłem, i czego tak długo z tęsknotą szukałem?

Oczywiście... modelu szukałem i... model mój znalazłem!

Wyobraź sobie postać dosyć słuszną, odzianą jakąś fałdzistą, niezwykłą szatą. Postawa prosta, ramiona w tył wdzięcznie podane znamionują silną wolę i charakter niezwykły. A kiedy zgrabnym ruchem ręki twarz swoją odsłoniła, jakby odgadła, że na nią z ciekawością patrzę, obaczyłem najprzód prześliczne, dziwnie wypukłe czoło takiego samego kształtu jak to widzimy w Rzymie na Kapitolu u Jowisza. Cera twarzy jest śniada i ma woń południa. Dodaj do tego oczy jasno szafirowe i wszystkie rysy nader harmonijne, a będziesz miał przed oczyma mój... model, jakiego, powtarzam, tak długo i z taką tęsknotą szukałem!

A wiesz jaką jeszcze cnotę tajemną posiadał ten mój model? Oto zimę wkoło mnie zmienił nagle w skwarne, piękące lato!

Gdym bowiem spojrzał potem na zimowy krajobraz, widziałem go w takiem świetle, jakie tylko nadać mu może słońce lipcowe!...

O tym słońcu... czy raczej modelu później może więcej co powiem.

Godzina pierwsza po północy.

XXI.

6 stycznia.

W téj chwili dostaję list bardzo smutny.

Dziwnie to się mieśza w życiu ludzkiem. Zaledwie pogodniejszy promień z nieba spadnie, już razem z nim spada na nas umartwienie. Być może że dlatego niebo nam się uśmiechnie, aby niejako ulżyć nam w nadchodzącej boleści! Czyż szczęście na ziemi nie może być bez żadnej przymieszki téj kwaśnej potrawy?....

Zaledwie oczy otworzyłem, a otworzyłem je aby na jawie śnić dalej słodko o wczorajszém zdarzeniu, kiedy służący oddał mi list ze stampilą szwajcarską.

Wyobraż sobie moje wielkie zmartwienie! Z listu tego dowiaduję się, że brat mój śmiertelnie ranny w pojedynku i że leży w szpitalu małego miasteczka, bez żadnej pomocy, bez żadnych środków.

Historya pojedynku jest nader brudna. Martwi mnie więcej niżeli sam pojedynek i jego skutki.

Przyjaźń twoja wkłada na mnie obowiązek, abym i to moje zmartwienie przed tobą wypowiedział.

Brata mego poznałeś w Homburgu. Zdaje mi się, że już go dosyć sam sobie scharakteryzowałeś z tego co widziałeś. Należy on do rzędu tych ludzi, którzy nie mogą pojąć tego, że człowiek każdy rzetelnie pracować powinien, jeżeli za własne swoje fundusze nie może być próżniakiem.

Jakkolwiek ojciec nasz znaczny posiadał majątek, jednak (nie oskarżam nikogo) zbiegiem różnych wypadków i katastrof, zostaliśmy obaj prawie bez funduszków, któreby nam na dłuższy czas życie bezczynne zabezpieczyć mogły. Wacław poszedł utartą u nas drogą, jaką idą zazwyczaj ludzie nam podobni. Małą schedkę jaka nam się została, wziął do kieszeni i poszedł z nią szczęścia szukać. Ubrał się wykwintnie, kupił ładne koniki i objeżdżał koleją znajomych i nieznajomych. Zamiarem jego było ożenić się dla posagu. Nie szczęściło mu się jednak w tych zamysłach. Psotny bożek, który dawniej z taką łatwością przeszywał serduszka posażnych panien, teraz gdzieś się schował i dowołać go się nie można. Wacław nie był szczęśliwszym od innych. Poznał że bajka o złotym deszczu Jowisza wielką ma prawdę. Zresztą dla koników zabrakło owsa, dla „Zorża” strawnego. Robić co nie wypadało, więc zaczął bawić się „w niedrogie partyjki.” I tak powoli i powoli, tentując fortuny zaszedł aż tam, gdzie go poznałeś.

W Homburgu z różnem szczęściem próbował rulety. Ruleta nie dopisała mu. Ułowił jakiegoś Podolaka i wmówił w niego, że długiem studyowaniem rulety doszedł do pewnych rezultatów nader ważnych. Podolak poszedł na lep, dał mu sumkę swoją, która w krótkim czasie przeszła do banku.

Aby sobie na nowe stawki coś zarobić, zebrał kółko znajomych i proponował im gry prywatne jako wygodniejsze i mniej kosztujące od rulety. Znajomi przystali na propozycją, a Wacław umiał w hotelu wyłudzić pyszne pomieszkowanie i otworzył dosyć kosztowne wieczory.

Wieczorki były dosyć liczne a gra szła wysoko. Dla ożywienia téj zabawy przyjęto także w towarzystwo kilka dam, które również próbowały w grze szczęścia.

Ale wkrótce zaszło wielkie zamieszanie w tém cichém patryarchalném kółku. Jednej z dam skradziono brylanty. Obrzucano się wzajemnie podejrzeniami, jeden na drugiego patrzył jakby o kradzież posądzał. Trwało to czas dosyć

długi, a że żadny z dowodów jasnych zebrać nie można było, poszedł więc ten wypadek w zapomnienie, a gra znowu weszła w dawne karby.

Pisałem list za listem do Wacława, aby się opamiętał, i na uczciwą drogę nawrócił, ale wszystko daremnie! Przeciwnie, wyszydzał mnie mówiąc, że nie on mnie, ale ja jemu wstyd robię, zostawszy malarzem!

Nieszczęście chciało, że słowa moje strasznie się teraz ziściły. Towarzysze gry schwytali Wacława na grze fałszywej!

Zrobił się krzyk i hałas i wszyscy jednogłośnie oskarżyli go teraz o kradzież brylantów!

Z tego wywiązał się nieszczęśliwy pojedynek. Wyjechali do Szwajcaryi i tam się strzelano. Wacław dostał kulą w ramię.

Cóż mi teraz pozostaje do czynienia?

Brata muszę ratować, jakkolwiek jest powód tego pojedynku. Być może, że ta krwawa katastrofa wyleczy go z choroby ducha, jeżeli tylko ciało da się wyleczyć.

Wielka jednak trudność zachodziła, skąd wziąć potrzebny fundusz na drogę. Nie opływam wcale w zbytku, a to co mam, wystarcza mi zaledwie na bardzo skromne życie.

Ale przyszła mi szczęśliwa myśl do głowy. Poznałem przed kilkoma tygodniami zacnego ziomka z Ukrainy, który tu z chorą żoną przyjechał. Jest to człowiek majątny.

Z niewypowiedzianym wstydem poszedłem do niego i zaproponowałem mu, aby nabył odemnie kopię Rembrandta, nad którą cały miesiąc pracowałem, za 60 talarów.

Zacny człowiek nie spierał się ze mną, obejrzał obraz i zapłacił. Trzydzieści talarów posłałem natychmiast choremu bratu, a drugie trzydzieści przeznaczyłem na podróż.

Jutro jadę do Szwajcaryi. Smutny ten wypadek ma tyle tylko dla mnie pocieszającego, że sztuka moja przydała się przynajmniej na to, aby spełnić uczynek miłosierdzia, czy raczej obowiązku.

Zemną wystrojony najponętniejszemi farbami wyobraźni, pojedzie także mój model. Będę miał czas myśleć i marzyć o nim, i z wolna z nim się zaprzyjaźnić.

Często w życiu wydarza się, że podobna przerwa między marzeniem a rzeczywistością, jest jedynem szczęściem naszym!

Czy model mój, o którym marzę, nic nie straci, gdy go ujrzę w rzeczywistości?...

XXII.

JOWITA DO SALOMEI.

Styczeń, — Drezno.

Rok nowy zaczęłam w dziwném usposobieniu. Owo lekceważenie jutra, którego zazdrościli mi jedni, a drudzy nie chcieli policzyć do dobrych przymiotów moich, odstąpiło mnie zupełnie. Czuję się jakoś do gruntu zmienioną, i zastanawiam się nad powodem tak nagłej zmiany.

W kilku ubiegłych dniach ostatnich nie widzę żadnego powodu tej dziwnej zmiany. Na jedném tylko zdarzeniu (jeśli zdarzeniem to nazwać mogę) utyka pamięć moja. Jest w tém zapewne coś prawdy, bo na samo wspomnienie rumienię się, jakbym Bóg wie co zgrzeszyła!

A zgadnij droga Salciu, do czego odnosi się ten mój dziewiczy rumieniec?

Widzę, jak uśmiewasz się złośliwie i myślisz sobie: Rumieniec u dwudziestoletniej panny ma zawsze jedną i tę samą przyczynę!... *Eh bien, coment i apellat-il?*

Ale mylisz się. Nikogo nie znam, czyje wspomnienie mogłoby ten rumieniec na moją twarz wywoływać. Rumieniec mój tyczy się poprostu owój dziwacznej wizyi, którą ci opisałam w ostatnim liście!

Wierzaj mi, w braku innych wydarzeń, zaczynam ową wizyę uważać za istotne wydarzenie, uważam się niejako za związaną, a pocałunek ów... nie da się już z ust moich niczem zmazać!

Śmieję się ze mnie do woli i ja sama w weselszych chwilach śmieję się z siebie, ale to wcale rzeczy nie zmienia. W téj chwili np.... gdy właśnie te słowa piszę, jestem jak szkarłat czerwona.... Sama myśl napędza mi krew do twarzy i przyśpiesza bicie serca, jakby istotnie on stał przedemną!....

I nie wiem jakim prawem to się dzieje, ale owo marzenie, ów sen czy wizyą uważam za fakt spełniony, który wkłada na mnie (nader przyjemne) obowiązki. Postać tę, która wtedy narysowała się nie wyraźnie na białém tle firanki, widzę ciągle przed oczyma. Powoli uzupełniam jej rysunek, chociaż sama postawa nie zmienia się nigdy. Zawsze wyobraża on człowieka idącego na jakąś wyniosłość, walczącego z napierającą burzą. W twarzy jego widzę coraz wyraźniej jakieś wyższe natchnienie, ale jak wygląda, tego jeszcze nie widzę i w żaden sposób opisać ci nie mogę.

Nieustannie wracam myślą do tego obrazu i przyznam ci się, wracam z prawdziwą rozkoszą. A wtedy twarz mi się rumieni, usta pałają dziwnym ogniem... i czuję jakieś pragnienie niewysłowione!

Ciocia nawet już z trwogą patrzy na mnie. Pyta mnie, czym nie chora i co mi jest? Uspokajam ją uśmiechem, a niekiedy rzucam się zamiast odpowiedzi z takim impetem na szyję, że o mało co jej memi uściskami, a sama siebie płaczem nie uduszę! A przecież płacz ten jest dla mnie dziwną rozkoszą!...

A gdy mnie świat z tych moich urojeń zbudzi, jestem dla niego zimną i obojętną, jak kobieta, która już życiem swoim rozporządziła. Wszystko co ją otacza jest już dla niej obojętném!

Czy długo potrwa ta dziwna gra mojej wyobraźni? Czy długo pozostanie dla mnie to, co mnie otacza, obojętném?

Kochaj mnie droga Salciu, bo ja dzisiaj więcej niżeli kiedykolwiek tego uczucia potrzebuję!

XXIII.

Styczeń.

Nie mogę się czegoś uspokoić, i muszę znowu do ciebie pisać. Dziwny mój niepokój ma jeszcze dziwniejszą pobudkę.

W liście, w którym opisałam ci całe miasto i różne przyjemności moje, pisałam także o naszych znajomych. Między innymi pani marszałkowa należy prawie do codziennego naszego towarzystwa. Mianowicie z ciocią bardzo się kochają i mnie przy tém coś także z tego afektu się okroi.

Jest to bardzo poważna i zacna matrona. Główną cechą jéj charakteru jest prawość, chociaż tylko w pewnych granicach. Jestto osoba dawnego autoramentu. Nieznajomego pyta najprzód o jego genealogię, i według tego daje mu miejsce w swoim salonie. Miejsca jednak nie odmawia nikomu, ale tak zręcznie umie się z każdym obejść, że sam nie wie, jak i kiedy stanie lub siądzie na wyznaczoném sobie miejscu.

Z tego względu podziwiać należy jéj spryt i sztukę w obchodzeniu się z ludźmi. Zdaje się, że talent ten przeszedł na nią tytułem sukcesyi i nieprzerwaną tradycją znakomitego w dziejach naszych rodu.

Nie łatwą to bowiem było rzeczą zaprowadzić należyty porządek w takim np. domu, jakim był dom Radziwiłłów, Potockich i innych. Tysiące szlachty, potrzebnej do prywatnych widoków, potrzeba było podejmować i sownie uga-
szczać. W takiej liczbie byli ludzie znakomici z rodu, zasłu-

gi i pozycyi, a byli i tacy którzy tylko jedną liczbę w sumie potrzebnej stanowili. A jak to się zazwyczaj zdarza, pretensye i uroszczenia tych ostatnich były częstokroć większe od wymagań pierwszych. Wszystko to jednak umiano pogodzić tak, że każdy był kontent i z gospodarza i z swego sąsiedztwa.

Zdaje mi się, że dzisiaj ta sztuka poszła w poniewierkę. Dzisiaj trudno skromny wieczorek zebrać, aby ktoś nie czuł się obrażonym, nie należycie uwzględnionym.

Salon pani marszałkowej mieści w sobie często najróżnorodniejsze żywioły a wszystkim jakoś obok siebie jest swobodnie, jakby się między swymi znajdowali.

Otóż przed wczoraj przypadał wieczór u pani marszałkowej. Nad wieczorem przyszedł do nas jój służący i oznajmił nam, że wszyscy goście są odproszeni, bo pani marszałkowa zasłała i w łóżku położyć się musiała. Mimo to wyłącznie tylko ciocię i mnie przyjąć może.

Udałyśmy się natychmiast do niej. Pani marszałkowa była nadzwyczaj z tego ucieszona. Podziękowała serdecznie cioci za jój troskliwość, a mnie gorąco uściskała. Patrzała czas niejaki na mnie, a potem rzekła:

— Usiądź Jociu bliżej mnie, niech się nasycę twoim widokiem. Gdy patrzę w oczy twoje, to zdaje mi się że pięćdziesiąt lat z wieku mego tracę i widzę przed sobą Alinę, moją bratową. Ten sam blask oczu, ten sam uśmiech lekką ironią zaprawiony. Ironia, dziecię moje, to kwiat bólu i gorzkich doświadczeń. Czemuż w tych młodych latach miesza się ona do twego uśmiechu?

Słowa te rozrzewniły mnie. Nie wiem czy pani marszałkowa odgadła w téj chwili co mnie rozrzewnia.... Myślałam o téj dziwnej wizyi mojej....

Pani Marszałkowa patrzała na mnie długi czas z uwagą, a pocałowawszy mnie w czoło rzekła:

— Nie odmówisz mi dziecię moje, jednéj próśby. Siły moje jakoś opuszczają mnie. Gdy jesteś koło mnie, gdy patrzę na ciebie, i sama siebie łudzę, że Alinę widzę, to

zdaje mi się, żeś zdrowszą, żeś młodszą. Jeżeli więc jutro czem ważniejszemu zajęta nie będziesz, to przyjdź do mnie we dnie, przyjdź na cały dzień. Możesz sobie co czytać, a ja będę także słuchała, możesz grać a jeśli chcesz możesz i długie listy swoje do przyjaciółek pisać, a ja będę się tylko patrzeć na ciebie!

Prośbie tej nie mogłam odmówić. Żal mi było staruszki, ona widocznie kocha mnie. Przyrzekłam uczynić zadość jej żądaniu, za co prawie ze łzami ścisnęła mnie serdecznie za rękę.

Bawiłyśmy u niej do późnej nocy. Oglądałam jej różne albumy, a ona tłumaczyła mi różne rodzinne pamiątki i nazywała po imieniu znajdujące się w nich portrety. Potem przypatrywałam się obrazom, które wisiały w sypialnej jej komnacie.

Miedzy innemi zwróciła jedna, niewielka akwarella moją szczególną uwagę. Przy bliższem wpatrzeniu się budził we mnie ten obraz jakieś przykre uczucie. Wyobrażał młodego mężczyznę w stroju myśliwskim ze strzelbą przy oku. Mierzył pomiędzy szuwary do dzikięj kaczki, która właśnie piskłęta swoje karmiła.

Przyznasz kochana Salciu, że trzeba być strasznie zapalonym myśliwym, aby w takiej chwili zabijać matkę biednym pisklętom, a trzeba nie mieć najmniejszego pojęcia o pięknie w sztuce, aby podobny moment utrwalić w obrazie! Prawdziwie, jest w tém coś barbarzyńskiego!

Pragnę o tém pomówić z jakim znakomitym artystą, czy nie zgodzi się ze mną!

— To portret—ozwała się pani marszałkowa—malowany przed dziesięciu laty.

— Portret!—zawołałam z goryczą—a cóż to za myśl szczególna, aby podobny moment w życiu wybrać do obrazu! Czyż ten zacny człowiek nie miał już innych lepszych chwil w życiu?..

Zdaje się, że te niebacznie wymówione słowa moje nie bardzo podobały się pani marszałkowej. Zmarszczyła nieco czoło, chociaż na ustach miała uśmiech przychylny.

— Nie sądź tak ostro moje dziecię—rzekła po chwili—wszak widzisz, że to chłopiec kilkonastoletni!

— Jociu—ozwała się ciocia gniewnie—ty zawsze jesteś roztargniona!

Głos cioci i wyraz twarzy pani marszałkowej dały mi wyraźnie do mniemania, że się pośpieszyła ze zdaniem mojem, które mocno drasnęło serce staruszki.

— Może to ję syn, który nie żyje?—pomyślałam sobie—a ja tak niebacznie i niepochlebnie wspomniałam o nim?

Pani marszałkowa i ciocia przeszły na inny przedmiot, a ja nie miałam odwagi, żądać od nich jakiegoś wyjaśnienia. Przez cały czas nie mogłyśmy wrócić do dawnego naszego nastroju. Coś zawadzało nam ustawicznie do dobrego humoru. Nawet wyszedłszy od pani marszałkowej nie zapytałam się cioci o ten portret, bo już nie chciałam drażnić jej na nowo przypomnieniem mojej porywczosci.

Przyszedłszy jednak do domu, gniewałam się sama na siebie a nawet płakałam.

A gdy księżyc do mego pokoju po północy zaświecił, spojrzałam z jakąś dziwną tęsknotą na arabski białej fran-ki.... ale tam w tej chwili nic nie obaczyłam!

Jakie to dziwne, prawie nic nieznaczące wydarzenia poruszają sercem kobiecóm i mącą jego pokój!

Pisz do mnie, pisz prędko, bo obawiam się, aby ten mój niepokój ciebie się nie tyczył!

XXIV.

Styczeń.

Droga Salciu! Twoje listy są prawdziwą rozkoszą dla mnie. Nie wiem, czy ty o moich to samo powiedzieć możesz. W najlepszym razie nie zdążysz na nie odpisywać. To mnie jednak nie wstrzymuje od wypowiedzenia ci wszystkich moich myśli i uczuć, które teraz coraz częściej moje serce nachodzą.

Wczoraj od samego rana byłam u marszałkowej. Biedna staruszka jest mocno cierpiącą. Siły opuszczają ją coraz więcej. Mimo to ma zupełną przytomność umysłu, co tém dziwniejsze sprawia na mnie wrażenie. Widzi jasno przed sobą, a cóż przed nią jeszcze być może jeżeli nie grób?....

Słabość z zupełną przytomnością ducha jest według mnie straszna. Lepsze w takim razie jest jakieś zamącenie głowy i wzroku. Widzisz jak dziwne myśli przychodzą mi do głowy. Jednej rzeczy najbardziej się lękam: być nieszczęśliwą i jasno widzieć przed sobą! W nieszczęściu, jak w chorobie lepiej jest łudzić się, a okropnie, widzieć jasno, a nie widzieć żadnego ratunku!...

Pani marszałkowa mówi nader trzeźwo. Uśmiecha się nawet często gdy widzi łzy w moich oczach. Nie chce widocznie widzieć mnie smutną. Powiada, że wtedy wcale nie jestem podobną do Aliny....

Rozrywałam staruszkę i siebie jak mogłam przez cały dzień. Mówiłam jój wiele o galeryi obrazów i widziałam, że z zajęciem mnie słuchała. O jój obrazach i albumach nie wspomniałam ani słowa, aby nieprzypomnieć jój wczorajszej nieprzyjemnej sceny. Poczciwa staruszka, wcale o tém zapomniała, bo ani słówkiem nie trąciła tego przedmiotu.

Po południu przybył do chorój zacny nasz sąsiad pan August. Między innemi opowiedział nam także, że przed kilkoma dniami zwiedził pracownię przebywającego tutaj artysty, który jest naszym ziomkiem. Nabył nawet jeden z jego obrazów, jeśli się nie mylę, kopię Rembrandta.

Pan August mówił bardzo wiele pochlebnego o tym artyście! Odmalował nam jego skromność, która zawsze idzie w parze z prawdziwym talentem.

— Dlaczegoż on do mnie nie przyjdzie?—zawołała pani marszałkowa.

— Napomknąłem mu o tém—odpowiedział pan August—że nigdzie tutaj nie spotkałem go w towarzystwach. Na to odrzekł bardzo trafnie, że tak zwani artyści dzielą się na dwie kategorie. Jedni poduczyszy się trochę, zapuszczają długie włosy i w białych rękawiczkach pukają do drzwi salonów, aby tam najbrudniejsze wycierać kąty! Inni biorą rozbrat z światem, zamykają się w pracowniach swoich i cały swój żywot dają sztuce na całopalenie!... Sztuka i poezya—mówił dalej—są to muzy, którym nie można dać pół-serca i pół-duszy!....

Gdy pan August tych słów domawiał, zrobiło mi się tak dziwnie koło serca, że tego ci opisać nie potrafię. Były to jedyne podniosłejsze słowa, które w mojem dzisiejszem towarzystwie usłyszałam!

I nie umiem ci opisać tych wszystkich myśli i marzeń moich, które mimowoli nawiązały się do tych słów rzuczonych pobieżnie!

Lotna moja wyobraźnia skorzystała zaraz z tego przedmiotu i naraz wymalowała mi tysiąc obrazów. Widziałam tu w tym samym salonie tego samego człowieka, który

sztuce oddał całą duszę i całe serce.... który dla miłości sztuki wyrzekł się wszelkich roskoszy i słodyczy tego świata!... Mówiłam z nim, zadawałam mu różne pytania, odpowiadałam na jego....

Takie obrazy przemknęły błyskawicą przez serce moje. Czułam przy tém jakąś radość niewysłowioną, jakiej ci opisać nie potrafię.

W rzeczy samój jestem nadzwyczaj spragniona obcowania z wyższym umysłem. Poziomój natury rozmowy nasze już mnie na śmierć unudziły. Wyobraź sobie trawę, zieloną trawę, a nigdzie choćby najmniejszego kwiatka! Z trawy jest wprawdzie pożytek, ale jakże wyglądałby świat cały, bez kwiatów? Nie, tego sobie wyobrazić nie mogę. Może to tylko potrafić angielski fermer.

Na żądanie pani marszałkowej obiecał pan August wprowadzić go do jej salonu. Sama myśl, że ujrzę wyższego człowieka nad Lolka i Agapina, sprawia mi dziwne dreszcze. Już mam tyle gotowych pytań dla niego! A nawet.... nawet, nie śmię się ze mnie, przygotowuję się do niektórych odpowiedzi, jeżeli mnie zapyta!

Ściskam cię po tysiąc razy!

XXV.

Styczeń.

Nowy rok jakoś płodnym jest w „drobne” zdarzenia dla mnie.

Wyobraź sobie szczególne moje położenie. Jest to wprawdzie nic „wielkie nic,” ale mimo to zawsze jest temat do listu, który, wierzaj mi, zawsze z rozkoszą piszę do ciebie.

Wczoraj jak zwykle poszłam do pani marszałkowej. Teraz podwójną mam przyczynę pielęgnowania jęj aby jak najprędzej wyzdrowiała. Raz, że jęj zdrowia z całej duszy życzę, a powtóre, że po jęj wyzdrowieniu spodziewam się w jęj salonie obaczyć człowieka, nad którym, nie wiem sama dlaczego, sili się od wczoraj moja wyobraźnia, aby jego wizerunek sobie urobić! I zawsze przy tej sposobności przychodzi mi przed oczy prześliczna głowa Van-Dycka.... Wierzaj mi, że za to nawet gniewam się na siebie...

Z panią marszałkową mówiłyśmy także o nim, o sztuce i literaturze. Cieszyło mnie to, że szanowna ta matrona, jakkolwiek w niektórych pojęciach nieco zacofana, zgadzała się pod tym względem z różnemi memi zdaniami.

Wierzaj mi Salciu, materya podobna do rozmowy jest dosyć drażliwa. Świat jest okrutny. On nie sądzi człowieka według kierunku drogi, jaką sobie tenże obrał, ale według realnych rezultatów!

Gdyśmy się już do syta z panią marszałkową nagadali, rzekła do mnie:

— Wiesz Jociu, trzeba z każdego nieszczęścia naszego korzystać. Jestem chorą, a chociaż jest mi już nieco lepiej, to jednak nie uwalnia krewnych od obowiązku odwiedzenia mnie. Między innemi życzyłabym sobie, aby mój kuzyn z Paryża mnie odwiedził. Jest to poczciwy człowiek, ale póki się nie dowie, że jestem mocno chora, to nie przyjedzie do mnie!

— Możeby list napisać—odpowiedziałam.

— Nie, trzeba użyć silniejszego środka!—po krótkim namyśle zauważyła marszałkowa.

— Jakiegoż np.?—zapytałam.

— Trzeba wysłać telegram!—rzekła staruszka—ale ja go nie ułożę. Może mnie drogie dziecię wyręczysz?

Wzięłam pióro i ćwiartkę papieru.

— Cóż mam pisać—zapytałam.

Ułóż telegram jak chcesz, niech tylko jak najprędzej przyjedzie. Jest to mój siostrzeniec. Adresuj: Paryż.

Pomyślałam chwilę i zapisałam:

„W słabości mojej czuję się osamotnioną. Pragnę cię ujrzeć jak najprędzej. Z tęsknotą oczekuję cię!”

Napisawszy te słowa przeczytałam je głośno. Nie wiem dlaczego szkarłatny rumieniec wystąpił mi na twarz. Przełękłam się i zawstydziłam własnego głosu. Zapomniałam że to ma być telegram od stryjenki....

— Jakie imię mam dopisać?—zapytałam zakrywając twarz rękoma.

— Alfred***— odpowiedziała z dziwnym uśmiechem pani marszałkowa.

Napisawszy to imię odsunęłam szybko papier od siebie, aby mnie kto nie posądził, że to odemnie ta stylizacya wychodzi!....

Przyznam się, że i to drobne zdarzenie dziwnie mnie zaniepokoiło!

Nie przedstawaj mnie kochać!

XXVI.

STEFAN DO NIEZNAJOMEGO.

Genewa. styczeń.

Od kilku dni siedzę przy łóżku brata. Sprowadziłem go do Genewy. Rana nie jest tak niebezpieczną jak zrazu sądzono. Kula nie uszkodziła nigdzie kości. Gorączka już przeminęła i tylko potrzeba kilku tygodni czasu, aby rana zupełnie się zagoiła. Wacław jest w dobrym humorze i układa sobie plany do nowych wypraw po szczęście.

Patrząc na niego i słuchając go, sam nie wiem, czy mu zazdrościć czy litować się nad nim. Ma tak dziwne i odrębne wyobrażenia o ludzkim społeczeństwie a w szczególności o naszym, że nie mogę dwóch słów z nim pomówić, abyśmy się nie posprzecjali. A do tych szczególnych wyobrażeń przyszedł tylko przez wstręt do pracy.

Według niego moralność świata jest żadną. Plebiscit opinii publicznej jest tak chwiejny, że każdy może go na swoją stronę przeciągnąć, byle tylko miał spryt po temu. Każdego człowieka uważa za aktora, któremu w każdym razie wolno jest użyć różu i bielidla i wolno całą postać swoją do wymaganiej roli scharakteryzować.

Gdyby świat był w istocie takim, jakim go mój brat widzi, to nie wiem, czyby mnie nie napadła żądza samobójstwa. Cóż bowiem może nas wiązać do życia, które nam wznioślejszych uczuć nie daje?

Mam obowiązek przed tobą z wszystkiego się zwierzyć. Brat mój zastrasza mnie swoim upadkiem. Wszystko jest w nim zniszczone, zgangrenowane. Podowiadywałem się tutaj jeszcze więcej takich rzeczy, jakich nawet powtarzać nie chcę. Napomknę ci tylko, że w teorii swojej uważa rzeczy za pozwolone, które już w zakres paragrafów kodexu wchodzą. A cóż dopiero mówić o moralności dodatniej?

A z tém wszystkim ma taką pewność, taką wiarę w siebie, że mową swoją wprawia mnie w najwyższe zdziwienie. Gdybym przy moich wyobrażeniach i w moim kierunku miał choć milionową cząstkę téj odwagi, to mógłbym góry przenosić z miejsca na miejsce.

Najlepiej scharakteryzuję go jedną jego rozmową. Mówiliśmy o naszym położeniu, o naszej przyszłości. A mówiłem o tem naumyślnie, aby mu jego nędzę moralną, spowodowaną przez próżniactwo, przed oczy przedłożyć. Mniemałem bowiem, że tym sposobem prędzej da się dźwignąć z swego upadku.

Tymczasem wcale niespodziewany zwrot nastąpił w naszej rozmowie.

Po długim milczeniu, z którego wnosiłem że serce ma już mojemu przedstawieniami skruszone, ozwał się nagle:

— Wiész Stefanie, z tego co mi opowiadasz, to rzeczy fatalnie stoją. Nie słuchałeś mnie i poszedłeś drogą, jaką ludzie rozsądni nigdy nie chodzą. Sztuka u nas nie daje ani chleba ani zaszczytów... Żle się stało, cóż robić! Ale trzeba jakoś to naprawić. Pomyślę o tém, gdy wyzdrowieję. Przyjadę do Drezna, i tam z moich wyrobionych stosunków może i dla ciebie jaka korzyść się okroi. Twoją dzisiejszą pomoc, będę się starał moją pozycją i memi stosunkami wynagrodzić. Jużciż ratować się trzeba!

Pozwolisz że na tém zakończę list dzisiejszy!

XXVII.

Genewa.

Opiszę ci szczególne zdarzenie. Wacława umieściłem w prywatném mieszkaniu na przedmieściu Genewy. Mały pokój wynająłem od jednego z podrzędnych zegarmistrzów. Zaczyna ten sztukmistrz, jak się sam nazywa, poświęcił się nader skromnej pracy. Nie chce konkurować z Patkiem, któremu odstąpił wszystkie emaliowane i brylantami wysadzane chronometry. Skupuje z tutejszych wsi okolicznych najlichsze kilkofrankowe wyroby i umieszcza je dosyć sprytnie, w pejsażach!

W tym celu ma stosunki między terminatorami u pokojowych malarzy, którzy mu po kilka franków malują na wielkiem płótnie starożytne zamki z wieżami, wiszące zazwyczaj nad urwiskiem skały z wodą poniżej. Na jednej z tych wieżyc starożytnych przytwierdza mały cyferblat, a za nim ukrywa zegarek nowożytny.

Inne jego zegary mają więcej skomplikowany mechanizm. Obraz przedstawia wnętrze hamerni. Przez okno widać wieżę z zegarem. Gdy godzina bije, robotnicy w hamerni poruszają młoty i kują rozpalone żelazo.

Produkuje też i inne podobne zabawki dla dzieci, w których maszynerya zegarowa główną odgrywa rolę.

W kilka dni po mojem przybyciu wybiegłem trochę w okolicę, aby jakie studyum z natury zrobić.

Na drugi dzień przybył do nas gospodarz z fajką w ustach i z małą czapeczką na głowie. Pocziwa twarz jego uśmiechała się do mnie już w progu.

— Słyszałem, żeś pan malarz z professyi — zagadnął do mnie — chciałbym obaczyć coś pan namalował. Mam jako Szwajcar prawo do tego. Nasz kraj posiada skarby dla sztuki. Ale cóż z tego, cudzoziemcy przychodzą do nas, wykradają nam nasze piękne widoki i odchodzą sobie z Panem Bogiem! Podobni jesteśmy do nieszczęśliwego małżonka który ma bardzo piękną żonę. Żona pięknością swoją cały świat uszczęśliwia, mąż tylko ma kłopoty. Tak samo i my. Kilku Anglików pochwaliło wodospad za najbliższą wioską, a już rada miasta uchwaliła, aby tam drogę nową usypać! I dawaj teraz pieniądze na to!

Podobał mi się ten prostoduszny dowcip Szwajcara. Odpowiedziałem mu, że prawa jego do gór Helwecyi uznaję w zupełności, a nawet gotów jestem za przyjemność kopjowania téj olbrzymiej przyrody wypłacić mu się jakim szkicem.

— Za obiecany obrazek bardzo dziękuję. Wynagrodzę to pańskiemu bratu. Tylko postawię jedną prośbę.....

— Jaką prośbę?

— Aby na tym obrazku była w środku mała wieżyczka o frontowej ścianie, przynajmniej na dwa cale.

Uśmiełem się z pocziwego Szwajcara, który sztukę w tak korzystny dla siebie sposób pojmował i obiecałem jego żądaniu zadość uczynić.

I zaraz na drugi dzień, z okna naszego mieszkania, podczas gdy mój brat zasypiał sobie, rzuciłem na płótno część widoku miasta. Na przodzie kawałek rozwalonego muru, ocienionego kilkoma drzewami, za nimi misternie ugrupowane dachy a po nad nimi wieża kościoła na tle obłoków oświeconych dalekim pożarem.

Za kilka godzin był szkic gotowy. Przywołałem gospodarza i okazałem mu robotę. Gospodarz wpatrywał się

długo, przechodził z jednej nogi na drugą, nareszcie smoknął i schwytał mnie za rękę.

— Panie—rzekł do mnie z zapałem — pan masz skarby w swoich palcach! Gdybyś zechciał...

Nie dokończył zdania, tylko serdecznie mnie ucałował. Potém pobiegł do siebie i zawołał na córkę.

Weszła do izby młoda, dosyć ładna dziewczyna z no-
skiem nieco do góry zadartym.

Gdy obaczyła obraz, klasnęła w dłonie, a obkoliwszy mnie swoim niebieskim okiem, zawołała:

— Ach to precudnie! Udałeś pan wybornie! Z tego samego okna widziałam na własne oczy!

— Cóż widziałaś pani?—zapytałem z niejakiem zdziwieniem.

— Jak się kupiec Röttli pali!

— Ja przecież tego pożaru nie widziałem!

— Jakto? Nie widziałeś pan? — odrzekła z zadziwieniem. Jakże pan to mógł namalować?

— Dla lepszego efektu — odpowiedziałem z uśmiechem—stworzyłem tam sobie pożar!

Szwajcarka patrzyła chwilę na mnie w milczeniu. Obeszła mnie okiem na około i—zarumieniła się.

— To pan umiesz stwarzać rzeczy, któreś nie widział! — wyszepnęła z cicha i umknęła z pokoju.

Szwajcar stał jeszcze niejaki czas przy mnie admirując obraz. Potém uściskał mnie jeszcze raz i odszedł.

Popołudniu widziałem Szwajcara jak chodził przed gankiem zamyślony. Zazwyczaj przepędzał ten czas w szynku „pod złotą gęsią.” Dzisiaj był jakoś w wyjątkowym humorze.

Nazajutrz rano wszedł do nas z miną uroczystą i prosił mnie abym z nim zjadł obiadek, sporządzony własną ręką „Mimili” (Maryi).

Około pierwszej poszedłem na ten obiad. Potrawy były proste ale smaczne. Przy każdej potrawie powtarzał gospodarz, że to ręka „Mimili” także arcydzieła stwarzać umie.

Mimili siedziała także z nami przy stole, chociaż od czasu do czasu często do kuchni zaglądała. Patrzała na mnie ciekawie przy każdej potrawie jak mi smakuje. Jój oczy jaśniały radością, gdy widziała, że z jakiej potrawy brał dwa razy.

Po obiedzie rzekł do mnie Szwajcar:

— Jeżeli panu dobrze u nas, to zostań z nami!

Na te słowa wyszła Mimili natychmiast do kuchni.

— Poświęcam się sztuce jak pan widzisz — odrzekłem — a dla niej potrzebuję szerszego świata!

Na te słowa posmutniał Szwajcar. Pomyśliwszy trochę ozwał się do mnie:

— Sztuka, mój panie, to jest jak morze. Przy samym brzegu znajdziesz korale, konchy z perłami, w najgorszym razie miliony ślimaków i innych smacznych specyałów. A gdy się puścisz na sam środek, to masz tam tylko same głębie, w których zginąć możesz!... Na takich obrazkach, jak wczoraj wymalowałeś zrobisz majątek, gdy zechcesz pójść wyżej, możesz umrzeć z głodu.

Uśmiechnąłem się na to pojęcie sztuki, jednak wiele, bardzo wiele dało mi ono do myślenia!...

Szwajcar mówił nader praktycznie!

XXVIII.

Genewa.

Dziś rano okazywał Wacław jakiś niepokój. Kazał sobie podać kalendarz i długi czas w nim czytał. Na zapytanie moje odpowiedział mi, że od kilku dni oczekuje z Paryża pieniędzy.

Okazałem mu niejako moje zdziwienie. Nie umiałem sobie tego wytłumaczyć, z kąd wzięłby się w Paryżu taki dobrodziej, któryby o nim pamiętać raczył. Znałem bowiem z reputacyi towarzystwo Wacława, i wiedziałem, że żaden z nich nie byłby się zdobył na czyn taki chrześcijański.

— Z jakiegoż źródła spodziewasz się tych pieniędzy? — zapytałem wreszcie mimowoli.

Wacław spojrzał na mnie z pewnym niepokojem. Pomilczał chwilę i odrzekł:

— Jest to dawny dług honorowy, który mi zwolna spłaca mój znajomy!

Jeszcze nie miałem czasu pomyśleć nad tym długiem honorowym pomiędzy ludźmi wątpliwego honoru, kiedy w sieniach wymówiono głośno nazwisko brata mego.

Do pokoju wszedł mężczyzna po podróżnemu ubrany. Spozrzegłszy mnie, wlepił we mnie oczy i milczał chwilę.

— Jak się masz Alfredzie — zawołał Wacław z łóżka — o wilku mowa a wilk idzie!

Na te słowa nieznajomy znowu wlepił we mnie przenikliwe swoje oczy, które miały wyraz bardzo nie miły.

— To mój brat! — ozwał się Wacław uspakajając nieznajomego — a to pan Alfred*** mój przyjaciel.

Nieznajomy uśmiechnął się słodko jak człowiek światowy i cała jego postać, przed chwilą otoczona jakąś przykrą atmosferą, rozjaśniła się teraz i ułożyła w nader słodkiego człowieka.

Podał mi rękę, którą uściśnałem z jakimś nie miłym uczuciem już dlatego, że należał do towarzystwa Wacława, o którym z najlepszych jego opowiadań powziąłem jak najgorsze wyobrażenie.

Tymczasem usiadł pan Alfred około łóżka i rozpoczęła się rozmowa.

Najprzód mówił mu, że przed tygodniem odebrał list jego ale nie odpisywał, bo mając podróż przed sobą przez Genewę, wolał ten interes osobiscie załatwić i przyjaciela uściskać.

Wacław podał mu dwa palce, których pan Alfred również dwoma palcami się dotknął. Na tém skończył się ten uścisk przyjacielski, po który pan Alfred z Paryża przyjechał. Obaj jednak byli z siebie zadowoleni.

Mówiono wiele o rzeczach zwyczajnych. Wypytywano się o wzajemnych znajomych i o ich przygodach.

Nasłuchałem się wiele niesmacznych rzeczy. A były one tém niesmaczniejsze, że o nich mówiono z wielkim cynizmem.

Dziwne bowiem wyobrażenia mają niektórzy o człowieku. Ponieważ w gabinecie anatomicznym umiejętność okazuje nam człowieka odartego ze skóry, na którym widzimy wszystkie żyły i nerwy, dlatego chcą niektórzy takiego samego człowieka widzieć w życiu i w towarzystwie. O innym piękniejszym człowieku nie mają najmniejszego wyobrażenia. A nawet śmiesz ich to, jeżeli kto inaczej widzi.

Ma to być według niektórych owoc nowego realistycznego kierunku, jaki nawet w ostatnich czasach odbił się w literaturze zachodniej. Uchowaj nas jednak Boże od takiego realizmu!

Ponieważ rozmowa między Wacławem a nowo przybyłym jego przyjacielem tyczyła się często spraw mnie zupeł-

nie obcych, które przeto dla mnie nawet zrozumiałemi nie były; poświęciłem więc ten czas na bliższe przypatrzenie się naszemu gościowi.

Był to mężczyzna około lat trzydziestu. Rysy jego były dosyć regularne, ale nie miały żadnego wyższego wyrazu. Ciemno blond włosy, starannie ułożone okazywały, że stały ustawicznie pod opieką zdolnego fryzjera. Jaśniejszego koloru faworyty rozczesane z angielska opierały się na wysokim kołnierzu. Oczy modre okazywały wiele przebytych wzruszeń namiętanych. Dziś były już przygaste i zamykały się z pewną ociężałością. Pod niemi na twarzy czerwieniły się dwie podłużne plamki, ślady sztucznych emocyi.

Twarz tego człowieka nie była przeto ani piękną ani ujmującą. Gdyby ją kto od reszty tułowa odkroił i na stoliku rysunkowym za model jakiemu uczniowi położył, możnaby się zapytać, dlaczego tak nijaką, a nawet wcale nie ładną twarz na model wybrano? Połączona jednak z resztą ciała sprawiała pewne przychylniejsze wrażenie. Znamionowała człowieka nadzwyczaj ogładzonego, który tak pod względem fizycznym jak i moralnym oswoił się w wysokim stopniu z wymaganiami towarzystwa. Ruchy jego były nadzwyczaj swobodne a tém samém i wdzięczne. Umiał w nie wlać pewną słodycz, jeśli tego potrzeba było, umiał także nacechować je pewną wyższością swojej pozycyi towarzyskiej.

Mimo to wszystko miał ten człowiek dla mnie coś wstrętnego. Jakaś nieczysta atmosfera otaczała go; w składnych ruchach jego było coś kociego. Jeżeli mnie przeczucie moje nie myli, w małym tym napozór człowieku zwinięty jest wielki niegodziwiec, któremu tylko sposobności nie stało, aby skrzydła swoje nietoperzowe rozwinąć i ostre pazury z rąk powypuszczać.

Po godzinie zaczęła rozmowa słabnąć. Z niepokoju Wacława poznałem, że mu do poufniejszych wynurzeń zawadzam. Przypomniałam sobie o pieniądzach oczekiwanych.

Wyszedłem więc na chwilę na ganek, a gdym wrócił ujrzałem rozradowane oblicze Wacława a w niejakięj oddali kilka zwiniętych, leżących na stole sto-frankówek.

Pan Alfred opowiadał o dalszych celach swojej podróży. Miał czas niejaki zatrzymać się w Wiedniu a ztamtąd pojechać do Drezna, gdzie jego stryjenka pani marszałkowa chora leżała.

Na tém skończyła się wizyta pana Alfreda. Dowiedziawszy się że w Dreźnie mieszkam, obiecał mnie odwiedzić i przy téj sposobności wiele grzeczności mi powiedział. Z Wacławem pożegnał się serdecznie.

Gdy już z pokoju był wyszedł, Wacław patrzył jeszcze na drzwi z dziwnym uśmiechem ironicznym.

Zapytałem Wacława o znaczenie tego uśmiechu. Od-rzekł mi:

— Otóż tak ucz się żyć na świecie jak ja, a nie będzie ci nic do saméj śmierci!

— Nie rozumiem cię — odpowiedziałem.

Wacław mimo rany podniósł się w łóżku w jakiś przyjemnej emocyi i odparł:

— Widziałeś nas obu! — Ściskaliśmy się i całowali jak bracia rodzeni! A jednak ten człowiek, gdyby tylko mógł, toby utopił mnie w łyżce wody! Ja zaś nie topiłbym go, bo mi jest potrzebny, ale pogardzam nim!

— Zkądże jednak to dziwne przywiązanie do ciebie?

— Bo go mam w rękach! — odparł śmiejąc się Wacław i licząc stofrankówki.

Więcej o panu Alfredzie z Wacławem nie mówiłem. Raz chciałem coś bliższego się dowiedzieć, ale Wacław unika tego. Zapewnie ograli kogo w karty w sposób nie bardzo honorowy.

Rana Wacława zagaja się. Za kilka dni będę mógł powrócić do Drezna. Rozpocząłem kopię Tytiana: Chrystus i Faryzeusz z srebrnikiem. Tęsknę do tego dziwnego, boskiego oblicza!

A w sekrecie przyznaję ci się, że również tęsknę do tych pięknych oczu mego.... modelu!

Czy go znajduję? I jak go znajduję? Marzyłem wiele, bardzo wiele o nim!

XXIX.

SIOSTRA DO SIOSTRY.

Drezno, — styczeń.

Zrobiłyśmy, dzięki Bogu, jeden krok naprzód w sprawie naszój. Pan Alfred już niezawodnie przyjedzie tutaj. Jowita nic jeszcze o tém nie wie, chociaż przez dziwny zbieg okoliczności, sama układała do niego telegram! To było arcydzieło przypadku. Trudno bowiem pomówić o to panią marszałkową.

Wyobraź sobie, marszałkowa była słabą. Byłyśmy u niój z Jowitą. W jój sypialnój komnacie wisi portret Alfreda. Jowicie coś nie podobało się w tym portrecie i wymówiła się o nim bardzo niekorzystnie. Wprawilo to nas obiedwie w niemały kłopot. Marszałkowa widocznie była zmartwioną. Ale puściłyśmy to mimo uszu, a Jowita w kilka minut zapomniała o wszystkim.

Na drugi dzień gdy była przy marszałkowej, sama ofiarowała się, że do krewnych jój napisze, jeśli tego wymaga. Marszałkowa kazała jój tylko złożyć telegram do Alfreda. Jowita rozumie się nie wie jeszcze kto jest ten Alfred, i wcale o nim w téj chwili nie myśli.

Jest ona jeszcze strasznie dzika jak na salon. Nie mało mam z nią kłopotu. Muszę czuwać nad każdym jój krokiem. Jestto nie małą winą z twój strony, że tak późno pozwoliłaś jój w świat wystąpić. Nie umię się wcale do

świata zastosować. Chce aby cały świat według niej się stosował. Ale mam nadzieję, że przykład i nauka wpłyną na nią.

Niebawem może coś lepszego ci doniosę. Na zakończenie jeszcze wspomnę ci o jednej rzeczy, która jakkolwiek nic nieznacząca, jednak w pierwszej chwili dawała mi nieco do myślenia.

Od kilku dni jakaś dziwna fantazya opanowała Jowitę. Wyciąga mnie z sobą pomimo mrozu na „brülowską terasę” i ztamtąd całemi godzinami patrzy na Elbę. Jest smutna i zamyślona. Staje zawsze w jedném miejscu przy murze i od czasu do czasu z uwagą ogląda się wkoło siebie. Gdybym nie wiedziała, że to jest tylko jeden z jej kaprysów, mogłabym ją posądzać, że tu kogo oczekuje. Ale pod tym względem jestem zupełnie spokojną. Jej serce jest jeszcze jak biała karta papieru.

Spodziewam się, że wkrótce tam coś się zapisze!

XXX.

Styczen.

Za twoje rady, kochana siostró, jestem ci wdzięczną. Już z moich listów możesz wnosić, jak troskliwie czuwam nad Jowitą, jeśli piszę ci o wszystkiém, co ją dotyczyć może.

Oto opowiem ci ciekawą rozmowę, jaką słyszałam między nią a pocziwą Natalką.

Wiesz że Natalka jest nader sprytna i rozumna panienska. Mówią o niej tutaj, że gdyby proch nie był wynaleziony, toby niezawodnie ona go wynalazła.

Otóż Natalka ma już narzeczonego. Nie jest to wprawdzie człowiek, o jakim panna na pensyi marzy, ale partya jest świetna. Nasza młodzież nazywa go idyotą i jak się pan Nereusz wyraża: „koronnym głupcem,” ale to się mówi więcej z zazdrości. Mój Boże, któryż z nich jest mądry?

Natalka przyszła wczoraj po obiedzie do Jowity. Jowita przyjęła ją z czołem nachmurzonym, z którym jak wiesz, przecudownie wygląda.

Zaraz na wstępie rzekła do niej:

— Poznałam twego narzeczonego. — Powiedz mi Natalko, czy ty go kochasz?

Natalka trochę się zmieszała. Pomyślała chwilę i odparła:

— A jużci kocham go, jeśli jest moim narzeczonem!

— Spodziewam się, że serce twoje bez pewnego oporu tego słowa nie wyrzekło!

— Mylisz się.—Mówię to, co czuję. Dlaczegoż miałybyśmy być nie szczerą?

— Do pewnego czasu żadna z nas nie przyznaje się, że jest nieszczęśliwą!

— Wybrałam sama, a nawet przyznam ci się, że w tym celu z mamą dwa razy do Ostendy jeździliśmy! Cóż ty na to powiesz?

Jowita na to nic nie odpowiedziała, tylko z zadziwieniem spojrzała na mówiącą. Rozśmiała się Natałka i rzekła:

— Widzę moja droga, że ty marzysz o sielankach i czytujesz sentymentalną powieść o kochankach nad brzegami Dniestru. Wszystko to piękne i dobre, ale takie excentryczne uczucie to chwila, a my wybieramy na całe życie!

— Właśnie dlatego, że wybieramy na całe życie!— odpowiedziała Jowita z deklamacją.

— A z czegoż przeważnie składa się to całe życie nasze?—zagadnęła zręcznie Natałka. Oto gdybyśmy urodziły się w niższych warstwach, życie to składałoby się z pracy i różnych drobnych kłopotów. Wtedy przyłączyłybyśmy tę pracę naszą do pracy jakiego pocziwego człowieka i miałybyśmy szczęście jakie takie. Ale *nasze* życie nie składa się z zarobkowej pracy, tylko z mnóstwa drobnych a koniecznych fraszek, które nic nie przynoszą, a wiele pieniędzy kosztują. Tak jest, i tego dotąd nikt nie zmienił.... O cóż więc chodzi? O to, aby na te nieuniknione fraszki mieć pieniądze. Głupcy powiadają, że my za pieniądze się sprzedajemy, a my właściwie tylko tego wymagamy, aby się utrzymać w koniecznych warunkach przeznaczonego nam życia!.... Mój Boże! świat tak długo już stoi, a przecież żaden mądry człowiek tego naszego życia nam nie zmienił! Możeby nam lepiej było, nie przeczę, ale że tak nie jest, to trzeba się stosować!

— Mówisz z taką rezygnacją jak Turek!

— Powiedz mi sama, czy możesz wyobrazić sobie księżną bez karety i służby w galonach? Czy widziałaś kiedy jedną z naszych hrabin, któraby nie miała choćby małego powoziku, albo o niego ustawicznie mężowi głowy nie kłopotać? Czy znasz wreszcie choć jedną pocziwą kobietę, któraby co roku nie chciała mieć nowego kapelusza i kostiumu ostatniej mody?.. A cóż mówić o herbatach, rautach, teatrze i wycieczkach za granicę?... Otóż to są konieczne fraszki naszego życia, a dopokąd one nami rządzić będą, to my na nie będziemy potrzebować pieniędzy i często-kroć według nich będziemy wybierać sobie towarzyszków życia!

— Natałko! Co téż ty mówisz!

— Położenie babki mojej jest ci znane. Ja nie mam nic. Trzeba więc naszą pozycją czémś ratować. Przebierać zaś nie ma w czém, bo nasze kółko jest bardzo ograniczone; więc nie dziw się, że wybrałam człowieka, który majątkiem swoim naszą pozycją podtrzymać może!

— A cóż na to serce?

— Serce... serce — powtórzyła z goryczą Natałka — kobieta na naszém stanowisku a bez majątku, nie powinna mieć serca! Ty w twojem położeniu możesz według serca wybierać i bawić się sentymentalizmem!

— Nie wiem -- zawołała Jowita, — czy tego nie mówisz z ironią, ale pójdź, niech cię za to ucałuję! Pozwalasz mi bowiem osiągnąć jedyne szczęście moje!

Z tego możesz wnosić, jak ostrożnie trzeba z Jowitą postępować, aby ją tam zawieźć, gdzie ją dla jej dobra mieć pragniemy.

XXXI.

STEFAN DO NIEZNAJOMEGO.

Drezno.

Jeżeli serce czyje zdolne do wzruszeń idealnych, czuje się smutkiem przygnębione, zawadami życia poranione, najskuteczniejszém wtedy dla niego lekarstwem, są owe nie wyczerpane skarby, jakich dostarcza kraina sztuki. To co sam duch stworzył, wchodzi jakby było nasze do duszy naszéj i zapełnia rozkosznie jéj czczość, która mogłaby nas zawieść do rozpacz!

Mówię tu o arcydziełach sztuki. Zaiste, przechodząc koło Rafaela, Murilla, Titiana, Rubensa i innych ich towarzyszków, zdaję mi się że kroczę opromieniony jasnym, pogodnym słońcem nieba, które wszystkie fibry moje pobudza do nowego życia!...

Podobnego wrażenia doznaję w każdej wielkiej galeryi obrazów. Pokrzepiają one w dziwny sposób upadające siły moje i wychodzę z nich z takim uczuciem, z jakim wśród skwarne go lata wychodzi się z przejrzystej, ochładzającej kąpieli.

Nie ubliżając mistrzom zamieszkałym w Luwrze, w Wersalu, w Rzymie i Florencyi, mieszkańcy tutejszój galeryi są dla mnie jakoś szczególnie łaskawi. Być może, że moje dzisiejsze usposobienie wiąże mnie do miejsc tutejszych. Może ono to sprawia, że *Madonna di san Sisto*

z takim dziwnym urokiem patrzy na mnie, że Muryłowska Bogarodzica wodzi za mną wzrokiem pełnym przeczucia o ostatecznym ziemskim losie tego dziecięcia, które na rękach macierzyńskich trzyma. Może dlatego dziwny dreszcz mnie przechodzi, gdy patrzę w te duże, okrągłe oczy „Maryi Egipcyanki”, w które Ribeina wlał tyle strasznej, okropnej może ostatniej prośby do Boga, na którą aż z nieba Anioł wyjść musiał, aby biedną pokutnicę szatą otulić!...

Zresztą samo ustronie tej świątyni sztuki dziwnie jakoś umysł nastraja. Powietrze „Zwingera” jest jakoś tak ciche, jakby żadna żywsza fala nie poruszała go. Wkoło niego nie widzisz tego gwarne go życia, tego wiecznie ruszającego się natłoku, tego powszedniego obrazu tysiąca twarzy zarumienionych staraniem na życie codzienne, jaki zazwyczaj otacza mury Luwru lub inne zbiory sztuki.

Cicho tu i spokojnie. Nawet ten Sas milczący, leniwym postępujący krokiem, nie przerwie ci żadnym żywszym ruchem owego głębokiego wrażenia, jakiego tutaj doznajesz!...

W tej atmosferze spędzam teraz dni całe. A gdy usłyszę dźwięk kluczy, wychodzę z westchnieniem i dążę na „terasę brüłowską”, która po galeryi pierwsze teraz u mnie miejsce trzyma!...

XXXII.

Luty.

W jednym z ostatnich listów mówiłem ci, że nie zadowolony z moich prac dotychczasowych, powyrzucałem wszystkie szkice moje i porozpoczynane roboty, aby wkoło siebie pewną próżnię stworzyć.

Otóż stworzyłem rzeczywiście tę próżnię. Podobny jestem do małego chłopca, który robiąc jakiś zawiły rachunek, całą tabliczkę spisał. Czegoś mu jednak w rachunku niedostawało. Poprawiał, kreślił i dopisywał, ale rachunek nie udawał się. Szukał między cyframi błędu, ale znaleźć go nie mógł. W ostatecznej rozpaczy chwycił za gąbkę i całą tablicę na czysto zmazał, aby rozpocząć na nowo. Otóż i ja zmazałem moją tablicę i czekam jakiegoś lepszego natchnienia. Kiedy ono przyjdzie, i czy przyjdzie kiedy? Nie wiem, a strach mnie bierze nawet pytać o to.

Próżnię tę jednak, czy raczej próżnowanie mojej wyobraźni muszę czemś wypełnić. Oto chodzę do galerii i kopiuję sobie niektóre głowy i grupy, chcąc koniecznie zejść tych wielkich mistrzów przy ich tajemnicach, jakim sposobem mogli oni takie arcydzieła stwarzać.

Widzę jak przy tych słowach śmiejesz się ze mnie. Słyszę jak mówisz: Tajemnic geniuszów nie szukaj na martwym płótnie z cyrkiem w ręku, ale szukaj ich w duszy i we własném sercu!... Geniusz, to rezultat życia.

Powiedz mi mój drogi, co z tē m życiem zrobić, aby za nie choć jedną iskierkę tego twórczego światła kupić?..

Widzisz, jak dziwne nachodzą mnie myśli. A to ztąd pochodzi, że m prostą pracę wziął na twórczość? Czegóż tēj pracy niedostaje, aby była twórczą?...

Ale wracam do galeryi. Mówiłem ci, że czas moich wakacyi duchowych przepędzam kopiowaniem.

Niektórzy, jak teraz poznaję, zbyt mało cenią kopistę. Zdaje mi się, że wyrządzają m wielką niesłusznosc. Kopista to znaczy odtwarzać to, co mistrz stworzył. Kopista powinien wtajemniczyć się w to wszystko, co myślał i czuł mistrz, gdy ten obraz tworzył. Powierzchowne podobieństwo obrazu nie jest jeszcze kopią.

Tak to zawsze bywa w życiu, że czego sami nie spróbujemy, to zazwyczaj mało cenimy. Przyznam ci się, że kopista był przedtē m u mnie nader małē m stworzeniem, a dzisiaj widzę, że czyniłem m krzywdę. Dobry kopista to artysta blizki mistrza. Pomysł tylko dzieli jednego od drugiego.

Jeżeli twierdzenie moje nie będzie zaśmiałe, toby m powiedział, że dobry kopista w stosunku do mistrza jest tē m, czē m dobry exekutor w muzyce do kompozytora.

Nie myśl jednak, abym dla siebie jako kopisty chciał zawindykować lepszą sławę, jaką dotąd mają. Kopistą nie chcę być, w duszy moję j szukam twórczości. Jeżeli ję j nie znajdę, pójdę do Genewy.....

Tymczasem kopiję Titiana: „Grosz podatkowy“.

XXXIII.

Luty.

Nie mogę w żaden sposób pozbyć się jednej myśli. Pomysł mój: „przed sądem Nerona“ prześladowuje mnie ustawicznie. Jakaś mglista postać z majestatem na czole chodzi za mną ustawicznie i wymawia owe straszne dla niej słowa: Jestem wiary Chrystusowej!

A wiesz kto jest ta postać?

Jest to ów mój... model, o którym pisałem ci w przeszłych listach!

Tak jest. Nieustannie chodzi ta postać ze mną, ale chodzi w duszy mojej. W rzeczywistości nie mogę jej nigdzie ujrzyć. Nie wiem kto ona jest i gdzie przebywa?

Kiedy samotny w izdebce mojej o niej myślę, a dzieje się to najczęściej o szarą godzinie, wtedy przychodzi mi na myśl, czy ja ją rzeczywiście widziałem, czy to była tylko gra rozdrażnionej wyobraźni, która dziwne linie mgły zimowej wzięła za przezroczystą osłonę rzeczywistej istoty?

I wyteżam wtedy wszystkie siły wyobraźni, aby raz jeszcze odtworzyć sobie tę dziwną wizję z tych samych szczegółów, które wtedy widziałem!

I widzę ją nieraz spływającą po srebrnych promieniach księżyca z tym samym smutnym uśmiechem, z jakim wtedy

patrzała na zimowy krajobraz!... Wtedy, jakby odgadła moje pragnienie, zarzuca w tył długie szaty swoje i pozuje mi jako model do mego „sądu Nerona“!... Pamięć moja chwyta prędko ten obraz przecudny... i zdaje mi się, że już go mam zupełnie, że potrzebuję tylko wziąć pędzel do ręki i przenieść go z duszy na płótno;... gdy tymczasem jakaś muszka, zbudzona zdradliwie ciepłem izdebki ze snu zimowego, w powietrzu metalicznym głosem swoim zabrzęczy, a model mój czarodziejski znika odemnie i bierze z sobą wszystko to, co w pamięci mojej po niej zostać chciało. Daremnie wyciągam ręce ku niej, aby ją za wiotką szatę zatrzymać przy sobie; daremnie otwieram z prośbą spragnione usta moje... ona jak zimna switezianka nic nie widzi, nic nie słucha!...

Odchodzi odemnie po tym samym promieniu księżyca, po którym się spuściła, a gdy za nią przez szyby okna zaglądam, staje mi z całą swoją gburowatością świat codzienny przed oczy i wyśmiewa mnie wraz z moim ideałem, którym tak słodko przed chwilą pieściłem się!...

Mój Boże!.. Gdyby to świat wiedział, jak się każdy lepszy obraz tworzy, jak się która książka pisze! Wiele to postaci musi z wnętrza swego wysnuć każdy artysta, a każda z nich kosztuje go część życia. Wieleż z tych postaci zginie marnie, rozbiegnie się napowrót w chaos, z którego wyszły, a te co zostały i w szaty się przybrały, jakże nieudolnie wyglądają w porównaniu do tego, czém były w poczęciu?

Świat tego wszystkiego nie widzi i nie uwzględnia. On sędzi tylko podług rezultatów.

A rezultatem dzisiaj u mnie jest, że owój mytycznej Rzymianki nie mogę „przed sądem Nerona“ postawić, bo mi się w mgłę rozplywa, gdy po nią rękę wyciągam, aby ją należycie postawić!

Taką walkę staczam codziennie z moją wyobraźnią. Rano zaś, chłodne, orzeźwiające rano mówi mi, że mój mo-

del musi żyć w rzeczywistości, że go widział memi rzeczywistemi i zdrowemi oczyma, i że tylko jakiś zły duch przeszkadza mi spotkać się z nią, bodaj gdzie na herbacie u znajomych.

Przyznam się, że nawet w tym celu poodwiedzałem wszystkie znajome domy, i byłem nawet w teatrze i na koncercie w Belwederze. Nigdzie jednak ani śladu po niej.

Jedną rzeczy strasznie się obawiam!... Abym jęj kiedy nie ujrzał siedzącą przed kuflem piwa, z pończochą w ręku!....

XXXIV.

Luty.

Słuchaj drogi przyjacielu. Mój model żyje!

Wczoraj byłem jak zwykle w galeryi. Już od dwóch tygodni będę się nad kopią Tytiana: „grosz podatkowy“.

Znasz ten obraz. Są to tylko dwa popiersia. Jedno z nich przedstawia Chrystusa, drugi podstępного żyda okazującego Mu grosz i pytającego: ażali godzi się płacić podatek Cesarzowi?

Rzecz napozór prosta. Nie ma tam żadnej zawikłanej kompozycji, nie ma tła ani draperyi kunsztownej, nie ma szczególnego oświetlenia, zgoła nic nie ma z tych wytwornych akcesoryów, w które sztuka tak rada się ubierać. Dwie tylko twarze, zwykłe codzienne twarze, takie, jakie dopiero gdzieś widziałeś...

Ale co w tych twarzach jest!

W jednej jest Bóg! W drugiej podły człowiek!

Nie wiem, czy jest jaki drugi znakomity malarz, który tak małym szafunkiem środków stworzył tak wielki obraz!..... Tak tworzy geniusz!

Zdawało mi się z razu, że kopia tego obrazu zajmie mi zaledwie kilka dni. Dzisiaj drugi tydzień siedzę nad tą pracą i nieraz bierze mnie ochota podrzeć płótno i pędzle połamać.

Po kilku-godzinném malowaniu zdaje mi się, żem już osiągnął cały efekt oryginału. Patrząc na moją robotę to

z prawej to z lewej strony, to odchodząc to zbliżając się do niej. Serce rozkosznie bije mi w piersiach, bo widzę że między mną a Titianem, czy raczej między kopią a oryginałem prawie żadnej nie ma różnicy!

Uradowany, uśmiechnięty, śpiewający odchodzę z galeryi. Wałęsam się po mieście, pozdrawiam znajomych, a dla wszystkich mam uśmiech wewnętrznego chwilowego zadowolenia.

Tymczasem na drugi dzień, rano zmienia się scena. Przychodzę do galeryi, patrzę na mój obraz, patrzę na oryginał... jak ogromna między nimi różnica! Jeden obraz mistrza, drugi, licha kopia zrobiona przez lichego malarza! Tamten przemawia całą godnością jedną, a całą grozą drugiej twarzy; ten wyobraża dwie pospolite, na płótnie rozpląszczone twarze!

Ty, który wtajemniczony jesteś w rozkosze i boleści tworzenia, choćby tylko naśladować wielkich mistrzów, zrozumiesz i pojmiesz moją rozpacz, która mnie za serce targa!

Po przejściu tego bolesnego paroksyzmu zaczynam znowu jak Syzyfus pracę moją na nowo. Przemalowuję, poprawiam, wydobywam jaśniejsze światła, zagłębiam cienie... aby znowu nazajutrz wszystko zmazać i znowu wszystko na nowo rozpocząć!

Dzisiaj jakiś szczęśliwszy dzień dla mnie zaświtał. Praca moja postępowała nader szczęśliwie. Jakoś jaśniej widziałem, jaśniej wpatrywałem się w subtelne tajemnice oryginału....

I już prawie, prawie byłem zadowolony z siebie. Twarz Chrystusa, której Titian nawet starannie nie wymodelował, tylko szeroko wymalował, miała już niejaki błyski bóstwa, które ją tak dziwnie różnią od zwykłej, człowieczej twarzy!... Już zarysowała się wkoło bladych ust ta boska pogarda nikczemności ludzkiej, która w brzydkiej postaci kusiciela z wykreconym tułowem tutaj występuje... i chciałem już krzyknąć z tryumfu, gdy nagle nastąpiła zmiana światła, a przy téj zmianie straciła twarz Chrystusa coś

z boskiego swego piętna! Coś jęj jeszcze brakowało do oryginału!

Zagryzłem usta i z gniewem prawie odstąpiłem aż do przeciwnęj ściany, aby z oddalenia badać.

Znasz ten długi szereg małych sal, w którym umieszczony jest ten obraz Titiana. Znasz także tę precudną perspektywę kilkunastu drzwi postępujących po sobie w amfiladzie pokoiów.

Otóż na samęj granicy tęg czarodziejskięj perspektywy pojawił się teraz, mój model!

Tak jest! To ona!....

Kroczyła zwolna, z powagą królewską. Gruba, fałdzista zarzutka okrywała jęj ramiona, a ciemna długa suknia wlokła się za nią, ukrywając starannie, dążący nieustannie do światła bućik miniaturowy!.... Razem z nią szła jakaś jaśniejsza, świetlana atmosfera....

Szła zwolna przez wszystkie pokoje nie oglądając wiele obrazów. Za nią postępowała starsza matrona.

Wreszcie zbliżyła się do mego obrazu....

Stałem opodal jak przykuty do ziemi. Paletę i pędzle zostawiłem przy obrazie. Mogłem więc wyglądać na zwykłego spektatora.

Nieznajoma spojrzała teraz na moją kopię. Porównywała ją czas niejaki z oryginałem.

— Ta kopia jest dobra—ozwała się po polsku—ale czegoś jęj niedostaje!....

I posunęła się kilka kroków, aby w lepszym świetle oba obrazy oglądać.

Stałem czas niejaki oszołomiony. Nic prawie przed sobą nie widziałem. Nieznajoma była w tęg chwili obrócona do mnie plecyma.....

Odetchnąłem głęboko, nabrałem odwagi i zbliżyłem się zwolna.

W tęg chwili obejrzała się nieznajoma i zapłonęła jak szkarłat....

Szybkim ruchem ręki zarzuciła na twarz woalkę i odwróciła się znowu do obrazu.

— Przepraszam—ozwałem się, a głos mój drżał z wzruszenia—przepraszam panie, ale w cudzym kraju, ma się do ziomków inne, wyłączne prawa!

Nieznajoma odrzuciła teraz znowu woalkę i spojrzała na mnie. Szkarłatny rumieniec znikł z jej twarzy. Była blada, mocno blada. Nie była to widocznie jej bladość naturalna.

Czy odgadnęła kobiecém przeczuciem, żem o niej długo, tak długo marzył? Czy się przełękała obaczywszy człowieka, który w marzeniach swoich chciał nad nią zapanować?...

— Podziwiałysmy właśnie ten obraz—ozwała się starsza w niejakiem zakłopotaniu.

— Właśnie dlatego zbliżyłem się—odpartem—słyszac tak trafne zdanie o tej kopii.

Nieznajoma obrzuciła mnie tutaj swoim, dużém szafirowém okiem. Owe charakterystyczne dwie zmarszczki nad jej brwiami, które tak coś uroczego mają, podniosły się jeszcze wyżej, jakby chyży bieg myśli przytrzymać chciały. Wyraz jej twarzy był czarujący....

— Mówiłam wcale niepochlebnie o tej kopii—ozwała się z uśmiechem—zarzucałam jej brak czegoś.

— Masz pani słuszość—odpowiedziałem—jej brak czegoś, a trudno to nazwać. Od godziny patrzę i nie mogę dojrzeć. Świeże oko zazwyczaj więcej widzi! Chciiej pani jeszcze raz spojrzeć!

Nieznajoma spojrzała pierwój na mnie, jakby się o coś pytać chciała, a potém na obraz. Porównywała niejakiś czas oryginał z kopią, przyczem owe zmarszczki na czole były w ustawicznym ruchu... Po chwili znikły nagle te zmarszczki, czoło wygładziło się jasną pogodą. Z lekkim zarumienieniem rzekła:

— Teraz wiem gdzie jest niedokładność. W oczach Chrystusa na oryginale jest inny wyraz. Wyraz ten nazwałabym mieszaniną wzgardy, litości i lekceważenia. Przeje-

rzał on bowiem podły zamiar kusiciela. Wzgardził podłością, ulitował się nad upadkiem tego kupionego człowieka, a lekceważył zastawione na siebie sidła!... Oczy zaś Chrystusa na kopii mają zanadto że tak powiem jednostronnego wyrazu. Niebezpieczeństwo pokusy zanadto jest silnie wyrażone jak na Boga, który przecież był wszechwiedzącym!...

Słowa te zadziwiły i uniosły mnie. Znamionowały one kobietę niezwykłego wykształcenia i duszę wrażliwą na wszelkie odcienia piękna.

Nie umiem ci opisać, com czuł pod tém wrażeniem. Obawa moja że poznam kobietę zwyczajną, powszednią, znikła odemnie, a natomiast weszła do duszy mojej jakaś radość nieopisana!...

Przed godziną byłem jeszcze od téj kobiety tak daleko, teraz, po tych słowach, zdawało mi się, że byłem jęj tak bliskim... że to dawna moja znajoma!...

Nieraz zdarza się w życiu, że dwie obce osoby zejdą się razem, a rozgadawszy się poznają, że są sobie krewne i serdecznie wzajem się cieszą.

I mnie po tych słowach udało się, że nieznajoma jest mi krewną.... Ozwałem się po chwili:

— Nadzwyczaj słusznie osądziłaś pani niedostatek kopii. Sam teraz widzę jasno...

Nieznajoma zdawała się nie słuchać moich słów. Patrzyła pełném okiem w obraz Titiana.

— Dziwne wrażenie sprawia mi ta twarz Chrystusa, rzekła napół w zamyśleniu. Niedawno czytałam książkę, która zaprzecza idealnej strony życia. Sztuce nawet odmawia idealnych kreacyj. Powiada, że to wszystko tylko dobrze dobrane modele.... Otóż ta jedna twarz Titiana może te wszystkie twierdzenia obalić. Przecież każdy przyzna, że takiej twarzy z takim wyrazem nie ma i nie było nigdy na ziemi. Titian nie mógł jęj zdjąć z jakiego modelu, a on ją począł w duszy swojej, a on ją stworzył!

Wyrzekłszy to odwróciła się do mnie i spoczęła na mojej twarzy tém precudném szafirowém okiem. Chciała

prawdopodobnie widzieć wrażenie, jakie te podniosłe słowa na mnie sprawiły.

— Pani nie wiesz — rzekłem z uśmiechem — na jaką ziemię rzucasz złote ziarna swoje!... Jestem owym niezdarnym kopistą tego obrazu, i dopiero przez oczy pani obaczyłem, czego mojej kopii niedostawało!...

Na to nieznajoma znowu poczerwieniała i zbladła.

— To nie było szlachetnie — wyszepnęła z cicha — stawić nam takie siła!

— Ale za to z wielką korzyścią, dla kopii! — odpowiedziałem.

Starsza jej towarzyszka była w widocznym kłopotcie z powodu tej dziwnej, tak anormalnie prowadzonej rozmowy między ludźmi, którzy siebie nie znali. Zdobyła się więc na jedyny możliwy pomysł przerwania tej artystowskiej debaty. Ukłoniła się i zwróciła się ku drzwiom: za jej przykładem to samo uczyniła i młodsza.

Nie wiem com na te dwa ukłony odpowiedział, ale wiem że długo stał na miejscu, z którego widać je było niknące coraz więcej w tej złudnej perspektywie!

A gdy ostatni koniec jej ciemnej sukni zniknął, odetchnąłem głęboko i rzekłem do siebie: Czy to prawda, że wielcy mistrzowie postacie swoje sami tworzyli, czy brali je z modeli rzeczywistych? Dlaczegoż nie mogą na ziemi żyć ludzie wybrani?...

Smutno mi, że już ten list kończyć muszę! Godzina druga po północy wybiła na zegarze, a jabym o niej chciał pisać wiecznie!...

XXXV.

Luty.

Dzisiaj rano przyszedł do mnie ów zacny obywatel z Galicyi, który moją kopię Rembrandta nabył. Rozmawialiśmy czas niejaki, wreszcie zapytał mnie, czybym nie chciał zabrać znajomości z domem, w którym zazwyczaj większe towarzystwo się zbiera. Popierał zaraz propozycję swoją potrzebą odświeżenia umysłu i pomnożenia stosunków towarzyskich.

Nie było to potrzebne. Za pierwszym jego słowem przyszła mi zaraz na myśl moja nieznajoma i nadzieja, że ją w takim towarzystwie najprędzej spotkać mogę.

Zgodziłem się więc z góry na propozycję, nim jeszcze proponujący wszystkie swoje argumenta rozwinąć zdołał, w jakie się był zaopatrzył. Zdaje się że był przygotowany na mój upór.

Umówiliśmy się o miejsce schadzki, a gdy godzina dziewiąta na zegarze zamkowym biła, wchodziliśmy właśnie do mieszkania pewnej zacnej matrony, którą powszechnie panią marszałkową nazywają.

Zastaliśmy towarzystwo już dosyć liczne. Nie wiedziałem, że w stolicy saskiej tyle moich ziomków mieszka. Niektórych znałem już zkadinał. Większa część, mianowicie kobiet, była mi zupełnie obcą.

Obiegłem okiem cały salon, nieznajomój mojej nie było!

Zasmuciło mnie to, ale nowość położenia nie pozwalała zajmować się teraz smutnemi myślami. Potrzeba było najprzód przemówić kilka słów do gospodyni, potem przywitać się z tym i owym znajomym, innym się przedstawić.

Przyjęto mnie jak się zwykłego gościa przyjmuje. Grzecznie, przyjaźnie, mówiono ze mną kilka chwil, wreszcie zostawiono mnie samemu sobie.

Byłem niejako- kontent z tego. Mogłem swobodnie rozpatrzeć się i zdać sobie sprawę o ludziach, między którymi się znajdowałem. Być może, że kiedyś między tymi ludźmi miałem ujrzeć nieznajomą!...

Pani marszałkowa sprawiła na mnie dosyć przyjazne wrażenie. Była to matrona w podeszłym wieku z kornetem zeszłowiecznym na głowie. Miała przytem na sobie jakiś szlafrok fałdzysty. Modniarka byłaby z szyderskim uśmiechem zmierzyła ją od stóp do głowy; ale właśnie w tém lekceważeniu sztuki modniarskiej było coś, co poważnej staruszce wiele nadawało uroku. Z sędziwej jej twarzy i obwisłych fałdów kornetu można było jasno czytać, że do uświetnienia osoby swojej nie potrzebuje wiele fatałaszków świecących. Przeciwnie możnaby ją posądzić, że modnemi przyborami pogardzała z pewną ostentacją, widząc cały blask i urok w swoim starożytném nazwisku. Był to, że tak powiem rodzaj pychy, jakiej podlegają często podobne jej osoby.

Stosowna także do tego była jej rola w salonie. Nie uganiała za gośćmi swymi, nie starała się ich grupować, bawić, ustawicznie troszczyć się o nich. Siedziała nieruchomie na swoim fotelu i obecnym pozwalała grupować się koło siebie, jak im się żywie podobało. Pod tym względem miał gość zupełną wolność. A jednak, mimo téj biernej na pozór roli, tworzyła pani marszałkowa wraz z swoim starożytnym fotelem środek wszelkiej zabawy. Do niej cisnęło się wszystko, ku niej zwrócone były twarze wszystkich rozmawiających. Każdy z obecnych silił się choć kilka frazesów

z nią wymienić. Potém widocznie uszczęśliwiony odchodził do grup pobocznych i ztamtąd jeszcze oglądał się od czasu do czasu na fotel i kornet starożytny, gdzie go spotkał taki nie mały splendor!

W przyjęciu gości przedstawiała pani marszałkowa jeden z typów niknących coraz więcej z pośród nas. Widać było po jój twarzy, że o środki przyjęcia nigdy się nie troszczyła i dzisiaj się nie troszczy. Nie ma na głowie troski, czy czego nie zabraknie. To jest rzeczą służby. Ona wie-rzy w swoje zasoby nieprzebrane i tylko rozkazuje. Do niój to zastosować można co o królowej angielskiej mówią: *elle regne et ne gouverne pas!* Ona nawet wątpić o tém nie może aby w jój domu czegoś nie było, albo aby jój gościo-wi czegoś zabrakło! Nawet i wtedy nie uwierzy w brak ja-ki, chociaż rzeczywiście już nic nie będzie!

Wprawdzie służba takiego domu, wyższa i niższa, przychodzi z czasem do ładnych fortun, ale to nie alteruje wcale chlebowawcy. Mówi w takim razie, że *pan* na to jest, aby biédni z niego żyli, czyto pracując przy jego zagonie, czy po prostu okradając go. Ta niezem nie zachwiana wia-ra w niewyczerpane zasoby pańskie jest u nas nader chara-akterystyczną. Wprawdzie koniec jój nader tragiczny!...

Marszałkowa rozprawiała z wielką czcią o królewskiej saskiej rodzinie. Była ona przedewszystkiem legitymistką i dlatego wołała przemieszkować w Dreźnie niżeli w innój jakiej stolicy.

Towarzystwo salonu składało się z mieszkańców wszy-stkich okolic Galicyi.

Są to ludzie mniej więcej jednego kraju. Taniość ży-cia, wygody wielkiego miasta, obok zaciszy prawie sielskiej czyni Drezno centralnym punktem dla tych, którzy w ziem-ie wieś opuszczają szukając odpowiedniego dla siebie towarzy-stwa. To téż jak Paryż, Wiedeń, Berlin celują życiem pu-bliczném, Drezno żyje wyłącznie życiem domowém, ożywio-ném przez zebrania towarzyskie.

Matki przywożą tutaj podrosłe już nieco córki, aby po niezdarnych francuzkich guwernantkach dokończyć ich ostatecznej edukacyi. Przytém młode plemie probuje na szerszym świecie swoich zaciśniętych dotąd skrzydełek, swego rozumu, dowcipu, nabytej nauki a potrosze i wdzięków. Przebywszy tutaj taki kurs towarzyski, łatwiej jest w rodzinnym powiecie olśnąć i zaimponować.....

Ojcowie tymczasem (jeśli nie zostali na wsi, co się najczęściej wydarza) bawią się pogadanką, ganią ciche miasto przekładając nad nie Wiedeń i Berlin, a z unudzenia zasiadają do kart!

Młodsza zaś męzka generacya ma tutaj ważne stanowisko. Jest ona ustawicznie na czatach. Śledzi każdą nowoprzybyłą pannę i dowiaduje się skrzętnie o jej posagu. Są to najczęściej ludzie, którzy gwałtem potrzebują żony z posagiem. Tłumaczą to w różny sposób. Jeden potrzebuje amelioracyi w gospodarstwie, drugi umknął przed wexlami, których termin już zapadł, nad trzecim wisi jak miecz Damoklesa, subhasta.

A wszystko to są nader skuteczne motywa wielkiego ruchu. Tymczasem strona przeciwna umie wybornie siły swoje maskować. Żyje się dosyć wystawnie, mama mówi z lekceważeniem o krocjach, a ciocia półsłówkiem wspomina o testamencie stryjaszka, który jeszcze nie rozpieczętowany u rejenta spoczywa. I trafia się bohater, który po wywiedzeniu się tego wszystkiego, nastraja się sentymentalnie, przykleka i otrzymuje rękę panny. Kilka tygodni po ślubie zwierza się z rozpaczą swoim przyjaciołom, że spodziewanego posagu nie było, i że jest człowiekiem zrujnowanym! Przyjaciele jego ubolewają nad nim, wyrzucają mu lekko-myślność, a za tydzień idą w jego ślady!

Również mógłbym do tego dodać nie jeden jasny, piękny obrazek, który był owocem tutejszych towarzyskich stosunków, i wielki zaszczyt czyni idealniejszym uczuciom ludzkiego serca, ale odkładam to do innego czasu.

Studyując otaczające mnie towarzystwo, rozrywałem wprawdzie swój umysł jakąś pracą przyjemną, ale od czasu do czasu ścisnęło me serce przykre uczucie, które z ust moich wyciskało pytanie: Dlaczego jęj tu nie ma?

Każdy szmer powstały między gośćmi, każde otworzenie drzwi, każde głośniejsze wymówione słowo zwracało moją uwagę i drażniło mnie nadzieją: może to ona?

Wreszcie koło godziny dziesiątej otworzyły się drzwi salonu.... i otóż ona!

Ale niestety! Spostrzegłem, że nie ja sam jeden odkryłem ten klejnot!

Byłem podobny do astronoma przed Galileuszem i Kopernikiem, który wierzył uporczywie, że słońce jest tylko dla ziemi stworzone, że tylko ją ma ogrzewać i oświecać a wkoło nięj krążyć!

W tęg chwili uwierzyłem z Kopernikiem, że ziemia to jeden atom w systemie słonecznym... że wkoło tego słońca krążą liczne planety i że tylko niepoczesnej ziemi wolno jest trochę ogrzać się i oświecić przy tęg okazałem ognisku!...

Wszystkich oczy zwróciły się na moje nieznaną, i wszystkie twarze dziwnie wypogodziły się na jęj widok!

Widziałem młodzików kręcących szybko wąsy na jęj spotkanie, słyszałem wykrzykniki radości, że przecież raz się zjawiała! Słyszałem także, że jedni drugim dodawali żartobliwie odwagi i obiecywali zwycięstwo. Jakiś łysy jegomość objaśniał swego sąsiada co do jęj posagu i wymówił na moje utrapienie dosyć znaczną cyfrę!...

Przyznasz mi, że takie rzeczy mogą najekscentryczniejszego entuzyasta ochłodzić i nastroić go elegijnie.

Kobięta, z którą w wyobraźni swojej pieściłeś się sam na sam, kazałeś jęj tak łaskawie patrzeć na siebie, uśmiechać się i mówić takie przecudne słowa; tę kobietę widzisz teraz otoczoną nie przebitą atmosferą licznych adoracyj, upragnioną i poszukiwaną przez tysiące szczęśliwszych od siebie śmiertelników, zagłuszoną najwyszukańszemi frazesami, i olśnioną najpiękniejszą brzmiącemi nazwiskami!...

Trzeba sporego szaleństwa i zarozumiałości, aby w takim położeniu cisnąć się przed oczy tryumfującej królowej, która w takim razie nic i nikogo nie widzi!...

Być może że w głębi duszy mojej poczuwam się do lepszego miejsca od niejednego mego sąsiada, ale świat w którym jestem, nie widzi i nie uznaje moich fikcyjnych pretensyj. Przeciwnie, panują jeszcze wyobrażenia, że właśnie to, co za swoją zasługę uważam, poniża mnie i stawia nademną nie jednego próżniaka i niegodziwca, który zgrabnemi pozorami wszystkich oszukuje!...

Miała na sobie suknię blado-liliową z czarném ubraniem, włosy krucze *à l'antique* w wolny węzeł związane i miała jak zawsze, te przesliczne i charakterystyczne dwa fałdziki na czole i te duże, pełne, szafirowe oczy!... Za nią postępowała starsza matrona.

Od drzwi do fotelu marszałkowej przeszła rażno nie patrząc po drodze na nikogo. Uściśnęła serdecznie rękę marszałkowej i przemówiła do niej kilka słów sympatycznych.

Potém dopiero powiodła okiem po całym zgromadzeniu. Kiedy jęj oko na mnie spoczęło, czułem że krew do twarzy mi uderzyła. I jęj twarz zarumieniła się lekko. Spuściła oczy i odtąd więcej na mnie nie spojrzała. Wido- cznie nawet unikała tego, aby się z mojem wejrzeniem nie spotkać. Rozmawiała z swemi sąsiadkami i sąsiadami nad- zwyczaj żywo, i widać było, że te rozmowy zajmowały całą jęj uwagę.

Smutno, nader smutno mi było. Odszedłem w najciemniejszy kąt salonu i pograżyłem się w nader nieprzyjemne myśli. Nie miałem nawet odwagi kazać się jęj przedstawić.

I pomyślałem sobie:

— Taki to los nie jednego naszego marzenia!

Żegnam cię!

XXXVI.

Marzec.

Kilka dni upłynęło od tego wieczora u pani marszałkowej, który uczynił mnie uboższym o jedno moje marzenie. Smutno jest być podobnym do drzewa w jesieni, które za każdym powiewem wiatru traci po listku, widząc jak ten utracony listek pod jego stopami więdnie i żółknie!

Wprawdzie gniewam się na siebie za moje dziwne, uroszczone, pretensye. Czemże była dla mnie ta kobieta od chwili, gdym ją poraz pierwszy ujrzał? Oto niczém inném jak wybornym modelem do mojej Rzymianki przed sądem Nerona! Czyż nadal tém pozostać nie może? Czyż nie wolno mi patrzeć na nią i z pamięci przelać jój rysy na płótno? Czemuż czuję żal do niej, jakby mnie zawiodła?

Takie pytania zadaję sobie, ale one jakoś nie uspokajają mnie. Jest po za tém pytaniem coś, czego sformułować nie umiem, czy raczėj nie mam odwagi. Czuję tylko, że jój widok jest dla mnie potrzebny, że oczy jój mają jakąś dziwną elektrykę, która wszystko we mnie rozbudza i dawne siły mi wraca.

Pod tém dziwném wrażeniem wziąłem się znowu do kompozycyi. Przyznam ci się, że nie poznaję sam siebie. Ręka moja biegnie sama po płótnie i zdaje mi się, że wstąpił we mnie jakiś inny, nowy człowiek, który nią kieruje!

Wszelkie dawne trudności, które mnie w rozpacz wprawiały, znikają z pod mojej ręki i nic mi się nie zdaje niepodobnym. Jeden pomysł ciśnie drugi i chciałbym mieć jak Bryaryusz tysiąc ramion!...

Wszystko to jednak trwa tylko dopóty, póki jej postać widzę zwróconą do siebie. Gdy się odemnie odwraca, pulsy moje zaczynają bić wolniej, ręka słabnie i natrafia coraz więcej na nieprzebyte trudności!

Powiedz mi mój drogi, czy może mieć kobieta taki dziwny, magnetyczny wpływ? Czyż może ona według woli przyspieszać i zatrzymywać bicie cudzego serca, wlewać w nie nowe lub odbierać mu własne jego siły? Czyż może jednym spojrzeniem swoim rozgrzać stygnącą duszę i powołać ją na nowo do czynnego życia? Czyż może wreszcie tym samym spojrzeniem rzucić w umysł urodzajne ziarno nie zwykłych myśli i niepowszednich pomysłów? A nakoniec, czyż może to wszystko odebrać jak swoje za prostym odwróceniem się?

Wiem tylko, że dziwna rewolucja zaszła w mojej duszy. Coś weszło do niej, czego dawniej nie było.

Nie wiem, czy to listek wonnej róży, czy tylko cierń z jej gałązki?....

Za dwa dni wypada znowu wieczorek u pani marszałkowej. Postanowiłem pójść. Wszelkie względy przemogło nieugaszone pragnienie, aby ją widzieć. Mam nadzieję, że ją obaczę. A wiesz jak się ona nazywa?

Imię ma dziwne, nie bardzo u nas zwyczajne. Nazywa się Jowita. Zrazu nie myślałem, aby ono było chrześcijańskie, ale wreszcie znalazłem je w kalendarzu katolickim. Jestto imię jej babki, która była Włoszką. A nawet w jej twarzy jest coś włoskiego. Osobliwie ten wyraz spotęgowanego życia, który pali się w jej oczach szafirowych i prze-

bija śniadą cerę jój twarzy. Nie ma ojca ani matki, tylko jest pod opieką ciotki swojej.

Imię jój „Jowita” nasuwa mi dziwne podobieństwo do Jowisza na rzymskim Kapitolu. Zaiste jest coś gromowładnego w tém wypukłym, namarszczoném czole, są błyskawice piorunu w tych oczach palącego się szafiru i w tym karminie ust zawsze jakimś pragnieniem spiekłych i napół otwartych!...

Czy ta błyskawica, gromy i pioruny nie staną się zagubą moich dopiero co zeszyłych marzeń?...

Pojutrzejszy wieczór okaże może więcéj!

XXXVII.

Marzec.

Nie omyliłem się, mój zacny przyjacielu, że w tym liście więcej ci doniosę.

Pisałem ci przed dwoma dniami, że postanowiłem pójść dzisiaj do marszałkowej. Otóż około godziny dziewiątej puściłem się w drogę. Przyznasz sam, że w taką drogę nie idzie się z próżną głową. Mimowoli pochyła się ona ku ziemi, a oczy prawie nic przed sobą nie widzą. Czas nawet i przestrzeń tracą wtedy swoje prawa i przymioty i według wewnętrznego naszego usposobienia zdaje nam się raz że zaprędko biegną, drugi raz, że leniwo się ciągną!

Jakoś zbyt niespodzianie stanąłem przed mieszkaniem marszałkowej. Przestrzeń dosyć znaczną przebiegłem w nader krótkim czasie. Sam nie wiedziałem jakim sposobem to staćby się mogło.

Ale przestrzeń i czas nie zmieniły się wcale, zajęta tylko marzeniem wyobraźnia skróciła je. I to też było powodem, że nie spojrzałem wcale na okna mieszkania marszałkowej, któreby może odradziły mi wejść do salonu.

Nie spojrzałem jednak i śmiało wszedłem. Przedpokój nie był zamknięty, w przedpokoju nie widziałem żadnego służącego. Nie zwracałem uwagi na ciszę, która wszędzie panowała. Ale w końcu byłbym może spostrzegł, że nie w porę przyszedłem i tak samo niepostrzeżenie cofnąłbym

się, jakem przyszedł, gdybym w tej chwili nie był usłyszał owego dobrze mi znanego głosu Jowity.

To rozstrzygnęło o losie dzisiejszego wieczoru. Chwyćcie za klamkę do salonu.

Mimo widoku tej, którą obaczyć pragnąłem, zmieszałem się nie mało. W obszernym bowiem salonie było prawie ciemno. W jednym tylko rogu świeciła się mała lampka i oświecała niewyraźnie trzy kobiety.

Na swoim starożytnym fotelu siedziała marszałkowa daleko bledsza, niżeli przed tygodniem. Była owinięta grubym szalem. Koło niej po prawej stronie siedziała ciotka Jowity, a w najbliższym sąsiedztwie ciotki, pochylona nad stołem przypatrywała się Jowita jakimś obrazkom.

Pozwól mi tutaj jako malarzowi uczynić uwagę, że prześliczna ta grupa była jakby do malowania. Różnice wieku, oświetlenia, i wyrazów twarzy, były jakby naumyślnie artystycznie ugrupowane. Postać marszałkowej z malowniczą draperyą miękkiego szalu, z tą twarzą pooraną bruzdami wspomnień dobrych i złych godzin życia, wyobrażała uchodzącą z przed naszych oczu przeszłość. Ciotka Jowity z twarzą powszednią, nieco podstrojoną, z apatycznem wejrzaniem przed siebie, była niejako obrazem dzisiejszych czasów, stojącym na rozdrożu między przeszłością, która w rogu obfitości trzyma dla nas najskrytsze i najrozkoszniejsze marzenia nasze!... Jowita była tą przyszłością!...

Przyjście moje zwróciło uwagę wszystkich kobiet. Marszałkowa spojrzała na mnie dosyć obojętnie. Sąsiadka jej okazała nieco zadziwienia. Po twarzy Jowity przemknęło na chwilę jakieś żywsze światło; szybko jednak zwróciła się znowu do rycin, które oglądała.

Teraz nadeszła chwila dla mnie nader przykra. Widziałem po zaniechaniu oświetlenia reszty pokoi, że dzisiaj u marszałkowej nie było żadnego większego wieczoru. Cofnąć się już nie mogłem, a każdy krok mój naprzód był krokiem po cierniach.

Kłopot mój rósł z każdą chwilą. Siliłem się na jakąś extazę, szukałem słów jak najlepszych, ale żadne słowo nie chciało być pierwszym. Czułem jak się mieszają i biją między sobą, nie mogłem już nad nimi zapanować. Dziwny chaos zrobił się w mojej głowie, do czego nie mało przyczyniło się to, com widział!

Zdaje mi się, że najbardziej moje zakłopotanie zrozumiała i podzielała Jowita. Twarz jej ożywiała się coraz więcej. Podniosła zwolna od obrazków swoje oczy i z pewnym niepokojem spojrzała na marszałkową. Oczy te zdawały się śledzić usposobienie gospodyni i wyrażały chwilami jakąś niemą prośbę...

Pani marszałkowa oczekiwała dosyć obojętnie mego zbliżenia się do stolika. Gdy to nastąpiło ozwała się do mnie:

— Przepraszam pana — że służący mój nie mógł obejść wszystkich tych, którzy łaskawie mnie odwiedzają, z wiadomością, że dzisiaj nie czuję się zupełnie na siłach przyjąć u siebie liczniejsze towarzystwo. Niech to jednak pana bynajmniej nie alteruje, że nie wiedząc o tém, zastałeś pan nas przy małej lampce. Gdy nam światła więcej potrzeba będzie, to się znajdzie. Do tego jeszcze mam panu do powiedzenia, że przychodzisz tak w porę, jakbyś wiedział o tém, że panna Jowita w téj chwili pańskie nazwisko wymówiła. Siadaj pan przy nas!

Wyznam ci, że w téj chwili bardzo źle się znalazłem. Zamiast zażądać od marszałkowej, aby mnie sąsiadkom swoim przedstawiła, usiadłem według rozkazu w milczeniu, bo jeszcze żadne słowo przez usta wyjść nie chciało. Zresztą rozmawiając w galeryi z ciotką i Jowitą, zdawało mi się, że jestem już tak dawnym ich znajomym, jakbyśmy beczkę soli wszyscy troje z sobą zjedli!

Nastąpiła cisza i milczenie złowieszcze, krótko trwała, lecz dla mnie była wiekiem męczarni. Czułem niestosowność tego milczenia, wiedziałem że ta pauza była zostawiona dla mnie, abym w niej dał słyszeć głos swój. Ale nie wiem

jak się to stało, żem w téj chwili nie mógł ani jednego słowa znaleźć.

Niech ci to służy za miarę wrażenia jakiego w téj chwili doznawałem. Serce kobiety zazwyczaj odgaduje co to milczenie znaczy i skrycie tryumfuje. Tylko człowiek obojętny jest zawsze przytomny!

Czy Jowita odgadła to milczenie, czy jój serce uderzyło żywiej na tryumf swój? Nie wiem.

Nieodrywając oczu od rycin, ozwała się pierwsza:

— Opowiadałam właśnie pani marszałkowej, w jak dziwny sposób poznałyśmy pana!

— Że dziwny sposób to prawda—zauważyła ciotka— ale to niech będzie moja Jociu, nauką dla ciebie!

— Nie mogę się domyślić téj nauki — odparła z małym kaprysykiem Jowita — wyjąwszy jeżeli pan się na mnie rozgniewał! Ciocia uważa to już za główną wadę, jeśli się jest szczerą i otwartą!

— Staję po stronie pani — ozwał się — bo dla czegoż nie wypowiedzieć tego, co komu korzyść przynieść może? Trzy tygodnie pracowałem nad tą kopją. Wiedziałem że coś jój brakuje. Ale oko moje było już tak zmęczone, tak się wpatrywało w ten obraz i przywykło do wszystkich jego błędów, że tego braku w żaden sposób odkryć nie mogło. Właśnie zastałaś mnie pani w chwili rozpacz, kiedy już zamierzałem rozedrzeć całe płótno, aby się daremnie więcej nie męczyć! Pani przyniosłaś świeże oko i odrazu dostrzegłaś błąd... Przez oko pani zobaczyłem i ja, a dzisiaj poszedłszy za radą pani, sądzę, że nie znalazłabyś pani między kopją a oryginałem żadnej różnicy. A to jest wyłącznie zasługą pani. Nie uważając siebie za wyłącznego autora téj pracy, nie położyłem nawet na tym obrazie mego monogramu.

Oczy Jowity ożywiły się, oderwały się od rycin i spoczęły chwilę na mojej twarzy.

— Przyznajesz mi pan za wiele — odparła — słowo a wykonanie to dwa wyrazy, stojące daleko od siebie!

— Ale się wzajem dopełniają! — dorzuciłem patrząc w te piękne, szafirowe oczy.

Coś zadrgnęło w tych źrenicach, przesunęła się po nich jakby mała iskra elektryczna.

— Pan nie zawsze kopjujesz? — zapytała po chwili milczenia zwracając oczy na ryciny.

— Nie, pani — odpowiedziałem szybko, bo drobna próżność moja kazała mi szybko odpowiedzieć na to pytanie. — Nie kopjowałem prawie nigdy, wyjąwszy gdy byłem w akademii, tylko w tej chwili chciałem jak leniwy uczeń stworzyć sobie rodzaj feryi, i kilka obrazów lepszych z tutejszej galeryi skopiować.

— Widzi ciocia że miałam słusność — rzekła na to Jowita z jaśniejszém spojrzeniem.

Nie zrozumiałem tych słów, bo wiązały się one do czegoś, co mi było nieznaném.

Ciocia ruszyła się na krzesło, aby tym ruchem pokryć niejako zakłopotanie, w jakie wprawiła ją w tej chwili Jowita, która odegrała jak się zdaje, rolę, najprawdziwszego *l'enfant terrible!*

Mimo wiedzy może, przyszła jej w pomoc pani marszałkowa. Czy nie była usposobioną do prowadzenia lub słuchania rozmowy treści estetycznej, czyteliż miała z ciocią co na osobności do pomówienia, czy wreszcie, jak się to zazwyczaj dzieje, chciała obecność moję w jaki korzystny sposób dla swojej faworytki spożytkować: dosyć, że pociągnęła za sznur wiszący przy niej, i odezwała się do wchodzącego słuchającego:

— Zaświecić dużą lampę i postawić tam na okrągłym stole!

A zwróciwszy się do nas, mówiła dalej:

— Tam na stole jest ładny zbiór sztychów. Nieboszyk mąż mój bardzo się w tém lubował. Tam znajdziesz pan bardzo wiele ciekawych i cennych rzeczy. Jowita, która za podobną zabawą przepada, odniesie może jaką korzyść z tego, jeżeli te sztychy razem z panem oglądać będzie!....

A ja tymczasem przeczytałem cioci kilka listów, któremi ją ubawię. Jeden z nich jest od niepoprawnego mego kuzynka z Paryża, który na wszystkie moje listy był nieczuły, dopiero na ten telegram (tu pomilczała chwilę patrząc na Jowitę) raczył odpowiedzieć, że chorą stryjenkę odwiedzi!

Słowa te były mi trochę nie jasne. Spojrzałem po wyjaśnienie na Jowitę. Twarz Jowity była tak obojętną na te słowa, jakby ich nie słyszała. Jaśniejszy wyraz siadł na jej czole, gdy służący z lampą przyszedł i na okrągłym stole pomiędzy olbrzymie teki ją ustawiał.

Jowita podniosła się szybko z krzesła: poszedłem za jej przykładem.

Za chwilę siedzieliśmy oboje blisko siebie przy okrągłym stole nad rozłożoną teką sztychów angielskich.

Teraz błogosławiłem przypadkowi, który pozwolił mi być razem z Jowitą w tak małym towarzystwie. Widziałem nawet w przemijającej słabości marszałkowej jakieś dziwne zrządenie Opatrzności, które pozwoliło mi w ten sposób zbliżyć się do istoty, która z każdą chwilą stawała się coraz większą potrzebą mego życia...

Jakażby bowiem była różnica, gdyby w tej chwili liczne otaczało nas towarzystwo? Chociaż niezasłużenie ale nie mniej pewnie wielu górowałoby nademną. Tenby błyszczał pożyczanym dowcipem, ów sztuką krawiecką a trzeci tém, że przypadek pozwolił mu urodzić się możliwym i bogatym! Jakieżby miejsce było tam dla mnie? Możeby mnie Jowita znowu tylko pobieżnym wejrzeniem powitała jak przed tygodniem?....

Bądź co bądź, wszystko w tej chwili wytłumaczyłem sobie na moją korzyść. Wierzyłem głęboko, że samo niebo mnie proteguje, że sprowadza przypadki, aby dwie pokrewne dusze zbliżyły się ku sobie i wzajem się poznały!...

Mój Boże! do jakich rezultatów może dojść serce, które szczęścia pragnie!...

Po przejrzeniu kilku sztychów, przy których Jowita bardzo mało pytała, a ja jeszcze mniej odpowiadałem, rzekłem do niej:

— Nie wezmiesz mi pani za złe, jeżeli będę prosił o wyjaśnienie kilku słów wyrzeczonych do cioci....

— Oczekiwałam tego zapytania od pana — odparła. Przyznam się, że mi nawet przykro było, że się pan o wyjaśnienie tych słów nie dopomina. Należy to do charakterystyki naszej, że nie możemy póty mówić, póki nas kto nie zapyta. Jest to najnieznośniejsze niewolnictwo nasze!

— Nie, pani — odpowiedziałem żywo — to jest wyłączną cechą ludzi uprzywilejowanych.

Jowita spojrzała pełnem, błyszczącym okiem na mnie. Po chwili uśmiechnęła się i odparła:

— Imieniem moich towarzyszek dziękuję za komplement. Nie wiem coby królowa angielska powiedziała do tak liczego towarzystwa!.. Ale wracam do tych słów, które dla pana były nie zrozumiałe... Powiedziałam że miałam słusność. Gdyśmy pana z cicią w galeryi przy kopiowaniu Titiana obaczyły, mówiłyśmy idąc do domu o panu. Ja wtedy utrzymywałam, że pan jesteś artystą z powołania a nie amatorem, który w galeryi czasem dla efektu przycho-
dzących, obrazy mistrzów w ułamkach kopiuje.

— Zkąd pani to wnosiła? — zapytałem zadziwiony takim niespodziewanym zwrotem rozmowy.

— Zkąd wnosiłam? — powtórzyła zcicha spuszcza-
jąc oczy na sztychy — miałam do tego rozmaite powody.

Tu zatrzymała się chwilę. Jéj twarz była w téj chwili nadzwyczaj ożywioną. Przemykały po niej jasne smugi jakichś pięknych myśli, które dla mnie miały postać tajemniczą.....

— Najprzód — ozwała się — czytałam w jakimś dzienniku o wystawie obrazów, na której był także obraz pańskiej kompozycji; jeśli się nie mylę, przedstawiał on dzieci w ubogiej chacie, płaczące nad zwłokami matki!

Zadziwiły mnie i rozkosznie poruszyły serce moje te słowa Jowity. Był to drobny szkic, rzucony na płótno w przystępie jednego z tych cierpkich momentów życia, których tak często doznaję: są to niejako cierpkie owoce mego osamotnienia na szerokim świecie....

— Jeżeli z tego utworu po raz pierwszy pani mnie poznałaś—odpowiedziałem—to poznałaś mnie pani odrazu z najprawdziwszej mojej strony, to jest co do kierunku myśli i uczuć moich! Nie wiem dlaczego, ale w wyobraźni mojej tworzą się same obrazy najwyższej boleści!

— Bardzo słusznie—pochwyciła prędko Jowita—bardzo słusznie, bo w najwyższej boleści najpotężniej objawia się moc i piękność duszy naszej!

Zdumiałem na te słowa. Patrzałem na nią szeroko otwartymi oczami, bo widziałem w tej chwili jasno całą duszę Jowity. Objawiła się w jasnym spojrzeniu, w ożywionych rysach twarzy i na tém pogodnym z dumą podniesionem czole. Była piękna, była wzniosła!...

Kilka chwil trwało milczenie między nami.

— Ani nawet nie przypuszczisz pani—rzekłem po chwili z uśmiechem—jak wielce temi słowy zbliżyłaś mnie pani do siebie!

— Ja sędzę, że myśmy się tylko spotkali w zdaniach naszych!—wyszeptała z cicha lekko zarumieniona.

Tutaj nastąpiła dłuższa pauza. Nie byłem w stanie w tej chwili nic mówić. Tysiące rzeczy cisnęły mi się do głowy. Czułem jakąś rozkosz z tego natłoku, ale oznaczyć tych myśli, marzeń i uczuć nie mogłem. Było to coś podobnego do gry kolorów w kalejdoskopie. Zachwycają oko, ale ostatecznie ani stałych kształtów, ani kolorów uchwycić nie można!

Jowita przewróciła szybko kilka kartek z teki i zaczęła się z wielką uwagą przypatrywać scenie, gdy Marya Stuart widzi się z Elżbietą. Wymieniliśmy o tém kilka zdań. Po małej pauzie ozwała się:

— Jeszcze winnam panu moją odpowiedź uzupełnić. Przed dwoma tygodniami, jeśli się nie mylę, widziałam pana przy murze brühlowskiej tarasy, patrzącego na zimowy krajobraz.

— Tak jest—odpowiedziałem szybko—przypominam sobie, nader piękne było oświetlenie Elby i mostu....

— To widać było, żeś pan był tym widokiem zachwycony!.... Patrząc na pana pomyślałam sobie, to jest zapewne artysta! Tylko artysta umie tak patrzeć.... i czuje piękność takiego widoku!

— Podziwiam oko pani i zazdroszczę go!.... Chciałbym, abym nieraz w życiu mógł tém okiem patrzeć!...

Jowita przewróciła tutaj machinalnie kilka sztychów i pomyślała chwilę.

— Pan mnie zapewne wtedy nie widziałeś!—rzekła z lekkim ożywieniem twarzy—zapewne, że nie, bo wielu było przechadzających się po tarasie.... Jak to niebezpiecznie jest oddawać się publicznie jakimś uczuciom, nie wiedząc, że ktoś z boku na nas patrzy—dodała z czarującym uśmiechem.

— Czy panią widziałem, pytasz pani?—ozwałem się po chwili namysłu—na to zostawiam odpowiedź samej pani, bo wiem, że mi w tym względzie krzywdy nie wyrządzisz!

Na te słowa spłoneża Jowita cała jak szkarłat. Szybko pochyliła twarz nad sztychami. Na tece trzymałem właśnie rękę. Twarz Jowity zbliżyła się teraz do méj ręki. Czułem jak biło z niej silne gorąco i dziwnym sposobem rozchodziło się po ręce mojej, szło coraz dalej, jak iskra elektryczna aż do serca! Serce uderzyło mi żywiej i uczułem rozkosz dotąd nieznaną....

W téj chwili wszedł służący z dużą tacą, na której były przybory do herbaty, i postawił ją przed marszałkową. Marszałkowa złożyła okulary, pozbierała listy, i zaprosiła nas do herbaty.

Składając teki ze sztychami, podczas gdy marszałkowa zajęta była swoją towarzyszką, rzekła Jowita:

— Utwory w ogóle sztuki miały dla mnie od dzieciństwa wielki urok. Nie wyobrazisz pan sobie jak zazdrościłam tym wszystkim, którzy są w stanie oddać w sposób plastyczny niejako, wszystkie poruszenia duszy i serca. Musi to być jakaś rozkosz nieopisana widząc jak przed naszym okiem rosną postacie, grupy i widoki, stworzone i wypieszczone w duszy naszej!... Powtarzam panu, że niczego tak nie zazdroszczę jak talentu pisarzowi i malarzowi. Jest to najmiłszy sposób spożytkowania czynności duszy!... A cóż pan w takim razie sądzisz o nas, których dusza jest zazwyczaj dosyć czynna?... Oto haftujemy po powietrzu w marzeniach naszych najcudniejsze obrazy, sceny i widoki, tworzymy postacie godne bogów lub najpierwszych po nich bohaterów... i wszystko to marnie przepada! Jeden dzień, może drugi, a nikt tych prac duszy naszej nie widzi!

— Wszak panie możecie tak samo władać piórem, i ołówkiem....

— Nie, panie! Kobieta więcej nie wymyśli co mężczyzna; a co do ołówka? Próbowałam.... a może pan będzie kiedy ciekawy moje próby obaczyć?... U nas schodzą się zazwyczaj we wtorki.

— Uczynię to jak najprędzej—odpowiedziałem i musiałem na tém słowie poprzestać, bo w téj chwili zaprosiła nas powtórnie pani marszałkowa do herbaty, która już nas czekała.

I cóż ty na to wszystko, mój drogi przyjacielu? Wiedzisz, pędzę rozwiniętym żaglem na pełnym morzu. Wzburzone fale unoszą mnie coraz dalej; gdzie zapłynę?— nie wiem! Czy zawitam do cichój przystani, czy o skały piersi rozbiję?

Już dzień szarzyć zaczyna! Lecz dzisiaj odpoczynku nie potrzebuje. Bywaj zdrów!

XXXVIII.

Marzec.

Dziś wtorek. Dziwi cię to zapewne, że piszę do ciebie przed wieczorem. Mam do tego dwa powody: najprzód strasznie długi dzień wydaje mi się dzisiaj, a potem chciałbym ci o drobnej rzeczy donieść, która mi jednak trochę humoru popsuka.

Ponieważ u ciotki Jowity jeszcze nie byłem, chciałem więc przed dzisiejszym wieczorem rzucić jój kartę wizytową. Udałem się w tym celu między pierwszą a drugą godziną do ich pomieszkania.

A byłem właśnie w jednym z tych nieocenionych momentów życia, które dla nas pracujących duchowo, są jedyną rozkoszą i nagrodą za wszelkie trudy i utrapienia. Są to momenta zadowolenia z siebie i z pracy naszej. Są one bardzo rzadkie, ale gdy nadejdą, starczą nam za wszelkie nasze prywatce. W tych momentach czujemy się w pełni naszego talentu, tworzymy najlepsze pomysły, a praca i wykonanie idzie nam łatwo jak zabawa!

Otóż od kilku dni pozdejmowałem ze strychu moje szkice i rozpatruję się w nich. Widzę teraz, czegom dawniej nie widział, i dziwię się, że dotąd byłem ślepy!

A wiesz kto mi tych świeżych oczu pożyczył? Wiesz, kto siły moje rozgrzał i do większego życia pobudził? Wiesz, kto mi nowém światłem oświetla wszystkie te sceny z czasów pierwszego wieku. chrześcijaństwa, które pierwój były tak mdłe i ponure?

Wszystko to zdziałała kobieta!

Gdy siłą wyobraźni jej postać przed siebie powołam, to czuję w sobie nowe życie; nowe, nieznane mi dotąd pomysły cisną mi się do głowy i nie mam nawet ani czasu ani środków, aby je wszystkie uchwycić i do płótna przytwierdzić!...

I chodzę po świecie uśmiechnięty i zadowolony jak bogacz, który w banku złożył miliony i spokojnie patrzy na gorączkę drobnych spekulantów, którzy kilku groszy tak łakną!...

W takim wytwornym humorze, z uśmiechem na ustach wszedłem w progi Jowity.

Zastałem drzwi w przedpokoju otwarte, chociaż był mróz dosyć spory.

Wstąpiłem na próg. W głębi pokoju obaczyłem młodego człowieka z wielką elegancją ubranego. Był do mnie plecyma obrócony. Cały ubiór jego i sposób noszenia go okazywały zamożność i pewną dystynkcyą, którą niektórzy wyższym stanom przypisują. Jest to po prostu tylko pewne obycie się z ubiorem, który codziennie się nosi i przy którym nie okazuje się uwagi, aby go nie sponiewierać. Kto na ubranie gorzko zapracował, ten najprzód nie ubiera się w każdy dzień wykwintnie, a jeśli się ubiera, to widać po jego ruchach, że ubrania szanuje.

Młody człowiek, którego z pleców widziałem zakrawał na wielkiego pana. Rzucił na stół grubą kartę wizytową z wyciśniętym na górze herbem, a tymczasem kazał sobie służącemu cygaro zapalić. Postać jego, ruchy i ton, jakim do służącego przemawiał, oznaczały niepospolitą pewność siebie. Przytem miał kapelusz na głowie najświeższej paryżkiej mody i szpicrutę w ręku.

— Gdy panie przyjdą, to oddasz kartę natychmiast! — wyrzekł wreszcie i obrócił się.

Poznałem pana Alireda.

Przyznam się, że sam widok tego człowieka, już mi odebrał połowę mego dobrego humoru; druga połowa miała wkrótce pójść za pierwszą.

— Ach! Jak się pan miewa—zawołał gniotąc cygaro, które się palić niby nie chciało.

— Dziękuję—odpowiedziałem wyjmując kartę z pugilaresu.

— Masz pan jakie wiadomości od Wacława?—pytał dalej zatrudniając ciągle ręce swoje cygarem.

— Wczoraj odebrałem list, ma się coraz lepiej!

— Cieszę się bardzo z tego!

— Czy panie są w domu—zwróciłem pytanie do służącego.

Służący zaprzeczył. Rzuciłem na stół kartę obok karty pana Alfreda.

— Czy pan przypadkiem nie uczysz rysunków panny Jowity?—zapytał przez zęby pan Alfred.

— Nie, panie. Byłem tylko z prostą wizytą!—odpowiedziałem trochę gniewnie.

— *Pandonner! Bon jour!*—odrzekł podając mi dwa palce—może się dzisiaj wieczorem tutaj obaczymy? *bon jour!*

— Zdaje się, że będę—odpowiedziałem żegnając go.

I poszliśmy każdy w inną drogę.

Nie wiem dlaczego, ale ta scena fatalnie mnie usposobiła. Straciłem zupełnie humor a w perspektywie staje mi przed oczy jakaś czarna melancholia. Zdaje mi się, że mi ubliżył, choć z drugiej strony, o ile znam świat do którego pan Alfred należy, on tego nie miał na myśli.

Widzę w tém tylko jakieś przypadkowe starcie się dwóch ludzi na odmiennych krańcach wyobrażeń stojących. Mimo to, humoru mego odzyskać nie mogę. Smucę się czegoś, chociaż bez wyraźnego powodu.

Może ciemno-szafirowe oczy Jowity rozpędzą ten smutek?...

XXXIX.

SIOSTRA DO SIOSTRY.

Marzec.

Śpieszę do ciebie z bardzo dobrą nowiną. Pan Alfred przyjechał i był już dzisiaj w południe u nas. Jowita wprawdzie nic jeszcze nie wie, ale zapewne z naszych rozmów z marszałkową coś pochwyciła a reszty się domyśliła. W ten sposób bowiem mogę tylko wytłumaczyć sobie jęć radość dzisiejszą.

Przyszedszy przed obiadem do domu zastałyśmy na stoliku kilka kart wizytowych. Jowita chwyciła je natychmiast i zaczęła czytać. Widać było po jęć twarzy, że czytała z pewną gorączką. Zarękawek rzuciła pod nogi, białę szal podeptała i poplamiła.

Wreszcie krzyknęła z radości, zrzuciła kapelusz pod nogi pannie służącej, a sama wbiegła do salonu w szalonych poskokach, jak jęć nigdy nie widziałam! Tam zaczęła śpiewać i biegać jak szalona!

Wyobraź sobie, na jednę z tych kart wizytowych, było nazwisko—Alfreda!

Zdaje się że nasza wygrana!

XL.

ALFRED DO EDMUNDA.

Drezno, marzec.

List twój, kochany Edmundzie przeniósł mnie na chwilę między was. Bulwary włoskie, *Maison d'or*, *Peters*, *Vachette*, *Eldorado*, *Alkazar*, *Teâtre de variété*, *Closerie de Lilas*, wszystko to przesunęło się powoli przed moje oczy z całym czarem tych barw jaskrawych, jakie tylko Paryż układać umie!

A w obec tego postaw grobową ciszę saskiej stolicy! O godzinie dziewiątej nie obaczysz już prawie nikogo na ulicy. Miejsca publiczne zamykają się o tej godzinie, Sasi naciągają szlafmyce i kładą się spać. Gdybyś chciał użyć więcej światła, nie możesz. Teatr jest strasznie poważny, bo familia królewska nie lubi frazesów krótko ubranych. Słowem, nudy, serdeczne nudy! A przecież nie zechcesz, abym ci opisywał familijne wieczorki naszej kolonii i familijne herbatki, na których młode panienki pod okiem matki uczą się trochę pozować, trochę próbują swego dowcipu i trochę przyuczają się lepszemu pronuncyacyi francuskiej, którą potem w swojej parafii na trzy mile w około wszystkich parafialnych kawalerów olśniewać będą, aby z nich wybrać sobie „najlepszą partyę.”

Otóżto stolica saska! I w niej mam żyć najmniej parę miesięcy! Rozpacz mnie bierze!

W liście twoim niezapomniałeś wspomnieć mi o *Mlle. Celistine*. Jest to najmiłszy dla mnie ustęp, chociaż biuletyn twój ma dosyć smutną minę.

Piszesz mi, że niezrównana Celestynka po dwókrrotném zapytaniu o mnie przeniosła się do *Caffè anglais* i tam codziennie popija sobie czekoladę *à la bavaraise*, pozwalając jakiemuś Anglikowi admirować swoje czarne oczy. Cóż robić! Powiadają uczeni, że Paryżanki wynaturzają się zupełnie i ubiorem i sposobem życia. A przecież *Mlle. Celistine* jest pod pewnym względem zupełnie w zgodzie z naturą. „*Natura vacuum horvet*”, a Celestynka obaczywszy próżnię w mojej kieszeni przestraszyła się i przeniosła do *Cafe anglais*. Ale mam na nią sposób. Zapewne uda mi się coś wyłudzić od stryjenki, a wtedy na twoje ręce pošlę jęj prezencik, na który jęj czarne oczka bengalskim ogniem się zaświecą! Nie myślę wcale z nią zrywać: powiedz jęj to,

Otóż przypomniawszy sobie te najpiękniejsze chwile życia chciałem na tém list zakończyć, a byłbyś się dziwił nie mało, że ci o moich, czy właściwie mojęj stryjenki projektach nie nie piszę.

Potém, co wyżej pisałem, nader smutno wyglądają te projekta. Kiedy o tém pomyślę, zaraz staje mi przed oczy jakieś jarzmo olbrzymie, daleko większe od tego, które ś. p. Jeremiasz nosił na szyi po ulicach Jerozolimy!

Cóż robić, każda rzecz musi się jakoś zakończyć, a ludzie wymyślili, że życie nasze wesołe, musi się kończyć—małżeństwem! Wprawdzie doprowadziliśmy do tego, że wyraz ten „małżeństwo” jest równoznaczący z „pieniędzmi”. Gdy mu tych ostatnich potrzeba, używamy pierwszego wyrazu. I tak dzisiaj wyrazy „miłość” i „posag” zaczynają się płać i często jedno na miejsce drugiego kładzie się. Wprawdzie poeci sprzeciwiają się tému, ale oni biedacy pod wodę chcą płynąć. Gdzie prąd czasu niesie, tam się opierać nie można! Mówią uczeni, że dawniej słowo „biały” znaczyło „wielki” a słowo „pozór” było to samo co dzisiaj „baczność.” Dla

czegożby „miłość” na „posag” przejść nie mogła?... Zdaje się, że już dawno przeszła, tylko są między nami świętoszki, którzy jeszcze rzeczy właściwem mianem nazwać nie chcą!...

A przyznasz, jak to uciążliwie jest grać rolę takiego świętoszka, wdychać i oczy spuszczać, dlaczego?... bo druga strona tego wymaga! A daję sto za jeden, że ta druga strona również tylko rolę podobną odgrywał..

Gdy się zbliżysz, to widzisz same etery, mgliste obłoki; słyszysz co chwila: serce, dusza, poświęcenie... a pod tém wszystkiem widzisz wzrok trzeźwy, który pyta, patrzy; kto da więcej?

Myśli te nastreczył mi wieczór wczorajszy. Byłem po raz pierwszy u pani*** która ma siostrzenicę przy sobie, pannę jak ją znawcy tutaj cenią wartą kilka kroć. Z ciotką tej panny jest marszałkowa w wielkiej przyjaźni, i jak mi sama to mówiła, w moim interesie.

Wczoraj więc miałem dobrą sposobność przypatrzeć się bliżej pannie Jowicie. Towarzystwo było dosyć liczne. Mogłem zaraz ocenić pannę jako przyszłą gospodynię domu. Przyznam się, że dosyć dobrze wywiązała się z tego zadania. Była dosyć przytomną, zachowała potrzebny w salonie spokój umysłu.

Z twarzy podobną jest do mulatki z Alkazaru, tylko rozumie się, nie umie przyrodzonych wdzięków swoich tak jak tamta spożytkować. Pozuje na kobietę naturalną, i nie źle jest jęj z tém.

Ale główka zato przewrócona! *Bas-bleu* najmniejszėj parafii polskiėj!

Mimo to ma swoje finesiki, czerpane z przeczytanych romansów.

Naprzykład: wie o tém bardzo dobrze, w jakim celu tutaj przyjechałem, bo niepodobna, aby ciotka konferując o tym interesie codziennie z marszałkową, nic jęj o tém nie powiedziała. Jednak, gdy wszedłem, przyjęła mnie tak obojętnie, jak każdego innego! W rozmowie nawet krótko mnie

zbywała i widocznie szukała czegoś innego i to z pewną ostentacją.

Ale poznałem odrazu, do czego zmierza ta rola wyuczona. Ma to być niejako inwitacja do romansu z przeszkodami! Ucieka po to, aby ją atakować! Odwraca się i twarz zasłania na to, aby na nią patrzeć! Praktyki te zeszyły już dzisiaj z salonu na bulwary...

Otóż odpłaciłem pięknem za nadobne. Rozmawiałem z nią jak najmniej, a za to ofiarą całego mego ataku padła jakaś Galicyanka, która tém się odznacza, że o Galicyi nic nie wie!

Tymczasem słyszałem jedném uchem Jowitę szmerzącą z jakimś muzykiem frazesami napuszonemi, a z pewnym malarzem z profesyi, „marnotrawnym” i odrodnym bratem naszego nieocenionego „Wacusia” spotrzebować wszystkie wyrazy encyklopedyi sztuki!

Jest w tém niejaka rozkosz, patrzeć jak dosyć ładna kobieta prawdziwe swoje zamiary maskuje!

Mimo tych wszystkich chwilowych alteracyj przyjemnych, smutno jest jednak patrzeć na osobę, której trzeba będzie zapisać większą część naszej wolności osobistej, za pewne wynagrodzenie! Głupi to zwyczaj, ale cóż robić! Poszli inni tą drogą i my nad nią nie będziemy długo medytować. Wprawdzie nie dobrą minę okazują nam ci, co przed nami poszli, ale cóż robić!

Idź do *Mr. Bernard* i powiedz mu, aby nie ważył się jakiego z moich wexli żyrować na czyją firmę z tutejszych lichwiarzy. Są oni nie ubłagani i sadzają zaraz do kozy. Powiedz mu, że się żenię z panną posaźną, a jeśli chce prędnąć przyjsć do pieniędzy, to może mi jaką pożyczką przyjsć w pomoc. *Mlle. Celestin* miałyby tym sposobem prędnąć projektowany prezent.

Żegnam was, tęskniąc za wami!

XLI.

SIOSTRA DO SIOSTRY.

Marzec.

Wieczór, o którym ci wspomniałam, odbył się nader świetnie! Jestem przekonaną, że między naszymi dzisiaj cały dzień mówią o tym wieczorze! Nie szczędziłam ani kosztów ani zachodu, aby Jowitę okazać po raz pierwszy panu Alfredowi w jak najkorzystniejszym świetle.

Najprzód pospraszalam bardzo wiele osób, aby przynajmniej było tłumnio. Oprócz zwykłego naszego towarzystwa miałam także kilku gości więcej przypadkowych, którzy jednak wybornie uzupełniali obraz wieczoru na większą stopę. Był muzyk, który z Paryża wraca i tutaj koncert dać zamierza. Po raz pierwszy w moim salonie prezentował się tutejszemu towarzystwu. Dla rozmaitości i to coś znaczy!... Za tę łaskę musiał kilka sztuk na fortepianie odegrać. Mianowicie modne teraz mazurki Chopina bardzo się podobały. Niejaki malarz, który w tutejszej galerii kopiuje, zabawiał nas także opowiadaniem o Rzymie i Florencyi.

Cóż więc chcesz więcej? Mam salon według najnowszej mody!

Jowita była ubrana cudownie! Mówię ci, ona z każdym dniem staje się piękniejszą!

Miała na sobie suknię jedwabną w białe i fijałkowe pasy. Gorsecik z fijołkowego *poult de soie* ubrany takimże

aksamitem i kryształowemi wisiorkami. Bluzka muślinowa z gipiurami wyglądała prześlicznie. Włosy miała uczesane *à la Negritine*.

Pan Alfred bardzo długo jęj się przypatrywał. Mówił z nią nie wiele, ale zato woził za nią nieustannie oczyma. Widziałam po jego twarzy, że mu się podobała.

Ale wyobraź sobie Jowitę! Jaki to rozumek i spryt kobiecy ma ta dziewczyna! Ktoby się był tego spodziewał! Uduje tak prostoduszną i prawdomówną, a wczoraj najlepszą miałam sposobność przekonać się o jęj talenciku. Wczoraj bowiem mogła już wyraźnie widzieć, że pan Alfred nie będzie nam tylko zwykłym, obojętnym gościem. A nawet przed wieczorem zdradziła się nadzwyczajną swoją radością. Gdym jęj powiedziała, że dzisiejszy wieczór przyniesie jęj prawdopodobnie wiele radości, odpowiedziała mi bez ogródki, że to czuje sama najlepiej i że tego bynajmniej przed nikim nie tai!

— Więc się cieszysz że go obaczysz?—zapytałam ją z nienacka.

— Tak jest, cieszę się, że z nim mówić będę—odpowiedziała bez wszelkiego namysłu.

Po takim wstępie ciekawem dla mnie było obserwowanie Jowity przez cały wieczór. Otóż widziałam, że w obec pana Alfreda rozwinęła całą taktykę sztuki kobiecój.

Najprzód przywitała go z wielką uprzejmością, w kilku sekundach roztoczyła przed nim dosyć znaczną część swoich skarbów, a potem podrażniła go nieco dosyć chłodną obojętnością. Całe jęj zachowanie się mówiło: ja zrobiłam swoje, powitałam cię; teraz cofam się, a jeżeli się tobie podobam, to chodź za mną!

Ale widać, że i pan Alfred jest mistrzem w dobrėj kampanii. Zrozumiał odrazu taktykę Jowity i stosownie do tego natychmiast uszykował się. Zaczął mówić z tym i owym, a nawet komuś tam emablował. Widziałam jednak, jak oko jego wykręcało się zawsze za Jowitą.

Słowem rzecz wybornie rozpoczęta, a reszta sama się złoży!

Podczas całego wieczoru podziwiałam przedewszystkiem Jowitę. Umieć ona w salonie doskonale się prezentować.

Wiele na tém zależy, aby kobieta w salonie nie była milczącą. Rozmowa ożywia twarz, wprowadza na nią różną grę światła i w ogóle sprowadza ruch w całą jej postać, co jest zawsze nader korzystném. Otóż chodzi o to, aby sobie stosowne towarzystwo do rozmowy wybrać, to jest takie, aby więcej mówić, niżeli słuchać. Nie należy jednak nie zdradzać podobnym wyborem swoich sympatyj; przeciwnie, wybiera się na to człowieka najobojętniejszego i uważa się go poprostu za manekina, aby przy nim w ruchach i gestach dobrze się wydać!

Tę wyrafinowaną sztukę, praktykowaną często przez Natalkę, pojęła Jowita. Tym razem wypadł los na biednego malarza a poczęści i muzyka, którym przez cały wieczór odetchnąć nie dała!

Voilà! Oto prawdziwa, sprytna kobieta! Nie lękam się o nią, ona wszystkiego dokaże!

Pan Alfred wyróżniał się pomiędzy wszystkimi mężczyznami! *C'est une beauté aristocratique*. Wysoki, przysuchy, z rysami ostromarkowanymi czyni wrażenia prawdziwego markiza albo duka. Wszystkie kobiety za nim patrzyły. Ze swobody ruchów jego widać, że nie ma dla niego salonu, w którymby nie był jak w domu.

Wprawdzie pani Melania mówi, że w Paryżu za wiele hulał i jakieś tam długi zostawił; ale mój Boże! młody człowiek powinien hulać, a trudno znowu o samych bogatych. Zresztą trzeba się jednem kontentować, albo ładnem nazwiskiem, albo szkatułą uwiązaną u szyi wołu-dorobkiewicza. Cóż po szkatule jeśli się nie ma legitymacyi w lepsze towarzystwo? Nazwisko Alfreda otworzy Jowicie wszystkie salony, a jakieś tam majątkowe ubytki zapełni posag Jowity.

Sądzę, że to zawsze będzie dla niej partya bardzo świetna!

XLII.

WACŁAW DO STEFANA.

Genewa, — marzec.

Dziękuję ci za przysłane pieniądze i za wiadomość, że kiedyś żył na świecie sławny malarz Titian, którego obraz przez ciebie skopiowany, przyniósł do mojej kieszeni kilkaset franków. Jest to zacny, nieoceniony człowiek ten Titian. Zapisałem sobie nazwisko jego do pugilaesu, aby mu zachować wdzięczną pamięć!

Mimo to jednak mam ci udzielić pewną radę praktyczną. Nie smaruj bez potrzeby wiele obrazów, a jeśli jest ci to już potrzebą tak jak mnie ruleta i nie bardzo artystycznie malowane karty, to nie dawaj ich na targ publiczny, a przynajmniej pod swoim nazwiskiem. Zawsze jest to robota na pieniądze, a taką robotą, wierząc mi, szkodziś mi w moich stosunkach.

Wiem że się z tem ze mną nie zgodzisz jak zawsze, ale przyjdzie czas, w którym sam poznasz to, ale wtedy będzie już zapóźno. Towarzystwo nasze wyższe nie lubi człowieka, który ręczną pracą na pieniądze zarabia. Wprawdzie piszecie sobie sami komplementa, że jesteście wyższymi nad poziom, obsypujecie się kadzidłem, stawiacie sobie panteony, ale to wszystko nie obowiązuje innych, aby was równą miarą mierzyli!

Za granicą jeszcze to półbiedy, ale nie u nas. W Paryżu talent znakomity może się równać z wysoko urodzonym

lub bankierem na téj podstawie, że kilkoma pracami może przyjść do znakomitego majątku. Malarz, poeta, dramaturg, śpiewak, kompozytor, koncercista, za kilka lat kupują wspaniałe wille, budują pałace, zakładają parki i jeżdżą najpyszniejszymi ekwipażami. Otóż to nadaje im w towarzystwie pozycyą i po tém tylko cenią go w szerszych kołach. U nas człowiek talentu, to mniej więcej żebrak, któremu czasem coś się wyświadcza, tytułem jałmużny!

Lepiej więc kręcić światem w inny sposób. Widzisz, że nic nie mam, że żyję z dnia na dzień własnym przemyśłem, a przecież nie zamieniałbym się z tobą na twoją pozycyą. Umiem oszukać ludzi pozorami, równam się z nimi w życiu i w wydatkach, a to dla nich już dosyć. Gdybym jednak wziął się do jakiejś pracy i zażądał od nich zapłaty, jużbym przepadł! A tak nikt nie pyta, jakie jest źródło moich dochodów.

Może to są wyobrażenia niestosowne i niesprawiedliwe, ale tak jest. Honoru twego nie splamią żadne długi, ani gry hazardowne, i za przepuszczenie majątku, ale każda praca odbierze ci rekomendacyą do ich towarzystwa: osobliwie kobiety trzymają się tego wyznania wiary.

Jeżeli zaś chcesz twój talent dobrze zużytkować, to ci dam drugą radę.

Gospodarz mój, fabrykant zegarów pejzażowych nie może jeszcze przyjść do siebie z podziwienia twojego talentu. Szkic, który mu darowałaś obudził w jego sferze wielkie zajęcie, a adwersarz jego, zegarmistrz „pod baranem” już dopytywał się o malarza tego widoku. Osobliwie unoszą się nad pożarem, którego na obrazie nie ma, a który każdy widzi gdzieś poza ramami!....

Od czasu twego wyjazdu Szwajcar jest smutny i często zamyślony. Jeszcze smutniejszą jest czarnooka „Mimili,” która od czasu twoich odwiedzin, karmi mnie najsmaczniejszymi, narodowymi potrawami, które, rozumie się własną ręką sporządza. Najmniej trzy razy na dzień mówi o tobie

i zawsze przy tém się rumieni. Ojciec wtedy wzdycha i macha ręką jakby odganiał od siebie natrętne marzenia! Czasami mawia do mnie wyraźnie:

— Ten człowiek nie wie co ma w palcach swoich! Gdyby chciał ze mną pracować razem.... nie, źle mówię, ja bym u niego pracował, jeżeli mu o to chodzi.... to byśmy na jarmarku w Bernie wszystkich zadziwili naszymi produktami!....

Żart na stronę, ale wartoby o tém pomyśleć. Szwajcar ma majątku przeszło trzykroć sto tysięcy franków. Mimili jest jedynaczką. Po ślubie mógłbyś staremu wyper-swadować, aby warsztat swój zaniechał, majątek zamienić na kapitał i potém swobodnie, bez troski o jutro życia używać. Szwajcarce zostawiłbyś departament kuchni i bielizny!

Pomyśl nad tém. Trzeba korzystać z zachwycenia Szwajcara, któremu talent twój spać nie daje!

Za kilka tygodni będę mógł wyjechać.

P. S. Rozumie się że wszystko aż do likwidacyi majątku zatrzymałoby się w sekrecie. Potém wjechawszy na krociach w towarzystwo, wymyślilibyśmy jaką genealogią świetniejszą córce zegarmistrza, a starego schowałibyśmy aż za dziesiąty zamek. Mimili umie się ładnie ubrać, osobliwie w święto, i ma dobrą pronuncyacyę francuzką. Więcej jéj nie trzeba!

XLIII.

SIOSTRA DO SIOSTRY,

Kwiecień.

Dziwisz się, że kilka tygodni nie pisałam do ciebie. Prawdę mówiąc, nie miałam przedmiotu do listu. Jakkolwiek każdy dzień przynosi coś nowego w zamysłach naszych, jest to jednak zawsze tylko mała cegiełka do pałacu, który dla Jowity wzniesić zamierzam. Każda ważniejsza sprawa postępuje zwolna, a wydanie Jowity świetnie za mąż jest dla nas wszystkich, a osobliwie dla twoich córek, bardzo ważną sprawą. Jeden taki pan Alfred jest więcej wart od wszystkich epuzerów razem, całej waszój parafii. On jeden może pociągnąć za sobą równych jemu urodzeniem i pozycją. Stworzenie świetniejszych stosunków dla jakiego domu jest często więcej od głównej wygranej na loteryi!

Ztąd poznasz moja siostro, z jaką uwagą i roztropnością muszę postępować, aby to wielkie dzieło do skutku doprowadzić. A praca moja jest tém większą, że z innych stron żadnej nie mam pomocy.

Wiesz dobrze jaką jest Jowita. Uroiła sobie najdziwniejsze mrzonki i teraz poza temi mrzonkami nic nie chce widzieć. Wprawdzie z każdym dniem rozpadają się te sztuczne tkanki osamotnionego jój umysłu, ale to postępuje dosyć wolno. Chcąc zaś przyspieszyć, to znaczy wszy-

stko popsuć. Dziwactwo jój szanować trzeba, jeżeli chcemy ją tam zawieść, gdzieśmy sobie ułożyły.

O panu Alfredzie nic dotąd jój nie mówiłam i nic jój powiedzieć nie mogę. Gdyby wiedziała, że ta rzecz jest między nami ułożona, gotowaby ztąd uciec lub pójść do klasztoru. Dziwne ma wyobrażenia o miłości. Najlepijś odmaluję ci to, jeśli ci powtórzę jedną rozmowę jój z Natalką w tym przedmiocie.

Jest tu niejaka panna Mania, dobra panienka, z dosyć ładnym posażkiem. Matka jój zaznajomiła się z panią S*** która ma w Galicyi krewnego, szukającego właśnie żony. Zaproponowała więc pani S*** sprowadzić tego jegomoście i jeżeli Bóg i Matka Boska Częstochowska pozwolą, skleić małżeństwo.

Natalka opowiedziała to Jowicie.

— Jakto!—zawołała w gniewie Jocia—i Mania na to przystała?

— Dłaczegoż nie miała przystać—odpowiedziała Natalka prostodusznie — nawet bardzo cieszy się z tego!

Jowita uderzyła się ręką w czoło, przebiegła szybko po pokoju i rzekła:

— Nie, albo siebie nie rozumiem, albo was wszystkich nie pojmuję. Jak można tak stać ustawicznie na targu! Więc faktor jaki robi między jedną a drugą stroną interesa!... Skarżymy się że nie mamy u mężczyzn tego szacunku, jaki mieć powinniśmy. Powiadamy, że mają nas za towar czy raczej za listy zastawne, z którychby kupony ucinąć mogli. Panowanie nasze w takim razie kończy się haniebnie, a my podobne jesteśmy do wystawionych sztuk towarów za oknem kupca z przypiętą kartką wartości!

— Zlituj się—zawołała Natalka przestraszona— o jakiejże ty miłości marzysz?

— Wyobrażenie moje o miłości jest nader proste—mówiła nieco spokojniej Jowita. Każda z nas ma pewne pretensye do szczęścia. Szczęście to wyobraża sobie stosownie do swego usposobienia. Jedna marzy o karecie i lo-

kajach galonowych, druga chciałaby z mężem choć raz w życiu być na herbacie u księżnej; trzecia marzy o karmieniu indyków i układa sobie program ucht dorocznych, o których mowionoby w całym sąsiedztwie; czwarta widzi całe szczęście w podróżach poza granicą, a są jeszcze i takie, które chciałyby z jakąś większą korzyścią żyć dla swego społeczeństwa. Otóż każda na drodze swego życia może spotkać to szczęście. Może wybrać z pomiędzy tych, których obaczy, tego, o którym serce i jej powie: oto ten! I pewnie się nie omyli!

Tutaj wstała z krzesła, podniosła głos swój i mówiła dalej:

— Gdyby mi kto powiedział: zaczekaj Jociu, ja ci tu kogoś przyprowadzę, którego możesz sobie wziąć za męża.... jużby z góry wydał na niego wyrok potępiający! — Nie przeczę, gdybym go kiedy bez tego uprzedzenia ujrzała, możeby odpowiednie na mnie sprawił wrażenie, ale zarekomendowany jako taki, straciłby u mnie wszelki urok!.... Serce jest największym despotą, nie pozwoli na to, aby od kogo innego a nie od niego samego wychodziła inicjatywa! Kobiety, które to przyjmują, nie idą za własnym sercem!...

Mam w podejrzeniu Jowitę, że nie mówiła tego bez celu. Być może, że przeczuwa coś z naszych zamiarów i przy tej sposobności objawiła swoje zdanie.

Na to jednak nie zważam wiele. Młode dziewczęta bardzo wiele marzą i mówią, o czém potem z kretesem zapominają. Każdy wiek ma swoje prawa. Ale jest to dla mnie wskazówką, aby z Jowitą jak najostróżniej się obchodzić. Całą sztuką jest nie prowadzić jej wprost do celu, ale tak rzeczy ułożyć, aby sama tam zaszła.

Przedewszystkiém chodzi mi o Alfreda, aby się nie zniechęcił. Otóż cała moja czynność skierowana jest w tę stronę. Byłoby wielkie nieszczęście, gdyby nas ta partya minęła. A głównie mówię to w twoim interesie. Nie łatwa to rzecz dzisiaj ulokować dobrze pięć córek. Podzielony między nie majątek nie da żadnej znaczniejszego posagu.

Trzeba więc ratować się przez koligacye. Przez Jowitę możnaby stworzyć wyborne sytuacye, z którychby wszystkie znaczną korzyść odnieść mogły. Dom marszałkowej, dom prezesa i pana Jaromira w Warszawie, to coś znaczy. W takich ramach mogą panny skutecznie debiutować i znaleźć niepoślednich mężów.

Widzisz sama jak wiele na Jowicie zależy, gdyby tylko rozum miała. Uważaj aby Salcia na podobną drogę nie poszła! Ale spodziewam się, że pan January z téj drogi ją nawróci!

Otóż o Alfreda chodzi mi przedewszystkiém. Wprawdzie potrzebuje on gwałtem posagu, bo jak wiesz, każdy młody człowiek u nas potrzebuje go, a Jowita jest pod tym względem dosyć dobrą dla niego ponętą. Aby jednak ta ponęta nie traciła przy dłuższém czekaniu dla niego uroku, staram się, co jest tylko w moich siłach.

Piérwszém usiłowaniem mojem jest wysunąć Jowitę na przód całego naszego tutejszego towarzystwa. Z powierzchowności podoba się wprawdzie wszystkim i gdzie przyjdzie wszędzie jest królową. Chodzi mi jednak jeszcze o to, aby i pod względem moralnym otoczyć ją świetniejszą atmosferą.

Do tych usiłowań moich składają się nawet same okoliczności. Jest tu między innymi muzyk znakomity, o którym nawet Kurjer w Warszawie pisał, i artysta, który studjuje tutejszą galeryę obrazów. Otóż tych dwóch przyciągnęłam do mego domu i tym sposobem stworzyłam u siebie salon wyższego zakroju. Muzyk chodzi prawie codziennie na obiady, a za to grywa po obiedzie z Jocią na cztery ręce. Im smaczniejszy był obiadek, czy raczej im głodniejszy przyszedł muzyk, tém mniej ma mieć talentu Jocia, jak to zaraz on demonstruje!... Malarz chodzi także i przegląda z uwagą rysunki Joci, która teraz znowu zaczęła rysować. Rozprawiają całemi godzinami o sztuce i o najrozmaitszych rzeczach. Malarz ma wiele wykształcenia i jest bardzo mi-

ły człowiek. Osobliwie gdy mówi, wpada w taki dziwny zapał, że obie z Jocią patrzymy na niego jak w tęczę.

Towarzystwo tych ludzi jest wielką korzyścią dla nas. Najprzód nazywają mój salon „akademią,” a potem ludzie ci za obiadek i herbatę, roznoszą po całym mieście naszą sławę, zamiłowanie Jowity do sztuk i t. d. A to zawsze nadaje prawie pewną aureolę. Gdy się zejdziemy na wieczorze, to zawsze mowa o tém, a inne panienki zazdroszczą nam, żeśmy umiały stanąć w pierwszym szeregu.

Przeto jest Jowita pierwszą w tutejszém towarzystwie, a cała młodzież tylko koło niej się grupuje.

Widoczném jest, że to utrzymuje pana Alfreda w powyższym zamiarze. Ale jako człowiek doświadczony nie uderza wprost, ale powoli studjuje Jowitę i stara się do niej zastosować.

Mówiła mi marszałkowa, że dręczy się trochę tém dziwactwem Jowity, ale powiada z drugiej strony, że to właśnie sprawia mu większą satysfakcyę, niżeli się spodziewał.

Otóż masz cały obraz moich prac na dzisiaj a planów na jutro!

XLIII.

EDMUND DO ALFREDA.

Paryż. — Kwiecień.

Przysłany prezent oddałem Mlle Coelestin i każe ci za to najuprzejmiej podziękować. Nazywa cię „le prince” i powiada, że przed wszystkimi Anglikami masz w jej sercu zawsze pierwszeństwo.

Ale przy téj sposobności czynię ci tę uwagę, że lepiej może byłoby te pieniądze, za które kupiłeś prezent dla Celestynki, oddać Mr Bernard, bo niegodziwy lichwiarz grozi mi kożą za tę podpisaną za ciebie sumkę. Dlatego radzę ci śpieszyć się z swoimi planami matrymonialnymi, jeżeli chcesz, abym według danego ci przyrzeczenia był twoim przyjacielem. Gdy muie Mr Bernard weźmie w swoje objęcia, nie będę mógł słowa dotrzymać. Śpiesz się więc, jeszcze raz śpiesz się! Żeniaczka dla nas, to tak jak kąpiel w październiku. Jeżeli odrazu do wody nie skoczysz, to dla zimna wyjdiesz z niej nie kąpiąc się wcale! *Courage mon ami!*

XLIV.

STEFAN DO NIEZNAJOMEGO.

Kwiecien.

Słowa twoje są zawsze dla mnie balsamem. Obawiasz się o mnie i dajesz mi to w sposób dosyć jasny do zrozumienia. Osobliwie milczenie moje długie zaniepokoiło cię

Otóż najprzód wytłumaczę ci się z mego milczenia. Milczałem, bo nie wiedziałem co i o czém pisać. Nie dlatego, jakoby mi brak było materyi, ale po prostu z téj przyczyny, że jój miałem za wiele.

Mój drogi przyjacielu! Daruj, ale wszystkiego nie umiem a nawet nie mogę ci opisać. Nie mogę iść za tą dziwną wibracją wszystkich strun mojej duszy, bo inaczej cały świat nie ogarnąłby tych ksiąg, któreby napisać potrzeba. A jeszcze może nie opisałbym ci wszystkiego, nie dałbym ci obrazu całej duszy mojej.

Nie wiem na czém w ostatnim moim liście stanąłem, bo od tego czasu zaszło wiele, bardzo wiele.

Z Jowitą jestem tak blisko jak brat z siostrą. Zaprawdę, pokrewieństwo duszy jest między nami tak wielkie, jakbyśmy byli bliźniętami!

Nie możesz sobie wyobrazić co to za wzniosły umysł! To nie jest owa kobieta, która wita cię wdzięcznym uśmiechem, odda ci kilka chwil swego życia, a za godzinę ledwo sobie ciebie przypomi!

Jowita czyni na mnie wrażenie anioła-stróża, którego Bóg zesłał skarżącemu się człowiekowi. Być może, że ten anioł stanie się dla niego niewidzialnym, jednak on wierzy, że jest przy nim, i idzie śmiało!

Z listu twego wnoszę, że chciałbyś dowiedzieć się coś o marzeniach moich, jakie do poznania Jowity nawiązałem. Na to odpowiedzieć ci nie umiem. Może być że ją kocham, ale nie kocham jęj dla jakichś widoków, ale kocham ją dla tego, że stała się potrzebą mego życia, że zapełniła w duszy mojej ową próżnię, którą trzymałem dla nieznanego mego ideału!

Dotąd próbowałem wymarzyć sobie taki ideał, do którego jakby do słońca mógłbym patrzeć w ciernistęj mojej wędrówce. Ale ideał rozwiewał mi się zawsze jak wszystko to, co wyszło z wyobraźni. Dzisiaj widzę ten ideał żyjący i upojony jestem jego adoracją!...

O tém co dalej będzie, nic nie myślę ani marzę. Mówią, że to jest prawdziwe szczęście, w którym człowiek traci wzrok na przyszłość i słuch na to, co go otacza. Otóż i ja nie mam ani wzroku ani słuchu!

Widzę tylko, że świat stał się wkoło mnie daleko jaśniejszym. Nie mogę minąć żebraka, aby mu nie dać jałmużny, nie mogę słuchać płaczu zagubionej dziewczyny, aby jęj nie wziąć za rękę i do rodziców odprowadzić.

Znajomi moi nawet eksploatują to dzisiejsze moje usposobienie. Pożyczają u mnie pieniądze, a ja nie jestem im w stanie odmówić! Nawet katarynkarz zrozumiał mnie i codziennie przychodzi pod moje okno i pewny jest, że to okno się otworzy i grosz srebrny spadnie dla niego!

A teraz mój drogi, pójdź i zajrzyj do mojej pracowni.

Całe ranki do godziny trzeciej pracuję przed sztalugą. Wszystkie szkice moje poschodziły ze strychu i przybierają nową postać. Nie chełpiąc się nie poznaję sam siebie. „Msza w katakumbach” już gotowa! Spodziewam się, że nie będzie przemilczaną na wystawie obrazów w Wiedniu, dokąd ją posłać zamierzam. Nie mówię więcj o niej, bo

mi nie wypada, tylko to powiadam: *finivi!* A do tego potrzeba było wiele, bardzo wiele! Gdzie się te wszystkie dawne przeszkody podziały, które mnie za każdym pociągiem pędzła napadały? nie wiem!

Wiem tylko, że nowe życie wlała we mnie ta szlachetna kobieta!

Gdy ją na chwilę obaczę, gdy się mnie dotknie tępem, szafirowym okiem, to zdaje mi się że mnie zelektryzowano najsilniejszą baterią. Wystarcza mi to na cały dzień. Czuję przyśpieszoną pulsację serca i żyję życiem podwójnym. Nic mi wtedy nie jest niepodobnego, a nawet zdaje mi się, że mogę być wielkim, podobnym do tych, którzy tu obok w „Zwingerze” mieszkają!

Chcesz wiedzieć jaką jest dla mnie Jowita?

Na to odpowiedzieć ci nie umiem. Boję się, abym nie napisał słowa, którego sam jeszcze nigdy nie wymówiłem! A gdybym napisał, możebym nie dobrze jej stosunek do mnie określił.

Ale nie chcę dalej zagłębiać się w metafizykę uczucia, bo to nic nam nie wyjaśni!

W drugim liście opiszę ci niektóre szczególiki.

XLV.

Drezno. — Kwiecień.

Niema u nas nic smutniejszego jak talent na emeryturze. W Niemczech każdy pracownik na tém polu jakoś się pomieści, w Paryżu za owoce prac swoich kupuje sobie na przedmieściu domek i ogródek, w którym sadi drzewka, jakby na małym zagonie ziemi chciał prowadzić dalej tę samą robotę, jaką za lat młodszych na polu ducha wykonywał, a u nas wolno mu umrzeć z głodu lub na barłogu szpitalnym!

Myśli te nasuwa mi zawsze biędny nasz muzyk, który tu jakoś między nami się żywi. W swoim czasie był on niejako znakomitością. Koncerty jego na wiolonczelli wprawiały nieraz w entuzjazm Warszawę, Lwów, Kraków i Poznań. Być może, że serca nasze zanadto życzliwie oceniały grę jego z początku, ale potém wkrótce jakoś wszyscy o nim zapomnieli! Po Warszawie dawał koncerty w Lublinie, Łodzi, Piotrkowie; po Lwowie grywał w Przemyślu, Rzeszowie, Jarosławiu. W końcu i tam już nie szło, poszedł więc zagranicę i czas niejaki grywał w orkiestrze. Teraz ogłuchł na jedno ucho i żyje tutaj między nami z resztki sławy, która mu po lepszych czasach została. Za szklankę herbaty grywa na fortepianie i cieszy się, że go jeszcze ludzie cierpią między sobą!

Przygarnęła go tutaj do siebie ciotka Jowity. Grywa z Jowitą, która wielkie ma dla niego współczucie.

Razu jednego mówiliśmy wiele o nim. Jowita siedziała długi czas zamyślona. Po chwili przesunęła ręką po czole i rzekła:

— Smutek wielki ogarnia mnie, gdy z pewnego punktu patrzę na społeczeństwo nasze! Nie kamieniuje ono, to jest nie zabija kamieniami swoich proroków, ale pozwala im z głodu umierać. Każdy prawie, pierwszorzędny talent odbywa u nas tragedya, jeżeli talent swój w całości oddał społeczeństwu, jeżeli nic z niego nie ujął na poboczny zarobek. Nie potrzebuję tutaj wymieniać nazwisk!

— Nie przeczę temu—odpowiedziałem—ale na pociechę naszą mogę sumiennie twierdzić, że każdy z nich szedł w drogę z całą świadomością tego, co go czekało!

— Tém jest większy!—zawołała Jowita a oczy jęj zabłysnęły dziwnym ogniem.

Patrzałem czas niejaki w tę piękną, wyższą myślą natchnioną twarz.

— Ale to wszystko nie uwalnia społeczeństwa od opieki nad tymi, którzy dla niego pracowali!—dodała po chwili.

— Ale z drugiejj strony — zauważyłem—największa krzywda wyrządzona przez społeczeństwo, nie uwalnia wyższego talentu od pracy na drodze obranejj...

Jowita zwróciła do mnie twarz rozjaśnioną, podała mi drobną rączkę i rzekła z uśmiechem:

— Jeżeli pan na obranejj drodze doznasz kiedy od swoich krzywdy i boleści, to imieniem społeczeństwa przepraszam pana za całą przyszłość!

Słowa te wymówione głosem, który zdradzał łzy pod powieką, tak mnie rozrzewniły, że zapomniał zwrócić jęj uwagę na to, że mówiłem o *wyższych* talentach, czego przecież do siebie stosować nie mogłem.

Innym razem, gdy było mniejsze zebranie u ciotki, zmuszoną była Jowita zabawiać całe towarzystwo. Był między innymi i pan Alfred, który przez cały czas starał

się o to, aby być zawsze przy słowie. Opowiadał więc bardzo wiele rzeczy, a osobliwie przygód, których sam miał być uczestnikiem. Nudziło to nas wielce, ale nie było rady, aby mu przerwać. Nie chciał nikogo do słowa przypuścić. W końcu rozśmiała się Jowita i rzekła:

— Wiesz pan co? Każ pan to wszystko w jakim piśmie wydrukować. Przygody takie i awantury tajemnicze przysparzają zazwyczaj pismom abonentów. Miałbyś pan kilka tysięcy czytelników, a tak nie masz pan ani jednego uważnego słuchacza!

— Prawda—odpowiedział z galanterią pan Alfred—ale moja w tém wino, żem tego najprzód nie przewidział! Celem każdego opowiadania jest, zaprowadzić słuchacza na miejsce przygód opowiadanych. Mówisz pani, że żaden nie udał się tam ze mną, żaden nie był w téj chwili w Paryżu ani nad Renem.... Nic dziwnego, bo pani tu jesteś!

Jowita ukłoniła się z lekka za wystosowany komplement i rzekła z lekką ironią na ustach:

— Właśnie mogę panu szczerze na to odpowiedzieć: że mnie tu w téj chwili nie było!... Byłam przy ulicy Pragskiej, w sypialnym pokoju pani marszałkowej! Biedna marszałkowa!

Na to wstał szybko pan Alfred a biorąc kapelusz do ręki ozwał się z ujmującym uśmiechem:

— Zawsze jesteś pani dobrą i niezrównaną, czy się uśmiechasz łaskawie, czy łajesz, czy dajesz wreszcie napomnienie siostrzeńcowi niebaczemu, że stryjenka jego jest chorą! Ale tym razem wszelka wino spada na panią! Z téj samój przyczyny, dla której moi słuchacze nie poszli ze mną nad Ren, nie poszedłem i ja na ulicę Pragską!

— Widzę niestety—odparła z uśmiechem—że dla pana staję się powodem do złego! Jest to znak, abyśmy siebie wzajem unikali! Lepiej szukać takich, dla których możemy być powodem do dobrego!

— *Pardonnez*, bez upomnienia pani byłbym zrobił jeszcze gorzej!—zareplikował niezdekoncertowany pan Alfred.

— A teraz—rozśmiała się Jowita—kiedyś się pan nawrócił, to niech pan odłoży jeszcze kapelusz i to wszystko za żart weźmie! Pani marszałkowa ma się wcale lepiej i nie trzeba jęć teraz budzić!

Pan Alfred został jeszcze chwilę ale rozmowa już jakoś nie szła w ład. Przypomnienie mu obowiązku względem chorągwej stryjki sprawiło jakieś nieznaczące rozstrojenie. Za chwilę wstaliśmy wszyscy, aby się pożegnać.

Ciotka Jowity żegnała się kolejną z wszystkimi. Korzystając z tego zbliżyła się Jowita do mnie i rzekła cichym głosem:

— Niech pan się zatrzyma, jeszcze nie jest późno. Nie chciałabym pod wrażeniem tych czezych przechwałek iść na spoczynek! Lubię przed snem rozmarzyć umysł czémś lepszym.... aby potem resztę dośnić!...

Tu zatrzymała na chwilę swoje ciemno-szafirowe oczy na moich źrenicach. Zapomniałem o odpowiedzi. Ona też na nią nie czekała, bo wzięła ją sobie wprost z mojej duszy.

Został także i muzyk.

Gdy wszyscy odeszli, wzięła ciotka jakieś pismo ilustrowane do ręki, a Jowita rzuciła się niedbale na sofkę w odległym rogu salonu. Głuchy na jedno ucho muzyk obawiał się w takim razie rozmowy, gdzieby i jemu coś powiedzieć wypadało, więc szybko usiadł przy fortepianie i zaczął nam coś improwizować.

Zrazu słuchaliśmy, czy raczej użyliśmy jego muzyki do naszych marzeń. Potem zostawiliśmy go samego.

Jowita siedziała na sofie głową o poduszki oparta. W oczach do góry wzniesionych odbijało się sześć światel z kandelabru. Zdawało mi się, że widzę niebo szafirowe z jasnymi gwiazdami.... Przysiadłem się do niej:

— Nie uwierzysz pan, jak mnie męczą ci ludzie z temi wiecznie powtarzającymi się frazesami. Szczęściem dla nich, że język francuzki wyrobił sobie tyle próżnych, gładkich, lecz nie znaczących frazesów, że można nimi, czyniąc stosowną formulację, odbyć cały wieczór!.... Rozmowa ta-

ka wydaje mi się podobną do wichrów w jesieni, które szumią po całych dniach zatrudniając ciągle nasze ucho. Ale gdy przestaną, nic nie wiemy, co nam powiedziały!... A cóż to dopiero za męka musi być, przeżyć całe życie i nic innego nie słyszeć?

— Życie ma tyle przecież innych rozrywek!—wtrąciłem z ironicznym uśmiechem.

— Czy pan myślisz o tych fraszkach, któremi zapychamy czechość naszych towarzysztw?

Jowita wymówiła te słowa z taką intonacją głosu, że żałował moich kilku słów żartobliwych.

— Nie mogłem wcale myśleć o podobnych fraszkach—odpowiedziałem—osobliwie gdy jestem przy pani. Jeżeli zaś co podobnego powiedziałem, niech to pani weźmie na karb mego roztargnienia!

Jowita obeszła mnie okiem z dziwnym uśmiechem, który jakiś smutek wyrażał, a potem rzekła:

— Mówmy o sztuce lub o czémś inném, wyższém od rzeczy ludzkich. Czasami jest dobrze zapomnieć o nas samych!

Gniewał mnie w téj chwili zagorzały meloman, który teraz właśnie dobierał jak najgłośniejszych akordów. Sądząc z lekkiego wzniesienia się bluzki przezroczystej, Jowita westchnęła przy tych słowach...

Serce uderzyło mi żywiej. Nie przerywałem jęj jednak tego dziwnego wzruszenia.

— Powiedz mi pan—ozwała się po chwili—czy może nam społeczeństwo dać większe skarby, jak dobrą książkę, dobry obraz, i znakomitą kompozycję? Ręczę panu, że żadne przykazania moralności nie wpoily we mnie więcej lepszych instynktów jak dobra książka, obraz i kompozycja! Po każdym z nich czułam się lepszą i zdolniejszą do dobrego, a miłując to wszystko, marzyłam nieraz o ludziach którzy tworzą te skarby!...

— Pani mówisz o książkach, obrazkach i kompozycjach—czém one właściwie być powinny?—zauważyłem.

Jowita myślała tutaj chwilę, a potem rzekła:

— Sztukę, literaturę i muzykę pojmuję tylko na ich wyżynach. Co jest niżej, to należy do rzemiosła, lub zabawki!... Są chwile wyjątkowe, w których sztuką ani literaturą bawić się nie można. Trzeba im dać głos owych apokaliptycznych aniołów, aby wstrząsały groby i wydobywały z nich słowa!...

— Przestraszasz mnie pani tak wysokiem pojęciem mego zawodu!

— Nie lękaj się pan — odpowiedziała z uśmiechem — może tylko używam słów tak strasznych!... Ale weźmy przykład jaki. Nie znam w oryginałach obrazów mistrzów francuzkich. Czytałam tylko wiele o nich, a z wielu mam kopię w sztychach. Patrząc jednak w te obrazy, widzimy w ich twórcach apostołów pewnego uczucia. Tak, sztukę pojęli oni jako apostołstwo!... Ich obrazy mówią do patrzących, napawają ich dumą lub grozą!...

Rozkoszowałem patrząc w téj chwili na Jowitę. Zdało mi się, że widziałem jasną aureolę wkoło jęj głowy...

Po niejakiem milczeniu, mówiła dalej z wzrokiem w górę podniesionym:

— Weźmy np. Delaroche'a. Szereg jego obrazów, to szereg książek, traktujących nader wymownie historią lub inne prawdy moralne! Czyjaż dusza np. nie zadrży dziwném uczuciem na widok jego „męczennicy”?... Czyjeż serce nie pozazdrości świętej téj świetlanej obrączki unoszącej się śród fal spienionych nad jęj głową, chociaż ta jasna obrączka tylko śmiercią zdobytą być może?... Przyznaję się panu, że w kopię tego obrazu wpatrywałam się przez całe długie nocne godziny, że spoczywała ona do rana pod moją poduszką, a rano patrzyłam znowu na nią z tém samém dziwném pragnieniem co wczoraj i wyrzucałam Bogu, że nie pozwolił mi urodzić się w tych wiekach!... Ta postać kobieca, rzucona z wysokiej skały na toń morza.... ta postać była mojem marzeniem!

Wzniosła znowu oczy do góry w sposób prawdziwie czarodziejski, który tylko u niej widziałem!

— A to wszystko zdziałał człowiek Delaroche! Obraz jego przemówił do mnie, i zrozumiałam głos jego! Jakto rozkosznie jest umieć tak przemawiać, wstrząsać ludźmi i panować nad ich sercami!....

— Smutek ogarnia mnie — odpowiedziałem — gdy słyszę takie słowa. Pani nakreśliłaś miejsce na wawrzyny dla artysty tak wysoko, że je tylko bardzo mała liczba najwybrańszych dostać może!

— Czy pan wątpisz o sobie? — zapytała z żywym gestem ręki — wątpić... wątpić... tylko kobiécie wolno!.... — dodała cichym szeptem.

Uderzył mnie tu dziwny zwrot mowy. Spojrzałem na nią zadziwiony. Uśmiechnęła się smutno i rzekła:

— Czy to wam tylko wolno jest zakładać sobie wyższe cele? Czyż kobiéta nie może sobie również wysokiego celu wytyczyć, dążyć do niego, a po drodze czasem ze znużenia... powątpiewać?

Patrzałem w oczy mówiącej, aby tam doczytać tego, czego w słowach nie było... w jéj oczach widziałem łzy! Szklily się jak dyamenty w sześciu światłach, które z dwóch kandelabrow posyłały im swoje promienie... Usta jej drgały jakby od bólu, a po jéj demonicznie pięknej twarzy przesuwwały się jasne błyski jak błędne ogniki!....

Wziąłem jéj rękę, aby na nią w odpowiedź tego com widział, złożyć pocałunek.... Wzdrygnęła się, jakby niespodzianie uczuła moje dotknięcie... Nie dopuściła abym rękę podniósł do ust moich, tylko ścisnąwszy mnie rzekła z łagodném wejrzeniem przez łzy:

— Dziękuję panu, żeś mnie obudził z bolesnego snu!

W téj chwili ukończył muzyk najdziksze swoje akordy i przerwał grę. Wstał od fortepianu, a biorąc kapelusz dał mi znak, że już późna godzina!...

XLVI.

SALOMEA DO JOWITY.

Horynin, —maj.

Trzy miesiące nie mam od ciebie ani słowa! Gdyby nie listy od cioci, nie wiedziałabym, że jeszcze żyjesz na świecie! Z listów tych jednak nic się dowiedzieć nie mogę, z téj prostéj przyczyny, że ich nie czytam. Mama chowa je starannie do biurka, a nam tylko tyle z nich powie, ile nam potrzeba, aby wiedzieć, żeś zdrowa i dobrze się bawisz. Więcej nic a nic nie wiem, a chociaż czasem zapytam się mamy, to na nic się nie przyda.

Nie sądź jednak, abym była tak niedomyślną i nie pojęła, co znaczyć może po tak częstéj i drobiazgowej nawet korespondencyi tak nagle i długie milczenie....

Wiem, żeś mnie kochać nie przestała, wiem, że w każdej przyjemnej chwili życia myślisz o mnie, wiem że nawet czasem przedsięweźmiesz sobie napisać do mnie list długi, bardzo długi.... ale na tém też i koniec!

Jakieś dziwne przeczucie mówi mi, że tak jest i że tak być musi! Nie doświadczałam tego na większą skalę i tylko domyślałam się, jak to w takim razie bywa. Zdaje mi się, że się nie łudzę.

Nie mam ci więc za złe drogą Jociu, tego milczenia. Najwięcej mogę ci go zazdrościć. Ubogi zazdrości zawsze bogatemu. A z drugiejj znowu strony trzeba być strasznie

bogatym, aby o biednych zupełnie zapomnieć!... W takim razie wspomnienie o nich razi, jak w jasnym świetle słonecznym razi nas każda ciemna chmurka!

Tak jest, jestem w tej chwili ubogą, bardzo ubogą....

Miałaś dobre przeczucie, żeś nie była rada, gdy ci wiele mówiła o panu Januarym. Widać, że serce kobiece nie zawsze odgadnie, co znaczą słowa, które im ucho doniesie....

Widziałaś sama moje postępowanie. Nigdy nie wydałam się za więcej, czém jestem. Nie pozowałam nigdy na kobietę wielkich pretensyj, zakres moich marzeń był tylko tak wielki, jak daleko skromną czynnością moją osiągnąć mogłam! Rodzice moi nie poszli drogą praktykowaną przez innych. Nie robili wystawy zapowiadającej więcej nad to, co jest w samym sklepie. Każdy wiedział o naszym stanie majątku, każdemu opowiadał ojciec o długach, dzisiaj nieodstępnych od każdego mienia.

January mógł więc najprzód wiedzieć kto jestem, i co mu w dom przynieść mogę. Zdaje mi się nawet, że wiedział, i że na to zgadzał się. Słowa jego nie były nigdy dwuznaczne, zachowanie okazywało jasno, do czego zmierzał!

A teraz posłuchaj droga Jociu. Przed dwoma tygodniami był u nas January. Mówił mi wiele o ostatecznym uporządkowaniu domu swego. Opowiadał co w nim dla mnie przekształcił, i w czém poszedł za moim gustem. W końcu zapytał mnie do jakiego koloru mam największą sympatyę. Z kamieniem takiego koloru chciał kupić pierścionek na zaręczyny. Powiedziałam że lubię kolor niebieski, bo ten kolor oznacza przyjaźń stałą i niezachwianą. January ucałował mi rękę, powiedział że o tym kolorze sam myślał i serdecznie się pożegnał.

Na drugi dzień mieliśmy w sąsiedztwie smutny wypadek. Brat panny Sabiny polował z chartami, spadł z konia i zabił się. Całe sąsiedztwo żałowało go i zjechało się na pogrzeb.

January pojechał także. Przy trumnie nieboszczyka przysłała mu do głowy myśl nader praktyczna. Obliczył, że po śmierci brata, Sabina weźmie kiedyś cały majątek. W przyrównaniu do mnie jest ona oczywiście świetną partją.

Zamilkły więc naraz na widok tego rachunku wszystkie wspomnienia serca, wszystkie zaciągnięte i zapisane tam długie zmazały się za jednym pociągiem.... a kupiony dla mnie pierścień przeznaczony jest dzisiaj dla Sabiny!

Pojmiesz moją boleść, chociaż żalu żadnego nie czuję. Że człowiek taki odemnie się oddalił, nie sprawia mi to żalu po nim, przeciwnie powinno mnie to cieszyć, że tak wcześniej zrzucił maskę.

Ale jak smutno jest mieć takie doświadczenie, że kobieta o tyle ma wartości, o ile w dom męża przynosi pieniędzy!...

Droga Jociu, strach mnie bierze, gdy pomyślę o tobie! Jakież to dziwne wyścigi muszą się odbywać około twego posagu? Ileżto gorących afektów, ileż spojrzeń namiętnych spali się w celu ujęcia tego złotego runa!.... A nawet daruj mi, w czarnych godzinach mego smutku wyrывa mi się z ust wykrzyk: jaka ona nieszczęśliwa!

Przecucie jednak moje i milczenie twoje tak długie przekonywa mnie, że ci nie grozi żadne takie niebezpieczeństwo! Widzę że serce twoje ukochało całą potęgę swoją, jeśli dla mnie zamilkło. Widzę, że dni i tygodnie nie mają dla ciebie dosyć godzin, aby choć kilka z nich chwil poświęcić biednej, opuszczonej przyjaciółce! A nawet pamięć twoja zbladła przy rozkosznych obrazach, które cię otaczają a zapisane na niej imię moje stało się nie czytelne!

Nie mówię tego z boleści, nie czynię ci żadnych wyrzutów. Przeciwnie, chcę tylko prosto przyjść do tego twierdzenia, że kochasz, że kochasz całą duszą!...

A jeśli tak jest w istocie, to wierzę że kochasz to, co jest twoich uczuć warte. Po listach twoich, które codziennie odczytuję, nie mogłabyś zająć w inną drogę od téj, którą sobie zakreśliłaś!

A więc przyjmij moje życzenie, obyś była szczęśliwszą odemnie! Jeżeliś znalazła rzeczywiście serce piękne i szlachetne, to trzymaj je dobrze, abyś wraz z niem szczęścia swego nie zatraciła! Szczęście nasze zbyt rzadko zjawia się przed nami, a za to, jeśli czuć złoto, staje przed nami cały legion czarnych duchów, którzy dla złudzenia przybierają na siebie postać aniołów światłości!...

Mama nasza, po doznanym moim zawodzie jest mocno cierpiącą. Do tego ludzie źli nie dają nam pokoju i pod maską przyjaźni napadają dom nasz, pytając się czy to prawda? Ich politowanie w słowach a szydercze uśmiechy na ustach są stokroć boleśniejsze nad samą boleść zawodu!...

Choćby dla rozweselenia duszy mojej napisz mi kilka słów, słów obojętnych, a ja z nich będę się starała odczytać szczęście twoje!... Wszak wiesz, jak łatwo jest kobiecie odgadnąć szczęście drugiej kobiety! Przypominasz sobie, jak zawsze trafnie umiałaś na mnie patrzeć, gdym ci nawet z udaną obojętnością mówiła o Januarym?...

Niestety! Dziś to wszystko należy do przeszłości!...

Pamiętaj abyś nie miała żadnej przeszłości, za którą wykreślałyby się oczy twoje!

Z taką przeszłością nie znalazłabyś już nigdzie szczęścia!....

XLVII.

JOWITA DO SALOMEI.

Maj.

Nieszczęście twoje dotknęło mnie boleśnie. Każdy zawód jest nieszczęściem, chociażby tylko dlatego, że nam odbiera to, do czegośmy długiems marzeniem przywykły. Pojmuję twój smutek a nawet płakałam odczytawszy twój list, jak gdyby mnie samą jakie nieszczęście spotkało!

Biędną, strasznie biędną istotą jest kobieta. Marzenia nasze podobne są do owych tkanek pajęczych, które późną jesienią wiatr roznosi po świecie. Nie wiedzą one gdzie się uczepią. Jedne w wędrówce swojej zaledwie otrą się o krzak ciernisty, już je krzak pochwyci, obmota w około cierni swoich, i na zawsze przy sobie uwięzi!... Inne wzbijają się wyżej, a unikając cierni i głogów zaczepią się o wysmukły szczyt topoli, gdzie wystawione na wichry i burze rozpadną się na tysiączne części i marnie zaginą!... Ale często trafia się, że wesoły przechodzień czyniąc sobie zabawkę, potarga ich białe pasmo i czepiające się do niego cząstki od siebie zdmuchnie i odrzuci!...

Taki jest los marzeń naszych! Wysyłamy je w świat na los szczęścia nie wiedząc że do nas nigdy nie wrócą!...

Cieszę się tylko, że widzę u ciebie duszę silną, chociaż list twój tchnie wielkim bólem. Któż zresztą odgadnie drogi Opatrzności, jakimi nas prowadzi do wielkich celów swoich? Któż wie, jakie zadanie ma życie nasze? Często zdaje

nam się, że idziemy według własnej woli naszej, a my tymczasem jesteś tylko narzędziem w ręku Tego, który sprawami świata kieruje!...

Dlatego nie płacz droga Salciu i ufaj, że w życiu naszym nie ma bólesci bez celu, nie ma łez bez widoku nadciągającej pociechy! Może przyjdzie czas, że śmiać się będziemy z tych łez, które w tej chwili wylewamy!..

A teraz... teraz... cóż ci teraz więcej napiszę?

Chcesz, abym ci co o sobie napisała!

O droga Salciu! Twoje słowa budzą mnie.. budzą z jakiegoś snu rozkosznego, z którego ci sprawy zdać nie umiem!.. Po coś mnie tak wcześniej zapytała? Dlaczego gdy śniłam, budzisz mnie?...

Cóż ci powiem, cóż ci powiedzieć mogę? Wiem tylko że serce moje jest pełne, że pulsy moje biją tętnem przyspieszonym, że wielki los mego szczęścia wychylił się już z urny! Ale co mi przyniesie? Nie wiem, a nawet oczy zamykam, aby nie widzieć, bo się czegoś strasznie lękam!... Zbyt wielkiego szczęścia równie obawia się człowiek jak nieszczęścia, a w pośrodku stanąć nie umiem!

Milczenie moje odgadłaś, ale odemnie nic więcej się nie dowiesz! To, co dzisiaj mojem sercem wzrusza, należy jeszcze do mnie. Są w niem głębie, z których światu nic się nie udziela. To są jedyne tajemnice życia, które światło dzienne zabija. Jak fotograf musi niejaki czas w ciemności trzymać wizerunek, nim się z nim do światła odważy, tak samo i serce nie wyjawia tego, co weń dopiero weszło!

Przed nie dawnym czasem, zdawało mi się, że przed tobą nie mogę mieć żadnej tajemnicy. Zdawało mi się, że nawet obowiązana jestem donieść ci o każdym drgnieniu mego serca, zapisać każde poruszenie duszy. Zaczęłam nawet w przeszłych listach moich stenografować ci moje myśli i marzenia, ale urwałam, gdy poznałam w sercu upragnionego gościa!...

Pozwól mi jeszcze zostać z nim dłużej sam na sam, bo mam straszne przecucie, że takich chwil nie wiele w życiu

naszém!... Pozwól mi, że razem z nim otoczę się grubą zasłoną, aby świat nas a my świata nie widzieli!.. Niech prześnię jeszcze przez tę słodką chwilę ułudy, że prócz nas dwojga nie ma nikogo na świecie, nie ma ludzi, nie ma świata!..

Uczułam połowę twego nieszczęścia, gdybyś ty mogła uczuć choć tysiączną cząstkę mego szczęścia!..

Może się gniewasz, że tak mało ci mówię? Droga Salciu, ja jemu także więcej nie powiedziałam!..

XLVIII.

EDMUND DO ALFREDA.

St. Pelagie.—Maj.

Z napisu miejsca, z którego ten list datuję, wszystkiego się domyślisz. Jestem więc za kratą i to jeszcze w samym początku najpiękniejszej wiosny! Jestem żywą ilustracją poematu Schillera!..

Nie wiem jak strawnego potrzeba na to żołądka, aby swobodnie jeść obiad w hotelu Saskim, chodzić na koncerta do Grosgartenu i wieczorki spędzać u panny Jowity, podczas gdy głupi jakiś tam przyjaciel za zaręczone długi w areszcie siedzi!

A jednak to o tobie powiedzieć mogę. Zaklinałeś się na wszystkich przodków twoich, że najdalej za dwa miesiące zwrócisz pieniądze; mówiłeś, że panna z posagiem już cię niecierpliwie wygląda, że ciocia panny środy i soboty pości na intencją, abyś jak najprędzej pannę zaprowadził do ołtarza, a to wszystko okazuje się teraz tylko czczą deklamacją! Wyobraź sobie moje okropne położenie. Nachodzą mnie nowe utrapienia, których pierwój nie znałem. Najszcześliwszy byłem w ciepłym pokoju, przy zielonym stoliku lub w towarzystwie z tobą i którą z Celestynek!.. A gdy do tego pienił się w kieliszku szampan, na talerzu leżał rak morski lub indyk z truflami, nie wiedziałem już nic o świecie a tém mniej o zielonych drzewach, które gdzieś tam rosną albo o śpiewających ptakach które po gałązkach skaczą!

A teraz, jakby na większe utrapienie moje, zmienia się moja natura. Przez kratę więzienną zaczynam wzdychać do wiosny i szukam oczyma choć jednego wróbla, aby nim się ucieszyć.

Z moim towarzyszem mówiłem już przez kilka godzin o wonném, wiejskiém powietrzu, o balsamicznym zapachu ziół i kwiatów polnych, o wschodzącém słońcu, którego jeszcze w życiu nie widziałem.... słowem staję się zupełnie nowym człowiekiem, zgadzającym się z przyrodzonymi prawami bożemi... a tu właśnie w samą chwilę odrodzenia mego sadzają mnie do kozy, gdzie nie mam ani wiosny, ani ptaków leśnych, ani łąk ani kwiatów; nie mówię już o wschodzącém słońcu!... A wszystko to tak mi teraz pachnie!

Jeżeli mnie nie wyrwiesz jak najprędzej z tego przekłętogo domu, w którym odrodzenia mego dokonać nie mogę, to cię przeklnę aż do ostatniego antenata twego, o którym są wieści, że również niewinnych ludzi za długi do kozy wsadzał!

XLIX.

ALFREDDO EDMUNDA.

Maj.

List twój przeraził mnie. Miałem od dawna podejrzenie że nie jesteś czystej, szlachetnej krwi jak na przykład mój „lord” który mi dwa znaczne premia wygrał.

Jak bowiem można tak gminne gusta objawić, jak jest gust do wiosny, do zielonych drzew i ptaszków na nich śpiewających? Czy to jest wpływ głodu i braku w kieszeni? Cóż ci dać może głupia wiosna, kwiatek polny albo rzecz tak niezdarna, jaką jest wschodzące słońce!...

Uważam to wszystko za przemijający fałszywy apetyt. To są owoce melancholii i pogłądliwego żywota za kratą żelazną. Z wolnością rozwieje się to wszystko!

Otóż widzisz, jakiego poświęcenia jestem zdolen dla ciebie, jeśli dla twój wolności moją własną wolność sprzedać zamierzam. Tak jest, noszę się z nią już od kilku miesięcy a jednak o przybicie targu tak trudno.

Gryzę pióro ze złości, gdy to piszę. Nie uwierzysz ile mi utrapienia sprawia ta głupia sprawa matrymonialna. Gdybyś był we mnie, pewnie szczęśliwszym czułbyś się za kratą, niżeli ja tutaj jestem zając obiadów w Saskim hotelu, chodząc po nudnych koncertach niemieckich i spędzając kwaśne wieczory obok panny, wyrokiem Opatrzności i marszałkowej przeznaczonej mi na przyszłą żonę...

Nic tak bowiem nie boli jak zawód i upokorzenie! Widziałeś mnie w niejednym położeniu życia, byłeś świad-

kiem nie jednych moich tryumfów! A tutaj nie tylko że zebrać muszę od panny choćby jednego łaskawego słówka, ale nawet muszę łykać dosyć gorzkie pigułki, które mi odmierzoną porcją co godzina zadaje!

A jednak cofnąć się niepodobna. Wiadomości od rodziny są tego rodzaju, że rzeczy dłużej zwlekać nie można. Jeżeli gmach okazały podpory potrzebuje, to trzeba prędko téj podpory i nie można się oglądać, z jakiego drzewa ona będzie. Chata wieśniaka dłużej może wytrzymać w nachyleniu się, niżeli pałac murowany!

Panna rozwija taktykę dziwnego nabożeństwa. Pozuje w sposób rozmaity, a ja muszę się do tego wszystkiego zastosowywać. Nakazano mi czekać, a zakazano mi dorywczego szturmu. Muszę więc jak cierpliwy patryarcha biblijny wysługiwać się, nie dając ani gestem do poznania do czego dążę. Dotąd jeszcze nie daleko zaszedłem, choć już kilka tomów encyklopedyi przeczytałem!

Wszystko to drażni mnie i gniewa i patrzę na pannę jakby na głównego mego wroga. Są chwile, w których życzyłbym jęj co najgorszego! Płacz jęj byłby dla mnie rozrywką, bolesne spazmy rozkoszą! Zaczynam ją nienawidzić!

Oto jest moja miłość! Oto są marzenia konkurenta!

Mam jeszcze inne udręczenia, ale o tych już zamilczę. Być może, że potrzeba mi będzie rozprawić się...

Widzisz, że po różach tutaj nie chodzę, nie zasypiam pod puchowem skrzydłem amora!

Ale cóż robić! Trzeba zgryść twarde orzech. Sądzę, że to już nie długo potrwa; bądź więc cierpliwy i nie wygadaj się przed nikim że ci tęskno za wiosną, za zielonemi drzewami i śpiewającemi ptaszkami!

Więzienie rodzi wielkich ludzi. Napoleon był także w więzieniu, nim zeszedł dla niego drugi Decembra!

L.

STEFAN DO NIEZNAJOMEGO.

Czerwiec.

Dzięki ci za trzeźwe słowo. Podobne zapytania czasem sam sobie zadaję, ale przyznam ci się, nigdy na nie nie odpowiadam. Unikam nawet pomyśleć nad tém. Nie miéj mi więc tego za złe, jeśli tobie także nie odpowiem.

Jestem podobny do człowieka, którego jakiś dziwny wypadek przeniósł nagle do zaczarowanego pałacu. Wszystko tam jest na jego skinienie, czego tylko dusza zapragnie. Służba odgaduje i wypełnia najskrytsze jego życzenia, zaczarowana królowna powiada mu uprzejmym uśmiechem że jest dla niéj gościem upragnionym. W szczęściu tém swoim niespodziewaném lęka się zapytać, co właśnie z nim się dzieje, bo zapytanie to mogłoby go może rozczarować i szczęścia jego pozbawić. Czeką więc w milczeniu dalszych rzeczy, dalszych wypadków, które może same mu odpowiedzą!..

Otóż i ja czekam w upojeniu mojem jakichś rzeczy dotąd mi nieznanych, czekam wydarzeń czy sposobności, które same z siebie będą zapytaniem i odpowiedzią!

Tymczasem korzystam z dziwnie podwojonego życia we mnie. Gdybyś zajrzał do mojej pracowni, powiedziałbyś, że *szczęście jest produkcyjne*. Ekonomiści mogliby ztąd wziąć asumpt do nowego twierdzenia, że tylko szczęśliwe społeczeństwa są produkcyjne!..

I myślę sobie nieraz, co się stanie, gdyby słońce, które dzisiaj mi przyświeca, kiedyś zająć miało!..

Gdyby nawet i tak się stać miało, z duszy mojej nie odbierze mi nikt tego talizmanu, który tymczasem wrósł we mnie i jak dyament nawet w ciemnościach świecić mi będzie!..

Rembrandt opowiada, że w pierwszych latach swojej młodości doznał wrażenia, które się stało pierwszą podwaliną do tego, co następnie w sztuce zdobył. W rodzinnych stronach jego była grotą, przez którą przepływał potok. Światło do tej groty wpadało przez górną szczelinę skały. Razu jednego z swymi towarzyszami wszedł na zabawę do tej groty. W chwili gdy jeden z towarzyszy zrzucawszy szaty swoje napół nago brodził w potoku, padł przez szczelinę skały na niego promień słoneczny, i na pochyłonej postaci jego rozbił się w najdziwniejsze atomy!..

Powiada Rembrandt, że takiego światła i takiego oświetlenia postaci ludzkiej nigdy w życiu nie widział! Łzy mu puściły się z radości, wyciągnął rękę aby to dziwne zjawisko schwycić i utwierdzić, a w tej chwili zmienił promień słoneczny swój kierunek, a zjawisko przepadło!

Rembrandt zatrzymał to zjawisko w duszy, a wrażenie jakiego przy każdym jego wspomnieniu doznawał, wydało następnie tyle arcydzieł!..

Nie bierz tego za wyraz pychy z mojej strony. Chcąc ująć kilkadziesiąt kroków, trzeba tak iść jakby mieli milę do przebycia!

Nie myśl także, aby ostateczną moją pociechą było podobne wspomnienie, jakie miał Rembrandt z tej czarownej groty. Uchowaj Boże! Tak daleko nie zaszedłem na drodze rezygnacyi. Czuję że dzisiejsze uczucie moje wrosło głęboko w duszę i że tylko z wielkim bólem dałoby się od niej oderwać, albo mogłoby ją zabić!..

Ale przejdźmy do jaśniejszych obrazów!

Cała, rozkoszna wiosna zawitała do naszego miasta. Nie znam żadnej stolicy, w którejby wiosna stała na pierwszym planie obrazu wielkomiejskiego, jak to widzieć się

daje w stolicy saskiej. Tysiące róż, bzy różnokolorowe, drzewa okryte kwieciami otaczają całe miasto szerokimi pasami zaczawszy od „Burgerwiese” a skończywszy na „Rosengarten” w ogrodzie królewskim!.. Prócz tego z poza każdego parkanu, z poza każdego niższego domku wyglądają konary zielonych drzew, wychylają się korony kwitnących krzaków. Brzegi Elby ubrane w precudne zielone ramy, przedstawiają nam widok jakiejś czarodziejskiej panoramy, która jakby z okrytego walca rozwija się w nieskończoność!..

Takie tło podnosi urok każdego, nawet prozaicznego życia, a cóż dopiero mówić o życiu utkaném z barw tak złotych, jakie tylko wytworzyć może wielkie szczęście!..

Otóż na tém tle przesuwam się często z Jowitą!..

Prawie co drugi dzień urządzamy wycieczki w okolice. Znasz urok tych okolic, nie będę się kusił je opisywać. Tyle ci tylko powiem, że urok ten zwiększa się w dwójnasób, gdy na nie patrzą ciemno szafirowe oczy Jowity!.. Zdaje mi się, że wtedy i ja temi oczyma patrzę i przez nie widzę....

Przed tygodniem ułożyliśmy wycieczkę wodą poniżej ogrodu publicznego, zwanego „Linkisches-bad”. Wybraliśmy na to dzień w którym księżyc był w pełni; późnym bowiem wieczorem mieliśmy płynąć napowrót.

Mam ci jeszcze najprzód powiedzieć, że siostrzeniec pani marszałkowej pan Alfred, którego u brata poznałem, od niejakiego czasu coś z pod oka patrzy na mnie. Ma on intencje starać się o rękę Jowity. Słyszałem, że posag panny byłby mu bardzo na rękę. Ale sam widok jego wystarcza, aby mu przepowiedzieć, coby mu odpowiedziała w takim razie Jowita.

Wyobraź sobie człowieka, w trzydziestu latach życia zupełnie już zużytego. Wszystko tam już poszło na szmaty. Nic tam nie ma całego, ani serca, ani duszy, ani sumienia! Poznałem go z kilku rozmów poufanych na skróś.

Przypomina on mi zawsze anegdotę o pewnym troskliwym ojcu, który syna chciał wychować na znakomitego dyplomata. Najprzód puścił go w jak najgorsze, najlichsze,

najniemoralniejsze towarzystwo. Zapytany o to, odpowiedział: Chcę aby mój syn zawczasu pozbył się tego wszystkiego, co mu w stosunkach z ludźmi zawadzać może. Powinien się pozbyć wszelkich uczuć, namiętności, osobistej ambicji a przede wszystkim wiary w lepszą stronę ludzi. W takim razie, nie pociągany niczem na boki, pójdzie prostą drogą do celu i zrobi karierę!...

Zdaje mi się że pan Alfred również tą drogą poszedł. Pozbył się wszystkiego jako balastu życia. Została mu tylko pewna ogłada salonowa, zimna krew, na wszystko, i dosyć w licznych doświadczeniach wyćwiczony umysł.

W dyplomacyi może zrobiłby karierę, ale w sprawie z taką kobietą jak Jowita, nie wróże mu szczęścia!

Otóż ten pan Alfred był także z nami. Towarzyszył stryjence swojej pani marszałkowej.

Wzięliśmy dość obszerny bacik, którym z wielką oględnością sterowało dwóch sasów.

Romantyczna podróż nasza odbyła się tam bez wszelkich przygód. Płynęliśmy z wolna, bo pod wodę, a rozmowa nasza była tak wielkimi pauzami przerywana, że częściej słyszeliśmy plusk wioseł padających do wody, niżeli słowa, które jakoś nadzwyczaj skąpo padały. Każdy z nas był czémś rozmarzony, a podróż wodna podniecała te marzenia swoją ciszą i tym ruchem jednostajnym, jaki nadawały naszemu okrętowi napierające fale rzeki.

Jowitę po raz pierwszy widziałem tak spokojną i nieruchomą jak posąg. Siedziała w głębi baciku oparta o poręcz ze wzrokiem przed siebie gdzieś w powietrzu utkwionym. Na wesołe i dowcipne przemówki towarzystwa nie zważała wcale. Ani jeden uśmiech nie przebiegł po jej pięknej, zadumanej twarzy.

Zbliżyłem się i przy nadarzającej się sposobności, zapytałem ją napół żartem o powód tego posągowego spokoju.

— Bawiłam się w tej chwili dziwnym obrazem — odpowiedziała. To spokojne pomykanie się czółna wydało mi się jak spokojne, żadnemi troskami, żadną walką niezmaćcane

życie. Siedzieć tak spokojnie i czekać gdzie nas fala zanie-
sie... A gdy nas jednostajność ta znudzi, sięgnąć wtedy
po fraszki i fraszkami bawić się...

Zdziwiło mnie to zdanie z ust Jowity. Sprzeciwiało
się ono całej jej naturze. Zapewne spostrzegła zadzi-
wienie moje, bo zaraz potem dodała z niejakim oży-
wieniem:

— Cieszę się, że pana zdanie moje zdziwiło. Każdy
inny byłby nie przeczył, przeciwnie na ten temat prowadziłby
dalej rozmowę... Nie, taki pokój zabiłby mnie. To życie
gąsiennicy, która o tyle się tylko po liściu posuwa, o ile
jej żeru potrzeba... Takie życie zabija nas wszystkich!..

— Zdaje mi się—odpowiedziałem—że, właśnie na tém
czołnie, oprócz dwóch pracujących sasów przedstawiamy
w tej chwili takich spokojnych konsumentów!

— Masz pan słuszość—dodała skwapliwie—dlatego
owi sasi po skończonej przejażdżce wrócą do domu bogatsi
o trzy talary, a my o tyleż ubożsi!

— Czy sądzi pani—zapytałem—że z nas nikt bogat-
szym z tej wycieczki nie wróci?

Jowita zatrzymała na chwilę swoje ciemno szafirowe
oczy na moich żrenicach i uśmiechnęła się boleśnie.

— Być może—odrzekła—a o ile jeden wróci bogatszy,
o tyle drugi będzie uboższy!

W tej chwili przez olbrzymie łuki mostu przedarło się
zachodzące słońce i oświeciło skrzywioną twarz p. Alfreda,
który z chmurą na czole patrzył na nas...

Promienie słońca zniżały się coraz więcej. Przed
nami zarysował się już brzeg, cel naszej przejażdżki.

Wysiedliśmy wszyscy. Służący rozłożył się pod las-
kiem z koszem wiktuałów, aby nas nieco posilić.

Zasiedliśmy wkoło na murawie, a rozmowa ożywiła się
teraz w dwójnasób. Zdaje się, że poczuwszy ziemię pod

nogami, każdy z nas był jakoś więcej panem siebie i swoich myśli.

Krążyły wesołe opowiadania, dowcipy tryskały jak wino szampańskie. Jakoś nikt nie poczuwał się do tego, aby się mógł stać „uboższym”, a wszystkich twarze były ożywione i rozpromienione.

Wesołość towarzystwa zwiększyła się jeszcze, gdy po posiłku duszy pojawił się posiłek ciała....

A ponieważ wszystko ma swój koniec, toż i zabawa nasza sielankowa nachyliła się ku końcowi. Mieliśmy już tylko przed sobą resztki posiłku cielesnego i duchownego, trzeba więc było pomyśleć o powrocie.

Tymczasem księżyc w pełni wytoczył się wspaniały z poza góry i dał hasło do pochodu.

Ruszyliśmy ku Elbie.

Sasi czekali już nas niecierpliwie. Mieli do czynienia z czołnem, bo wraz z księżycem nadszedł niegodziwy wiatr od wschodu i dosyć wysokie fale podnosił na wodzie.

Zaczęliśmy wsiadać.

Meżczyźni wsiedli do czołna najprzód, aby postępującym za nimi kobietom podawać ręce.

Brzeg był bardzo niewygodny do wsiadania. Do tego silne fale kołysały czołnem na wszystkie strony.

Szczęśliwie jednak wsiadły starsze kobiety. Zostały tylko Jowita i panna Natalia.

Jowita jak zawsze tak i teraz lekceważyła niebezpieczeństwo. Z uśmiechem na ustach, niepatrząc nawet pod stopy, ruszyła na przód z taką pewnością i wiarą, jak gdyby mogła suchą nogą przejść przez całą Elbę...

I stanęła jedną nóżką na krawędzi czołna...

Wtęj chwili silna fala uderzyła o czołno, które szybko odsuwać się zaczęło od brzegu... Wszyscy krzyknęliśmy z przerażenia... Rzeka w tém miejscu była bardzo głęboka.

Wszystkie ręce jakie tylko były, wyciągnęły się ku zawieszonéj między wodą a niebem Jowicie...

Nie byłem w téj chwili jéj najbliższym... inni uprzedzili mnie... osobiwie pan Alfred stał tuż koło niéj i rękę swoją trzymał tak blisko jéj ręki, że tylko ją ująć potrzebowała.

Nie miałem więc nadziei, abym mógł ją moją ręką dosięgnąć. Stałem więc smutny w ostatnim szeregu, tylko przestрах, że Jowicie grozi niebezpieczeństwo, nie pozwolił mi zazdrościć pierwszeństwa panu Alfredowi.

Nieśmiało więc i cały drżący z obawy wyciągnęłem więcéj machinalnie moją rękę...

Mimo tak groźnego niebezpieczeństwa stała Jowita kilka chwil spokojnie w tém zawieszeniu. Jéj ciemno szafirowe oczy błyszczały tylko jak dwie gwiazdy i gorzały dziwnym płomieniem...

Potoczyła temi oczyma po wszystkich, złożyła usta do smutnego uśmiechu i sięgając po moją rękę rzekła:

— Kto nie śmiało, lecz z taką trwogą o mnie daje mi rękę—ten daje najwięcéj!

Tu możesz daléj dosnuć sobie, com uczuł w téj chwili i o czém marzyłem przez całą drogę...

W tém podaniu ręki, w tym gorącym uścisku, było wiele, bardzo wiele.

Zaiste wracałem bogatszy, o wiele bogatszy!.. Czy wracał kto o tyle uboższy?...

Pocziwy księżyc rysował nam na szklistém tle wody najcudniejsze obrazy, ale nikt tych obrazów nie chwalił, nikt nie powiedział o nich ani słowa!...

LI.

Czerwiec.

Szczęście sypie na mnie najpiękniejsze kwiaty!..

Zapewnie z tutejszych dzienników dowiedziałaś się, że obraz mój „msza w katakumbach” sprawił na tutejszej wystawie nadzwyczaj silne wrażenie. Piszą więc bardzo wiele o mnie i rokują mi świetną przyszłość!

Ale w tej chwili nie wiele mnie to cieszy. Nie cieszy mnie nawet że jakiś anglik był już u mnie, chcąc za ten obraz dosyć dobrze zapłacić. Najprzód nie należy mi się cała zasługa. Większą część ustępuję memu aniołowi opiekuńczemu, który mnie nowém życiem owionął i tchnął we mnie nowe siły!... Potém radość moja z powodzenia artystowskiego jest obecnie przyćmioną drugą, daleko większą radością.

Z Jowitą zwiedziliśmy razem wystawę. Na wystawie bardzo długo stała przed moim obrazem.

Jest to niezawodnie najwyższą dla twórcy rozkoszą, widzieć kogoś, kto utwór jego do ostatniej linii doskonale pojął i zrozumiał. Wtedy zdaje nam się, że to nie jest obcy człowiek, ale brat nasz rodzony, brat naszej duszy, który zarazem z nami tworzył, razem myślał i marzył!..

Jowita w najdrobniejszych szczegółach pojęła odrazu mój obraz. Twarz jęj zagrała żywymi kolorami, oczy trysnęły ogniem, jaki nader rzadko w nich się pojawia...

Wzięła mnie za rękę, ścisnęła serdecznie i rzekła:

— Dziękuję panu!

W tych słowach było wszystko. Twarz jej dokończyła resztę. Malowała się na niej radość, jakby obaczyła to, co nie tylko jej nie rozczarowało, ale nawet jej oczekiwanie przewyższyło. To widać było wyraźnie, bo słowa grzeczne można sklecić i komuś powiedzieć, ale malującego się w głębi duszy wyrazu, nie można udać!

Wiele mówiliśmy o innych obrazach. Jowita jednak wracała zawsze do mego obrazu. Zawsze malowało się na jej twarzy, ile rozkoszy sprawia jej moja kompozycja.

— Tak pojmuję sztukę—rzekła patrząc po raz dziesiąty na obraz—postacie te mówią bardzo wiele do mnie. Na widok ich budzą się w sercu jakieś wyższe, nieznane dotąd uczucia. Któżby np. nie zazdrościł temu spokojowi tej garstki wiernych, która może za godzinę rzuconą będzie lwom i tygrysom na pożarcie? Ci ludzie już w tej chwili są święci! Oni już tą wiarą głęboką zasłużyli sobie na palmę wybranych, a następne ich męczeństwo to tylko mały dodatek do ich żywota, to sucho i krótko opowiedziany epilog!...

Przyznaj, drogi przyjacielu, czém dla mnie jest ta kobieta, która w ten sposób mnie pojmuje?...

LII.

Czerwiec.

Skwapliwie dzielam się z tobą dzisiejszą moją radością.

Od czasu gdyśmy na wystawie obrazów byli, widziałem Jowitę więcej niżeli zwykle zamyśloną. Zapytałem ją o powód i odebrałem następującą odpowiedź:

— Myślę nad tém — rzekła z uśmiechem — jak wygląda pracownia artysty, gdy tworzy takie piękne obrazy. Sądzę że cała kompozycja nie rodzi się w jego duszy taką, jaką ostatecznie na płótno przechodzi. Przybiera ona prawdopodobnie powoli kształty swoje, któremi później nas zachwycą. W ciągu pracy grupują się niezawodnie w sposób rozmaity te postacie, zbliżają się, oddalają stosownie do rozkazu mistrza, aż wreszcie powie im: stojcie!.... Otóż chciałabym kiedy obaczyć jakto niektóre kompozycje wyglądają w rzuconym szkicu, gdzie tylko sama myśl się stenografuje... jak wyglądają różne uboczne studia, które potem w całość obrazu wchodzi....

Słuchałem ją z wielką uwagą. W jej oczach jednak było coś, czego dawniej nie widziałem. Zawsze oczy jej nie mówiły więcej nad to, co mówiły słowa. Dzisiaj zaszła w tym stosunku jakaś zmiana. Coś się kryło w tych ciemnoszafirowych oczach, coś tam dziwném światłem drgało, a resztę zdradzał uśmiech napół żartobliwy.

Patrzała tak chwilę na mnie jakby czekała odpowiedzi. Ja wzajem patrzałem w te czarujące, dziwném światłem napełnione oczy, ale nic nie odpowiadałem.

— Pan mi nic na to nie odpowiadasz?—zapytała po chwili z żartobliwym uśmiechem.

— Czekałem, aż pani całą myśl swoją wypowiesz—rzekłem patrząc w jej oczy.

— Pana nie można oszukać!—dodała i zamilkła na chwilę spuściwszy oczy na arabski dywanu.

Po dłuższej pauzie milczenia, podczas której muzyk nasz nadworny kilka akordów zaczął splotać w jakąś fantazję, podjęła Jowita znowu rozmowę i zapytała:

— Czy pan bierzesz z rzeczywistości modele do swoich obrazów?...

Jej twarz miała wyraz takiej ciekawości, jakby do mojej odpowiedzi wielką wagę przywiązywała.

— Czy mnie pani chcesz posądzić o jaki plagiat?—ozwałem się z uśmiechem.

— O plagiat... nie!—ciągnęła z wolna napół żartobliwie—plagiatu nie chcę panu zarzucić, bo wszelkie możliwe doniesienie mogłoby być fałszywą denuncyacją!... Więc pozwolisz pan, że najdziemy dzisiaj z ciocią i Natalką pracownię pana, aby zejść artystę na tajemnicach tworzenia...

Jowita mówiła to z żartobliwym uśmiechem zwrócona napół do panny Natalii. Panna Natalia, która wszelkim śmielszym pomysłem Jowity zawsze przyklaskuje, chwyciła ją zaraz za słowo i pobiegła z tą propozycją do cioci. Muzyk uznał także ten projekt za genialny, a że właśnie mieliśmy udać się na przechadzkę, uradzono więc, że pierwój moją pracownię obejrzą.

Musiałem zgodzić się na ten zaszczyt nie mały i tyle tylko wyprosiłem sobie łaski, że pozwolono mi wyjść na kilkanaście minut naprzód, aby tymczasem moje szkice w należytym ustawić świetle.

Za pół godziny wprowadził muzyk z tryumfem całe towarzystwo do mojej skromnej pracowni.

Wiesz drogi przyjacielu, co to jest pracownia artysty u nas. Francuzcy artyści wyposażają swoje pracownie wszystkiem tém, co tylko sztuka i umiejętnie zastosowany luksus

zrobić może. Pyszne salony, kunsztowne urządzenie, szyby kryształowe, cenne, sławnych mistrzów obrazy. antyki w meblach i rzeźbach, zwierciadła, słowem królewska wystawa! W takim salonie i sztuka i ten co ją tworzy inaczej się wydają. U nas najznakomitsze nasze obrazy, których zagranica nam zazdrości, powstały w ciemnych izdebkach, bez żadnych pomocniczych środków, któremi rozporządza artysta paryzki!....

Nie zostawiono mi jednak wiele czasu do porównywania pracowni artystów naszych a zagranicznych. Z ożywioną twarzą, jak myśliwy na upatrzoną zwierzynę wpadła pierwsza Jowita i rzuciła okiem na szkice ..

Mówiła wiele i jak zawsze nadzwyczaj trafnie. Cieszyła się jak dziecko, któremu pozwolono rozebrać grający instrument i zajrzeć we wnętrze jego, co tam gra! Dotykała się płótna, brała do ręki pędzle i paletę. Studiowała pojedyncze pociągi pędzla i ołówka i siliła się odgadnąć, do czego to wszystko dąży. Słowem widziała sztukę w chwili gdy się rodzi i powoli do obrazu dorasta. Widziała tajemnice, które składają się na to, co potem sprawia silne wrażenie i admiracyą.

Przeglądając wszystko porządkiem przyszła wreszcie Jowita do blejtramu, który stał na podłodze obrócony malowidłem do ściany. Był to właśnie szkic do obrazu „Przed sądem Nerona.” Obróciłem go naumyślnie do ściany, bo na tym szkicu stojąca przed sędzią Rzymianka miała twarz Jowity z małą odmianą.

— Czy tego obrazu nie możesz nam pan okazać?—zapytała Jowita z figlarnym uśmiechem.

— Jeżeli go tak postawiłem —odparłem—to niech sam odpowie za siebie.

— Czy nie wiesz pan, że tym sposobem zaostrasz naszą ciekawość!—zawołała panna Natalia i szybko pobięła do obrazu.

Widząc się tak zaatakowanym, wolałem dobrowolnie broń złożyć. Odwróciłem obraz i postawiłem go w lepszym

świetle. W kilku słowach wytłumaczyłem myśl téj kompozycji.

Wszyscy prócz Jowity zaczęli mnie obsypywać grzecznemi słowy. Chwalili myśli wykonanie, pojedyncze figury i całkowite wrażenie. Kunsztownie oświetlonéj twarzy Jowity nikt nie poznał, jak mi się wydawało.

Jowita tylko nic nie mówiła. Z czołem zmarszczoném przypatrywała się kompozycji i przebiegała wszelkie jéj akcesorya. Zmieniała często punkt patrzenia, ale zmarszczki jakiegoś nieukontentowania nie schodziły z jéj czoła.

— Kiedy malowałeś pan tę twarz?—zapytała wskazując na twarz Rzymianki.

— Ta twarz—odpowiedziałem—jak pani widzisz, malowana jest w różnych dniach.

— Do czego dążyłeś pan w téj twarzy?

— Aby była podobną do ujrzanéj raz i odtąd w duszy dobrze zapamiętanéj!

Jowity oczy zaiskrzyły się dziwnym ogniem. Rozśmiała się i odparła:

— Widać, żeś ją pan ujrzał oświeconą światłem zimowém, na tle sinego kolorytu dni styczniowych!... Nie oddaje to właśnie dobrze powietrza włoskiego, które jest gorące i tworzy wielkie kontrasty światła i cienia. Rzymiankę musisz pan na nowo przemalować, trzeba w jéj twarz wlać to, co byś pan śród lata w jéj twarzy mógł widzieć.... Trzeba tę twarz pochwycić w jakiejś wyższej, wyjątkowej chwili życia.... tak patrzy każda kobieta z terasy na lodowatą Elbę....

— Będę więc niecierpliwie czekał—odpowiedziałem—aż model mój okaże mi się w téj wyższej, wyjątkowej chwili....

Za te słowa otrzymałem spojrzenie, jakiego nie zapomnę do ostatniej chwili życia!

To spojrzenie obowiązuje już mnie do pewnego kroku, o którym zapewne w najbliższym liście ci doniosę. Dalej tak pozostać nie mogę.

LIII.

SIOSTRA DO SIOSTRY.

Lipiec.

Niemam dość silnych wyrazów, aby oddać dzisiejsze moje zmartwienie. Nieszczęście, które trapiło Salcię, było dla mnie tak niespodziane, że musiałam wiadomość o niem odchorować. Zaprawdę, jakaś kara Boża ciąży nad naszą rodziną. January był tak pewnym, nieszczęście chce, że brat Sabiny zabija się w wigilią zaręczyn! Nie jestże to istna jakaś zemsta losu? Czyż nie mógł ten wartogłowy jeździec, jeżeli koniecznie chciał kark sobie skrócić, wybrać do tego inną porę? Czy właśnie na tém mu zależało, aby w ten dzień wyprawił całej okolicy tak silną emocję, jaka od czasu do czasu koniecznie spokojnym ludziom jest potrzebna?..

Stało się. Sabina może teraz w ten dzień odprawiać doroczne nabożeństwo dziękczynne, bo bez tego dnia nie miałyby Januarego za męża! Zaprawdę, dziwnie się to wszystko splotło, aby tylko naszej familii coś się oberwało!...

Smutek, wielki smutek kochana siostro, nachodzi serce moje, gdy wszystkie nasze familijne nieszczęścia przychodzą mi przed oczy! Zaledwie dwadzieścia lat minęło, a dom nasz zaczyna się mocno chylić ku upadkowi. Dawna nasza zamożność zniknęła i tylko jeszcze świecą się ostatki! A są-

siedzi nasi, którzy dawniej z taką estymą całą rodzinę otaczali, dzisiaj widząc, że nie zakładamy cukrowni, uchylają się od nas, a idą tam, gdzie są pełne szpichlerze, gdzie wódka stoi w kufach w lamusie, a parowe maszyny wyciskają cukier z buraków!... Co zaś za jedni są ci ludzie, z kąd przyszli, kto ich rodzi, jakie dygnitarstwa były w ich domu, o to teraz nikt się nie pyta!.. Nasze tradycje, zaszczytne wspomnienia, buławki i buzdługany na nic się nie przydadzą!...

Aż strach bierze pomyśleć o tém, jak nisko świat upadł, w jak nikczemném tarza się błocie!... Ludzie nowi, dorobkiewiczowie i spekulanci zajmują nasze miejsca, cisną się i wytrącają nas z domów naszych!

Mój Boże! Gdy sobie nad tém pomyślę, to zdaje mi się, że nadchodzi koniec świata, że Lucyfer założył pośród nas tron swój i rozpoczął owo panowanie, o którym tyle strasznych rzeczy pisze Jan Świąty w swojej Apokalipsie!

Jakiż dzisiaj nasze stanowisko? Oto mały Horynin, to cała nasza spuścizna! Na to jest ośm głów a między niemi pięć głów z długimi włosami, którym mężów trzeba szukać!...

Któż w dzisiejszych stosunkach zechce zapukać po pannę, chociażby była piękna jak Juno a mądra jak Minerva? Edukacja, która dawniej wiele znaczyła, dzisiaj jest tylko przeszkodą do pójścia za męża. Mężczyźni lękają się wygórowanego tonu, nabytych nauk, wiadomości języków i muzyki, mówiąc: że to wiele kosztuje! Lękają się ojcowskiego ekwipażu o czterech koniach i lokajów w żółtej liberyi, mówiąc: że to wiele kosztuje! Panna, która w takiem otoczeniu się okazuje, powinna, mówią mężczyźni, mieć taki posag, któryby na to wszystko wystarczył!... Głupcy, oni nie wiedzą, wiele to taka edukacja pieniędzy pochłonać może! Nie wiedzą, że dama ukształcona w wyższym tonie jest dzisiaj tak rzadkiem zjawiskiem i tak wielkim skarbem, żeby ją złotem ważyć powinni!...

I wyobraź sobie do tych wszystkich zmartwień naszych
przychodzi jeszcze cios ostateczny!...

Zadaje go nam Jowita!

Nie chcę ci jeszcze szerzej o tém pisać, bo sama nie
mogę się z tą myślą oswoić, aby to mogło być prawdą!

Jój nader excentryczne mrzonki wyszły na jaw przy
nader smutnym wypadku, o którym później ci napiszę.

Wypadek był okropny, ale okropniejsze to, co się z po-
wodu jego wykryło.

Wyobraź sobie, Jowita uroiła sobie zostać bohaterką
romansu! Chciała zawieść ostatnie nasze nadzieje!

Dzięki Bogu, że jest nieco czasu, działać przeciw temu!

LIV.

STEFAN DO NIEZNAJOMEGO.

Koniec sierpnia.

Drogi przyjacielu! Dwa listy twoje leżą przedemną, na które dotąd ci nie odpowiedziałem. Pojmuję twoją ciekawość, która płynie z przywiązania. Byłbym téj ciekawości dawno zadość uczynił, gdyby nie szkaradny przypadek który na sześć tygodni położył mnie do łóżka...

Pisałem ci w ostatnim liście, że gotuję się na ważny krok... Otóż krok uczyniłem, ale krok który mnie przywiązał do łóżka na długie sześć tygodni, a o którym dzisiaj nie wiem, czy był szczęśliwy dla mnie czy nie, pomimo, że mnie o mało życia nie pozbawił!

Dzisiaj po raz pierwszy dopiero mogę wziąć z wielką biedą pióro do ręki, chociaż z pokoju wcale jeszcze wychodzić nie mogę. I tak zakazał mi lekarz wszelkiej żywszej alteracyi. Powoli więc opiszę ci rzecz całą.

Bóg widzi, nie wiem od czego zacząć. Tyle myśli, tyle rzeczy ciśnie mi się naraz do głowy. A przecież dla ciebie muszę się trzymać porządku chronologicznego, bo inaczej nie zrozumiesz mnie.

Mówiłem ci już, że często robiliśmy wycieczki w okolice miasta. Obejrzawszy już wszystkie wdzięki saskiej sto-

licy, chcieliśmy się zapoznać z dalszemi okolicami, o których wiesz że słyną w Europie ze swoich nadzwyczajnych piękności.

Otóż zwiedziliśmy już kolejną różną punkta tej okolicy. Wreszcie zamierzaliśmy zwiedzić okolice Kenigsteinu, najznakomitszej fortecy saskiej, która w czasach wojennych kryje w swoich murach skarby królewskie. Jestto okolica dosyć dzika i ponuro-romantyczna.

Podróż naszą ułożyliśmy w ten sposób, aby nie odrazu zdążyć do celu. Podzieliliśmy tę drogę na różne stacje, wcale jednak nie odpowiednie owym urzędowym stacyom, wytkniętym z góry dla turystów. Chcieliśmy po prostu sami sobie szukać drogi do naszego celu. W ten sposób stała się podróż nasza więcej romantyczna i rozmaitemi przepełniona przygodami. Często bowiem straciliśmy kierunek, często potrzeba było się wracać, rekognoskować drogi i wioski, starać się o żywność i t. p. konieczne akcesorya życia. Było więc ciągle natężenie uwagi, była niepewność najbliższego zagięcia drogi, słowem była nader przyjemna, urozmaicona, romantyczna wycieczka.

Wszystkich naszych przygód nie będę ci opisywał, bo te nie wyświecają rzeczy do której dążę; dotknę tylko niektórych szczegółów, które są konieczne potrzebne.

Towarzystwo nasze składało się z trzynastu osób, liczby zawsze fatalnej. Aby tę liczbę zamaskować, a więcej dla miłego spokoju pani marszałkowej, namówiliśmy zaraz za miastem wracającego do domu górnika, aby razem z nami tę promenadę odbył. Górnik zgodził się chętnie, widząc nas wszystkich wesołych i w zapasy żywności i kordyałów dosyć dobrze zaopatrzonych. Wyszczególniał on się tém jeszcze, że oprócz podziemnego jakiegoś lochu za Tarendt'em w którym pracował, nic a nic swojej błogosławionej ojczyzny nie znał. Człowiek ten podziemny bawił nas wielce swoją naiwnością. Wiele, wcale nowych rzeczy opowiadaliśmy mu o jego ziemi.

W towarzystwie naszym byli prawie wszyscy nasi znajomi. Naturalnie był i pan Alfred, który od niejakiego czasu stara się ustawicznie być w pobliżu Jowity, chociaż ona mu nie okazuje bynajmniej wiele sympatii. Była i panna Natalia jak zawsze, wesoła, szczerbiotliwa i nadzwyczaj przyjacielska.

Otóż gdy kalwakata nasza długim parowem postępowała, a niektórzy piechotą za furgonami dążyli, zbliżyła się do mnie panna Natalia i zawiązała ze mną jakąś zwyczajną rozmowę. Powoli zaczęła nieco w tyle zostawać tak, żeśmy się odłączyli od naszego towarzystwa: wtedy zmieniła nagle przedmiot naszej rozmowy.

— Czy pan nie pomyślałeś — ozwała się — o fatalnej naszej liczbie?

— O jakiej liczbie? — zapytałem prawie bez myśli.

— Że nas jest trzynaście! — odparła krótko.

Rozśmieszył mnie ten przesąd. Przypomniałem sobie, że pani marszałkowa miała z sobą pieska, o którym nieraz mawiała, że go więcej ceni niżeli człowieka, bo jest i pocziwszy i mędrszy od lokaja Onufrego. Powiedziałem więc panie Natalii, że „*l'ami*” może według wyobrażeń pani marszałkowej tworzyć czternastą osobę, dodawszy jeszcze do niego górnika, o którym i tak powiedział pan Nereusz, że jakkolwiek mądrym może być pod ziemią, na ziemi jednak jest strasznie głupim!

— Pan obracasz w żart moje słowa — rzekła na to panna Natalia — a ja chciałam z panem na seryo mówić.

Słowa te i niezwykła powaga w jej rysach uderzyła mnie. Zwróciłem się do niej i z równą powagą odpowiedziałem:

— Jeżeli pani poza tą fatalną liczbą chcesz mi o czémś mówić, to słucham z jak największą uwagą!

— Daruj pan — odparła — ale ja nie mogę jakoś oderwać się od téj liczby!

— Dobrze — niechże więc i ta liczba będzie między nami!

— Pan z takiem lekceważeniem mówisz o téj liczbie, a przecież opowiada pani marszałkowa, że ś. p. jej mąż...

— Słyszałem już tę wyborną historią: opowiadała ją nam raz u jednego sama pani marszałkowa.

— Więc sam pan przyznaj, że jeśli się jest w takiem towarzystwie, gdzie ta liczba dominuje, to mimowoli czyni człowiek rachunek z swoim sumieniem...

— Czy pani stosujesz do mnie te słowa, jako do zatwardziałego grzesznika?

— Niekoniecznie... wyjąwszy jeśli się pan do czego poczuwasz.

— A cóż nam wreszcie ta „dominująca liczba” uczynić może, gdyby nawet ktoś miał co na sumieniu swoim?

— Ta liczba w każdym razie oznacza, że jeden jest za wiele!

— Cóż pani rozumie pod tém słowem „za wiele”?

— Różnie można rozumieć. Gdy naprzykład dwóch idzie przez wąską kładkę i w środku spotkają się. Oczywiście, że na tak wąską przestrzeń dwóch jest za wiele. Jeden z nich musi się cofnąć, albo w przepaść skoczyć.

Spojrzałem z uwagą w twarz panny Natalii, bo téj ciemnej nieco alluzji zacząłem się domyslać. Twarz jednak panny Natalii była tak obojętna i nic nie mówiąca, jak twarz najwytrawniejszego dyplomaty. Udałem również obojętność i rzekłem bez wszelkiego domysłu napozór:

— A więc dobrze, to niech jeden w przepaść skacze, jeżeli mu tam pilno!

— Czy innego sposobu na to pan nie wie? Czyż nie można, aby ci ludzie spotkawszy się na środku kładki podali sobie ręce i porozumieli się po przyjacielsku, który z nich ma większe prawo i większe prawdopodobieństwo przejścia na drugą stronę. A tak jedenby ustąpił drugiemu, i żaden nie potrzebowałby w przepaść skakać!

— Nie, pani, na tobym się nie zgodził nigdy. W takim razie nie ma kompromisu!.. Zresztą, jeśli jeden widział drugiego już na kładce, po cóż wchodził na nią?

— Nie zawsze ludzie rządzą się rozumem i roztropnością. Ale na środku kładki trzeba koniecznie zapukać do roztropności...

Przerwałem jęj z uśmiechem żartobliwym:

— Nie, pani! Na środku kładki do roztropności pukać za późno... A zresztą, gdyby ktoś nie chciał w przepaść skoczyć, to liczba „trzydzieści” straciłaby całą fatalność swoją!...

Nie wiedziałem, że właśnie w tęg chwili wymówiłem słowa, które za kilka godzin okropnie sprawdzić się miały!... Panna Natalia patrzała na mnie jak dyplomata, któremu misya nie powiodła się.

Rozmowę dalszą przzerwano nam.

Odbywaliśmy dalszą podróż naszą z różnemi drobnemi przygodami! Tu nastraszyliśmy stadko baranów, tam znowu barany nas przestraszyły. W jednej wsi uciekaliśmy od psów odważnych, w innej psy od nas uciekały. I tak z odmiennem szczęściem walczyliśmy z przeszkodami naszej romantycznej wędrówki.

Już sporo po południu dotarliśmy do jednego z owych olbrzymich kamieniołomów, z których powstają olbrzymie budow y stolicy saskiej. Kamieniołomy te są nadzwyczaj praktycznie urządzone. Najczęściej wybiera się na to spadzisty brzeg Elby. Olbrzymie bryły kamienia, oderwane sztuką i pracą od żeber brzeżnych rzeki, zsuwają się lekko po pochyłości aż na sam statek. Tym sposobem nader małym kosztem pracy i kapitału płyną te ogromne masy wodą do miasta i tam ustawiają się w pyszne gmachy!

Otóż w takim kamieniołomie rozbiliśmy nasz obóz. Ponieważ słońce dobrze już przypiekało, wybraliśmy na to miejsce pod kilkoma świerkami, które wydawały się jakby strącone z lasu nad nami górującego.

Nadzwyczaj romantycznie wyglądała nasza zielona oaza wśród szarego tła kamienistego pokładu. Jeden z tych świer-

ków wtłoczył po wilgoć korzenie swoje w rozpadlinę skały, a nie znalazłszy jej przebił w kierunku poziomym bryłę kamienia trzysążniową i tam na świat się wydobył. Spalone skwarem słońca sterczały z téj rozpadliny daleko korzenie jego i tworzyły poniżej samego pnia, jakby drugie ale bezlistne drzewo.

Konary te wisały nad głęboką przepaścią, z której prawdopodobnie kilkadziesiąt kamienic wyszło i uszykowało się na jedną z ulic stolicy.

Uradziliśmy przyrzadzić sobie herbatę; porzeba więc było ogień rozniecić. Rzuciliśmy się wszyscy za połowem i zbieraliśmy to suche gałęzie, to kawałki zostawionych tu drzazeg z jakiejś roboty ciesielskiej.

Kilka razy tentowały nas te suche, sterczące konary; ale każdy podszedłszy blisko, wracał się z pewną rezygnacją: w saméj rzeczy przepaść była zastraszająca.

Wreszcie przyrządzono herbatę, rozdano kubki i zakąszano czém było.

Po herbacie, przy cygarze rozpoczęła się nadzwyczaj ożywiona rozmowa.

Zaczęto między innemi mówić o kobietach w dawniejszych wiekach.

— Dziwna rzecz—mówił pan Nereusz—że serce kobiece miało zawsze coś tygrysiego. Weźmy na przykład czasy Rzymu. Kapłanki pielęgnujące wieczny ogień, symbol miłości, patrzyły z kamiennych ławek swoich w cyrku z najwyższém zadowoleniem na walkę ludzi z dzikimi zwierzętami! Ich białe rączki, wysunione z pod białej tuniki, przykładkiwały radośnie na widok krwi, z którą upływało życie zwyciężonego gladyatora!..

— Ależ to były poganki—zauważyła Natalia.

Jowita nic na to nie odpowiadała. Patrzała przed siebie zamyślona, jakby udziału w rozmowie brać nie chciała. Czasami tylko uśmiechnęła się, jakby do przyjemnych myśli swoich.

— Ja myślę—odparł pan Nereusz — że wieki nie zmieniły charakteru tego dziwnego serca. Tylko igrzyska cyrkowe zamieniono na igrzyska buduaru! Tam odbywają się walki, morderstwa... przy których jednak nie widać ani krwi ani miecza gladyatorskiego!...

— Mój Boże!—zawołała żywo panna Natalia—co też pan mówisz za okropności! Panie Alfredzie, niech pan nas broni!

Pan Alfred spojrzał na zamyśloną Jowitę, podkreślił z uśmiechem swój wąsik i rzekł:

— Zaiste, obrona tu nader trudna. I w wiekach chrześcijańskich powtarzają się podobne igrzyska. Czemże były owe turnieje rycerskie, na których godzono na śmierć lub życie pod okiem księżniczki o białem licu, aby z jej rąk otrzymać szarą błękitną, zdobiącą jej piękne łono?

Jowita ocknęła się z zamyślenia i podniosła na pana Alfreda szafirowe oczy swoje.

Pan Alfred spojrzał z pewnym, niezwykłym wyrazem w te oczy, ożywił twarz i rzekł:

-- Ale ja zazdroszczę tym wiekom i tym rycerzom: była przynajmniej sposobność działać na serca.

Czasami serce kobiecie potrzebuje jakiegoś gwałtownego wstrząśnienia, aby miłość w sobie poczuło.

Walka na śmierć lub życie pod okiem kobiety wstrząsa patrzących i wywołuje w sercu wzajemność! Żałuję bardzo tych czasów rycerskich, osobiście w tej chwili!

Jowita uśmiechnęła się na to jak dziecko, które nie wie o co rzecz idzie. Była dziwnie roztargnioną.

Podjęła rozmowę panna Natalia i z uśmiechem żartobliwym, wskazując na konary wiszące nad przepaścią niedaleko nas, rzekła zwrócona do pana Alfreda:

— Oto po tym konarze pnie się mały, polny kwiateczek; możesz pan pójść i urwać go dla Jowity!

Na te słowa wymówione żartem nikt z razu nie zważał; ale pan Alfred zerwał się szybko na nogi, pobiegł do kona-

rów, wiszących nad przepaścią i w jednym oka mgnieniu stał między niebem a istnieniem piekłem...

Pani marszałkowa zemdląła, ciocia Jowity przyłożyła chustkę do oczu aby nie patrzeć, Natalia krzyknęła przeraźliwie, a Jowita siedziała spokojna, blada jak posąg z marmuru...

Za chwilę grobowego milczenia... wrócił pan Alfred z kwiatkiem w ręku, z pewną pogardą życia na bladych ustach, z jaką zazwyczaj wraca się z śmiertelnego pojedynku.

— Brawo! — krzyknęli wszyscy mężczyźni, podczas gdy kobiety do zmysłów wracać zaczęły.

Twarz Jowity ożywiła się także, ale nie było na niej radości. Zmarszczyła czoło, jakby to co zaszło, sprawiło jej wielką nieprzyjemność. Twarz Natalii była rozjaśnioną.

Dziwnie w tej chwili pojąłem moją sytuację. Zdawało mi się, że mnie ktoś ubiegł i grozi wszystko mi odebrać. Nie namyślałem się wcale. Szał owładnął mnie.

— Na tym drugim konarze — zawołałem — tam dalej nad tą przepaścią jest także kwiatek!

I w mgnieniu oka zbiegłem do konarów...

Słyszałem tylko jakby przez sen jakiś jęk głuchy... posunąłem się po konarze ponad przepaść, poszedłem dalej od mego rywala... wtém zatrzeszczał konar... uchwyciłem się bryły kamienia... i z nią razem stoczyłem się w przepaść!..

Co dalej ze mną się stało, nie wiem. Gdym przyszedł do przytomności, leżałem obwiniony szalami, a nademną ujrzałem pochyloną twarz Jowity, której łzy gorące padały na moje skronie... Chustką swoją obwiązywała mi zdruzgotaną lewą rękę...

Chwili tej nigdy w życiu nie zapomnę!...

Oto był krok, którym cię w ostatnim liście straszylem. Był on zapytaniem i odpowiedzią!...

Reszta faktów jest mało znacząca. Przywieziono mnie do miasta, położono do łóżka, w którym sześć tygodni się wyleżałem. Poczciwy muzyk, na wyraźny rozkaz Jowity,

odwiedzał mnie trzy razy dziennie. Nawet pan Alfred, jako wspaniałomyślny adwersarz, był u mnie kilka razy.

Muzyk powiada mi, że w domu ciotki Jowity dzieją się jakieś dziwne rzeczy. Jowita ma często oczy zapłakane, a nawet przed muzykiem nie może się od łez wstrzymać. Ciotka wygląda o dziesięć lat starszą i widać, że z Jowitą jest na stopie wojennój.

Jeszcze inne rzeczy opowiada mi muzyk, które wskazują, że coś strasznego dzieje się w tym domu! Nie chcę ci wszystkiego tego powtarzać. Spodziewałam się, że za dwa tygodnie będę mógł wyjść, a wtedy sam obaczę, co się zrobiło, i co mi robić wypadnie!

Dotąd bądź cierpliwy!

LV.

MATKA SALOMEI DO JOWITY.

Horynin—sierpień.

Droga córko moja! Mam prawo tak cię nazwać, bo od lat kilkunastu byłam prawdziwą matką twoją. Spodziewam się, że tego prawa zaprzeczać mi nie będziesz.

Pisze mi ciotka twoja listy, które wszystkich nas mogą przywieść do najwyższej rozpacz.

Nie chcę jednak wierzyć, aby to wszystko było smutną, nieuniknioną prawdą. Kładę wiele na karb drażliwości, jaka panuje między wami. Gdyby nawet to wszystko prawdą było, nie mogę w nią uwierzyć. Niech ci to służy za miarę nieszczęścia, którebyśmy w téj prawdzie widzieć musieli!..

Wierzę przedewszystkiém w miłosierdzie Boga. Wierzę że On nie zsyła na nas takich nieszczęść, któreby nasze siły przewyższały. Jedno wielkie nieszczęście, zawód Salomei, już nas spotkało. Rzuciło mnie ono na łożo, z którego nie wiem, czy tak prędko wstanę. Czuję że siły moje z każdym dniem słabną. Drugie takie nieszczęście, które mi od ciebie zagraża, byłoby już nad siły moje i zabiłoby mnie!

Bóg miłosierny nie zsyła na raz tyle na biednego człowieka. Wierzę, że to drugie nieszczęście ominie nas.

Mimoto, pozwól kochana córko, że się szerzej rozpiszę o niektórych rzeczach, które poczęści są ci znane, a które przy wstępie w nowe życie, nie będą dla ciebie bez korzyści.

Lat temu dwadzieścia kilka, gdy ojciec twój wyjechał do Warszawy, aby się obejrzeć za dozogonną towarzyszką życia. Był to człowiek prawy i wysokich zdolności. Lubiony i kochany od wszystkich, a szczęście, w całym znaczeniu tego słowa prześladowało go. Być może, że właśnie dla tego nie cenił go, przechodził pomimo niego goniąc za jakimś swemi urojeniami.

Zbytek szczęścia psuje człowieka i odbiera mu zmysł, gdzie tego szczęścia szukać potrzeba. Daremnie starsi z rodziny reflektowali go, poddawali mu goniące za nim szczęście na rękach, ale on nic przyjąć nie chciał. Panna Hortensya, dzisiaj hrabina*** miała dla niego afekt niepowściągniiony, sama ofiarowała mu rękę i dwa najbogatsze klucze w naszej okolicy, ale to na próżno. Ojciec twój cierpiał na dziwne jakieś fantazyje i uganiał za nimi po szerokim świecie.

W Warszawie gdzieś na koncercie ujrzał matkę twoją po raz pierwszy. Była to kobieta nadzwyczajnej piękności. Matka jój, z rodu Włoszka, mieszkała w Warszawie z małego kapitaliku. Dziadek jój był, jeśli się nie mylę rzeźbiarzem, którego Stanisław August, do przyozdobienia pałaców swoich z Rzymu sprowadził.

Matka twoja była osoba wielkiej zacności, znakomitego wykształcenia, nieposzlakowanego charakteru, ale według wyobrażeń całej familii ze strony ojca, nie była stosowną dla niego partją.

Niech cię nie dotykają te słowa moje, droga córko, bo one nie wychodziły nigdy odemnie, jak tego dałam ci dowody przez całe dotychczasowe życie twoje; ale wychodziły one od familii, której przekazano pewne świetne tradycye, aby nad niemi czuwała na korzyść otaczającego ją społeczeństwa. Nazwiska, jakie i ty dzisiaj nosisz, były zawsze w dziejach naszych jakoby drogowskazy, zaznaczające przebieg historyi. Społeczeństwo nasze winne jest im cześć

zasłużoną. Czas i ludzie chcą nas wprowadzić dzisiaj z całym gminem porównać, ale do nas należy stawić opór i kojarzyć się równymi nam w tabor niezwalczony. Inaczéj odbiorą nam z ręki panowanie nad niższymi, które się nam z bożej łaski i zasługi przodków naszych słusznie należy!

Otóż według tych wyobrażeń sprzeciwiała się familia ojca twego jego zamysłom. Ojciec twój okazał wielką stałość charakteru, godną nazwiska, które nosił. Niemogąc zamiarów swoich spokojnie w kraju skutecznieć, wyjechał zagranicę i tam ożenił się z twoją matką.

Byli członkowie familii, którzy prawowitość tego małżeństwa podejrzewali. Nawet znalazł się ktoś, który po śmierci ojca twego zaprzeczył matce posiadania fortuny ojcowskiej; ja jednak z mężem moim, który jako opiekun wywiązał się zaszczytnie z obowiązku swego, stanęliśmy po twojej stronie, a cała rzecz zakończyła się korzystnie dla ciebie i dla pamięci zacnej matki twojej.

Krok twego ojca, jakkolwiek świadczył o szlachetném sercu, nie przyniósł mu jednak tego szczęścia, o jakiém marzył. Wprowadzić matka twoja była ideałem kobiety i żony. Kochała go do śmierci i po śmierci jego całą duszą, całą namiętnością południowego swego pochodzenia. On był dla niej bożyszczem, od którego nigdy oczu odwrócić nie mogła! Żyła biciem jego serca, patrzała na świat tylko jego oczyma!

Gdyby prócz kochających się dwojga serc nie było na świecie ludzi, nie było żadnego społeczeństwa, ani żadnych stosunków towarzyskich i potrzeb rzeczywistego życia: ojciec twój w związku z matką byłby najszcześliwszym człowiekiem na ziemi!

Ale zważ droga córko, że życie nasze nie da się zasklepić w jakiejś wymarzonej abstrakcyi. Musi się ono połączyć z potokiem społeczeństwa, z wyrobioną przez długie wieki tradycją form i wyobrażeń towarzyskich. Od téj wspólności nie może się żaden człowiek wyłamać, a naj-

mniej ten, kto do téj wspólności ma prawo niezaprzeczone, tradycyjne.

Otóż po dwuletniej podróży zagranicą zatęsknił ojciec twój do wspólnego życia między swymi.

Teraz dopiero zaczął mu ten krok jego zamiast dotychczasowych róż, przynosić same ciernie.

Człowiek rad sobie marzy ideały, ale z wymarzonym tym ideałem niech nie wchodzi między rzeczywiste stosunki życia i niech nie żąda od otaczającego go świata, aby tenże również wysoko cenił jego ideał!

Stosunki życia rzeczywistego są straszne i nieubłagane. Nic się tam nie sądzi według wewnętrznych pobudek które mogą być najszlachetniejsze, ale według ostatecznych rezultatów. Nic się tam nie mierzy miarą wyższych uczuć, tylko miarą uświęconych długami wiekami form i tradycyj.

Kto przeciw temu dążyć zapragnie, tego zdruzgoczą żelazne koła odwiecznej maszyny społeczeństwa.

Ojciec twój przyjechał do kraju i wszedł w stosunki towarzyskie.

Ludzie naszego towarzystwa należą do najbardziej ugrzeczionych. Umieją w stosunki z drugimi wlać słodycz niewyczerpaną i zaprawić ją całą wonnością wysokiego ukształcenia; ale z drugiej strony, żadna sfera towarzyska niema tyle środków do swego rozporządzenia, jeśli wypada komuś dokuczyć a nawet mu ubliżyć jak najgrzeczniej: pod tym względem sztuka tu stoi bardzo wysoko.

Ojca twego przyjęli znajomi i przyjaciele z otwartemi rękami; matka zaś natrafiała w każdym kroku na owe śpilki, któremi z nadzwyczajną grzecznością kluto ją w samo serce.

Ojciec kochał matkę, a od stosunków życia rzeczywistego oderwać się nie mógł. Powstał więc w nim pewien rozstrój, który go podzielił na dwóch ludzi. Jeden z nich żył w stosunkach towarzyskich, drugi zasklepiony w sobie wraz z swoim ideałem. Jeden nie zgadzał się z drugim, jeden stawał drugiemu w drodze. Rozpoczęła się walka

między tymi dwoma ludźmi, walka, która często matkę twoją wiele łąz kosztowała!...

Walka ta jednak ustawiczna musiała w końcu zniszczyć wszelkie siły duszy. Ojciec stawał się smutny i szukał czegoś w życiu, co by go upoiło, aby już nie rzeczywistych stosunków życia, ale błędnych coraz więcej barw swego ideału nie widział!

Taki rozstrój z zewnętrznym i z wewnętrznym światem zaprowadził go na dziwne drogi. Gonił excentryczności, chciał często śmiać się z samego siebie. Matka twoja widziała to i wiedziała, że ona jest tego powodem. Zalewała się łzami, a nawet, nie chciała gorącą miłością swoją drażnić i powiększać nieukontentowanie męża.

Ojciec twój umarł tknięty apopleksją.... a za rok poszła za nim szlachetna, kochająca go kobieta, której jedynym przewinieniem było, że nie była mu równą pozycją towarzyską!..

Widzisz dziecię moje, jak srogo i okrutnie mści się ten świat rzeczywisty, ten starzec zimny o kilkunastu wiekach, w którego kościstych, wyschłych rękach wędzną najpiękniejsze kwiaty naszej rozigranej wyobraźni!... W godzinach, gdy nami serce najgoręcej bije, on przychodzi błądy i od zimna drżący, i przykładą nam na pierś naszą swoją skostniałą, lodowatą rękę!...

Dziecię moje, ten starzec rządzi nami!

Z tym starcem trzeba się rachować!....

Przy każdym ważnym kroku życia trzeba o tém pamiętać, że on przyjdzie, ten zimny, lodowaty starzec, i położy nam zimną rękę na sercu naszym!....

Gdyś została sierotą, przyszedłś w dom nasz i znalazłaś we mnie matkę, a w opiece twoim prawdziwego ojca. Otoczyliśmy ciebie pieśzcotami rodzicielskimi i rośłaś z dziećmi memi bez żadnej różnicy.

Przedewszystkiém miałam na względzie, w przyszłym twojem stanowisku naprawić to, co niezasłużenie się popsuło. Dałam ci wykwiłtne wychowanie, umysł twój wzbo-

gaciłam nauką niepospolitą. Otoczyłam cię całym urokiem kobiety wyższego towarzystwa, w którym błyszczyć i królować możesz!...

Wypieściłam i wygrzałam w głębi duszy przy tobie dwa marzenia. Jedno, że łącząc nasze imię z drugim, niepospolitej świetności imieniem, unikniesz tego połowicznego stanowiska, na jakie skazał rodziców twoich ten zimny, zgrzybiały starzec.

Drugie marzenie odnosi się do mnie saméj. Majątek nasz nie odpowiada widokom, do jakich słuszną moglibyśmy mieć fantazyą. Do tego pięć córek rozdrobnią ten majątek na bardzo ubogie posagi. Jedyne więc ratunek byłby dla nich aby przez świetną koligacyą weszły w szersze koła, i tam szczęścia swego szukały. Mam przekonanie, że go znajdują, jeśli tylko przez zawiązanie nowych stosunków otworzy się dla nich sposobność do popisu w wyższych kołach towarzystwa.

Tém ogniwem, ciągnącém je w tę sferę, miałaś być ty, drogie dziecię moje!

Wypadek szczęśliwy zdarzył, że cię poznał znakomitego nazwiska młody człowiek. Pan Alfred może cię zaprowadzić tam, gdzie ci się miejsce słuszenie należy!

Do ciebie przywiązane są teraz losy pięciu moich córek. Ty jedna możesz teraz stworzyć dla nich odpowiednią sytuacyą, bez której będą musiały zakopać się w klasztorze, lub pójść na łaskę krewnych, która nie zawsze jest tém dla sierot, czém była dla ciebie!...

Majątek twój wzrósł w dwójnásób w rękach opiekuna twego; jeżeli później świat rzeczywisty lepiej poznasz, policzysz to do osobliwości.

A teraz do tych słów nie dodaję nic więcej. Zostawiam twemu szlachetnemu sercu poczucie się do pewnych obowiązków, których się nigdy pismem nie oznacza. Wdzięczność jest przymiotem dusz wyższych, bez niej nie ma żadnej wyższości: jest tylko brudny, poziomy egoizm.

Siły moje słabną coraz więcej. Gdyby Bogu podobało się powołać mnie przed siebie, z pod Jego podnóża wyciągnę z błogosławieństwem ręce nad tobą, aby w twe serce dla moich sierot wlał taką miłość, jaką ja miałam i mam dotąd dla ciebie!

To co zrobisz, nie zrobisz dla siebie saméj, ale dla nas wszystkich!.....

LVI.

OJCIEC SALOMEI DO JOWITY.

Horynin, — sierpień.

Z listu do ciotki dowiesz się o naszym nieszczęściu. Druga matka twoja, która cię na rękach swoich wypiastrzyła, już nie żyje! Odwołał ją Bóg do lepszego życia, a nas zostawił w smutku nieutulonych.

Od Salomei nie oczekuj tak prędko listu. Biędne dziecko nie jest w stanie określić ci w tej chwili bólu swego. Gdyby łzy, które z jej oczu płyną, mogły oraz być pismem, miałybyś co po całych dniach czytać.

Ale nie tentujmy Boga rozpaczą naszą. Zostawmy Jego niezgłębioną mądrość bolesne wyroki, które nas w życiu doczesnym tak srodze ranią!...

Jeżeli grom niespodziany jeden z głównych konarów drzewa odłamie, to ratujmy resztę drzewa. Zawiążmy ranę i obejrzyjmy się za podporą, któraby pozostałemu nie dała upaść.

Nieboszka stygnącym już piórem pisała do ciebie, jakby przeczuwała, że przed grobem powinna jeszcze żywe słowo swoje rzucić na szalę roztropności, która cię w życiu nigdy opuszczać nie powinna.

Do tych słów już mało mam co dodać. Najważniejszy fakt, który sam te słowa dopełnił, jest, że ta, która te słowa do ciebie pisała, już nie żyje! Jest to więc niejako jej spo-

wiedź ostatnia przed tobą, jój testament. Polecam go pamięci twego szlachetnego serca.

Mimoto pozwolisz mi jeszcze, że zwrócę tutaj uwagę twoją na dzisiejszą sytuację naszą.

Śmierć matki odebrała córkom wszystko. Nadeszła ona w chwili, gdy matki najwięcej potrzebowały. Jakiegolwiek mogą być wyobrażenia o szczęściu ludzkim, zawisło ono wiele od sposobności, jaka się ludziom do tego szczęścia nastręcza. Gdybyśmy mieli w kieszeni patent na najwyższe szczęście, nicby on nam nie pomógł, jeżelibyśmy nie stworzyli sobie sposobności uchwycenia tego szczęścia. Gdyby kobieta była aniołem i jaśniała wszelkiemi wdziękami duszy i umysłu, zmarnieje w ukryciu, jeśli nikt jój na szerszą arenę życia nie wyprowadzi!...

To właśnie jest zadaniem matki. Najlepszy ojciec nie w tym względzie uczynić nie może: na nim ciążyą inne obowiązki, a chociażby od nich się uwolnił, nie ma do tego ani talentu ani zręczności.

Tu trzeba przedewszystkiem oka i rozsądku kobiety. Trzeba aby kobieta podała rękę młodym jój towarzyszkom i z kobiecym rozsądkiem prowadziła je przez kręte ścieżki świata.

Tój opieki córki moje dzisiaj już nie mają!

Droga córko nasza! Kiedym dla ciebie pracował, aby twój majątek kiedyś zwiększony w dwójnasób w ręce twoje oddać, kiedy nieboszka jako własne dziecię przytuliła cię do serca swego i dnie i nocy nad twojém ukształceniem pracowała, ożywiała nas w tych trudach naszych błoga nadzieja, że kiedyś w braku nas, oddasz dzieciom naszym, a swoim siostronom te same uczucia, jakiemi my dla ciebie hojnie szafowali, i rozciągniesz nad niemi tę opiekę, jakąśmy ciebie otoczyli!....

Wierzę w twoje dobre chęci. Wierzę nawet że byłabyś w téj mierze zdolną do ofiary i poświęcenia się. Ale to wszystko nie dosyć; chcąc coś dobrego zdziałać, trzeba piérwój samemu zająć odpowiednie stanowisko: bez takiego

stanowiska pomoc nasza skończy się na słowach i dobrych chęciach.

Otóż przedewszystkiém, droga córko nasza chciój wielką wagę przywiązać do takiego stanowiska. Kto stanie na silnym łądzie, ten może z większém powodzeniem podawać rękę tonącym, niżeli stałby w grzazkiém błocie!

Pisze mi siostra, że właśnie Opatrzność Boga nadarzyła ci sposobność zajęcia nader pięknego stanowiska w rodzinii naszój. Młody człowiek, pięknego nazwiska daje ci tę zaszczytną pozycyą. Ojca pana Alfreda znałem osobiście jako człowieka wielkich wpływów; familia jego zajmuje wysokie stanowisko, które można nader korzystnie spożytkować.

Tym jednym krokiem twoim możesz stworzyć sobie sytuacyą, jakiej tysiące kobiet zazdrościć ci będą, a zarazem otworzysz przy sobie pole dla biędnych sierot a siostr twoich, na którém mogą się z przeznaczoném szczęściem spotkać.

Nie przeczę temu, że do tego potrzebna jest koncessya twego serca. Nie odmawiam ci nawet prawa do pobawienia się obrazami imaginacyi, które w twoim wieku więcej mają powabu nad najrozkoszniejszą rzeczywistość; mimoto jednak, w głębi powinien zawsze na straży stać rozsądek, aby starannie oddzielać to, co do zabawy, a co do życia należy.

Wolno ci używać jednego i drugiego, ale nie wolno ci bezkarnie brać jednego za drugie!....

Fantazyą możesz sobie nie jedną chwilę życia uprzyjemnić, ale jeżeli chcesz nią zapełnić całe życie, to się srogo oszukasz!

W życiu to jest jedynie wyprobowane, co się przez kilkanaście wieków utworzyło i co dotąd mimo nawoływań nowego ducha czasu, ciągle istnieje. Niechaj dzisiejsi ludzie nazywają to przesądem lub zacofaniem się, ale to jest, rośnie i smaczne wydaje owoce!

Gdybyś więc dla rzeczywistych stosunków życia miała się rozstać z jakim wypieszczoném marzeniem, nie żałuj go!

Przyjdzie chwila, w której śmiać się będziesz z tych wszystkich marnych ideałów!...

Życie nasze powinno być jak stawka w grze. Stawiamy ją, aby w dwójnasób do nas wróciła; stawiać zaś życie na jakieś ideały, to znaczy grać z bankierem, który ani grosza nie ma!...

Najważniejszym jednak reflektorem we wszystkich zamysłach twoich niech ci będzie wspomnienie o pięciu osierociałych siostrach twoich, które jedynie od ciebie opieki macierzyńskiej wyglądają!

LVII.

STEFAN DO NIEZNAJOMEGO.

Sierpień.

Od kilku dni trapi mnie niepokój. W miarę powrotu sił moich nachodzą mnie smutne myśli. Nie mogę się ich pozbyć, a samotność moja wcale temu nie sprzyja.

Ponieważ prawą ręką dobrze władać mogę, zatrudniam się jak mogę; ale gdy szara godzina nadejdzie, albo noc ciemne swoje szaty rozwinie, wtedy ciśnie jakiś dziwny smutek serce moje.

Muzyk przychodzi do mnie kilka razy na dzień. Przy-
nosi mi wiadomości od Jowity. Wprawdzie nie widzi jęj
nigdy samęj, tylko zawsze w towarzystwie ciotki. Mimo to
pyta zawsze Jowita o stan mego zdrowia i pilnie o wszystkie
szczegóły dowiadyuje się. Ciotka nie rada to słucho, ale jęj
nie przerywa.

Opowiadał mi także muzyk, że przed kilkoma dniami
weszła do niego Jowita z listem w ręku, mocno zapłakana.
Mówiła że w familii ktoś umarł i że to bardzo boleśnie ją
trafia; a kiedy zaraz potém o mnie się zapytała, puściły się
łzy z jęj oczu, których w żaden sposób powstrzymać nie
mogła.

Pocciwy muzyk wietrzy w tym domu jakieś dziwne
rzeczy. Na twarzach maluje się niewidziane dotąd rozstro-
jenie. Jowita po całych dniach jest w negliżu, jakby ni-
gdzie wyjść nie chciała, albo chorą była.

Gdyby nasz muzyk był młody, to może więcej wiadomości przyniosłby mi z tego miejsca; ale przy jego wieku i troskach zaledwie dziesiąte słowo zostanie mu w jedyném, posłuszném mu uchu.

Niecierpliwość napada mnie wielka. Obawiam się, że słabość moja za długo już trwa....

Powiada poeta: że dla każdego człowieka bije raz w życiu godzina szczęścia, tylko że nie każdy ją słyszy, i nie każdy z niej korzysta!

Obawiam się, abym godziny szczęścia mego nie przechorował.

Żegnam cię!

LVIII.

ALFRED DO STEFANA.

Sierpień.

Mój Panie! Przyjaźń jaką mam dla Wacława, każe mi w równie przyjazny sposób i do pana przemawiać. Niech to panu bynajmniej nie ubliża, bo dawniejsze stosunki powinny zawsze iść przed świeżą, choćby nawet wysoce zaszczytną znajomością!

Dziwne igrzysko losu postawiło nas przeciw sobie. Luźny przypadek, ten sam, który skałom w Szwajcaryi nadał profil Wielkiego Napoleona, sprzągł nas obu, abyśmy w jednym dramacie odegrali role swoje.

Zastanowiwszy się nad tém, przyszedłem do przekonania, czyby nie lepiej było, aby występujący w tym dramacie aktorowie, między sobą role swoje wygadali nie spraszając do tego widowiska chciwój publiki?

Ten wzgląd podał mi pióro do ręki. Chciój pan to pismo moje, z tym samym roztropnym spokojem przeczytać, z jakim ja je ułożyć usiłowałem.

W drodze artystowskiego swego zawodu spotkałeś pan kobietę, która sprawiła na panu niezwykle wrażenie. Wierzę że goniący za plastyczném uosobieniem piękna, artysta mógł się przed nią na chwilę zatrzymać i należyty hołd jój oddać.

Dotąd jesteśmy w zupełnej zgodzie. Pochlebia mi to nawet, że przy tej kobiecie zeszedłem się z człowiekiem tak wytwornego gustu, jakim pan, jako artysta być musisz.

Z mojej strony hołd ten chwilowy przeszedł w poważne, dalej sięgające zamiary. Ze strony pana nie obawiałem się żadnego niebezpieczeństwa, bo miałem niezłomne przekonanie, że pan tam nie idziesz, gdzie ja dążę!

Przekonanie to wypływało z różnicy naszego stanowiska. Niech to pana bynajmniej nie drażni, że się tak odzywam. Mówię z całą otwartością i używam argumentów bez obwijania w bawełnę.

Dążności pana cenię wysoko, jak to pan z mego zachowania się widzisz. Chciiej pan jednak zważyć, że to są dopiero dążności, które mogą pana z czasem zaprowadzić do pewnego, niepodleglejszego stanowiska.

Otóż ta jest różnica między nami. Możesz się pan nie zgadzać z zasadą, ale przyznać pan musisz, że ja mam już to gotowe, do czego pan dopiero dążysz. Moje stanowisko w obec świata rzeczywistego nadaje mi przewagę nad panem, przeciw której pan skutecznie walczyć nie możesz.

Mimo to przypuszczam, że pan ze mną tę bezskuteczną walkę rozpocząć zamysłasz. Może pana zachęci do tego usposobienie kobiety, która również jak pan, z zapałem oddaje się czci piękna. Pokrewność zapatrywania się na objawy życia, pewna zdolność unoszenia się ponad granice życia rzeczywistego, i pewna zgoda działających w nerwach naszych prądów, mogą wielką być pokusą do podjęcia tej walki.

Czynię jednak pana uważnym na pewne niebezpieczeństwo, którego pan nie widzisz. Pan jesteś szlachetny, działasz jako taki, i z podobnego stanowiska sądzisz o świecie i o ludziach. Żyjesz na seryo, i myślisz, że i inni to samo czynią. Objawy życia towarzyskiego bierzesz tak, jak one się poważnemu człowiekowi przedstawiają.... Tymczasem dowiesz się pan po niewczasie, że to coś pan brał

za prawdę, był żart... a coś pan wziął na seryo, było tylko zabawką....

Rozczarowań takich odniosło w naszych sferach bardzo wielu ludzi, którzy tajemnic tych sfer nie znali!...

Rzucam jednak luźnie te myśli bez zastosowania ich do naszego sporu.

Przeciwnie, przypuszczam, że pan masz ugruntowany powód do wytrwania na polu walki.

Przypuśćmy, że pan masz wzajemność.....

W takim razie, jako człowiek prawy i uczciwy ma na sobie obowiązek postarania się o szczęście dla ukochanej i kochającej kobiety.

Czy masz pan warunki tego szczęścia?

Nie mówię tutaj o warunkach materialnych, o których również niegodzi się zapominać, ale o warunkach moralnych.

Kobieta, o której pan marzysz, należy do sfery, do której trzeba mieć inny patent, jak medal zasługi otrzymany na wystawie londyńskiej. Może to pana gniewać, ale przeto rzeczy nie zmieni. Może to być przesąd spróchniałego (jak niektórzy nazywają) towarzystwa, ale tak jest. Tej kobiety nie wprowadzisz pan tam za swoim paszportem!

Czy sądzisz pan, że dla takiej kobiety możesz pan inne szczęście stworzyć?

Wierzę, że w chwili szalu wszystko jest możliwe. Wierzę, że pan w tej chwili możesz mieć to przekonanie, że dla tej kobiety dosyć jest chatki w lesie i śpiewających na gałązkach ptaszków!...

Ale zważ pan, że szal chwilowy przemija a za nim rozciąga się długie życie!... A to długie życie wyrobiło już sobie pewne potrzeby, pewne formy, pewne nawet, jeżeli pan chcesz, przesady i uprzedzenia, a wszystkim tym materiałom życia, trzeba zadość uczynić?

Cóż pan uczynisz, jeśli po niejakiem czasie obaczysz tę kobietę znudzoną samotnością, płaczącą skrycie za tém co goniąc błyskotne ideały, rzeczywiście utraciła!...

Czy jestże to prawdziwa miłość, która w chwili szalu poświęcającą się kobietę skazuje na taką przyszłość?...

Nie, tego o szlachetnym człowieku przypuścić nie mogę. Serce które kocha, patrzy w przyszłość, a nie rzuca się na oślep na przypadkową zdobycz! O wyrachowanie zaś tylko na dzisiaj nie posądzam pana!

Prócz tego, muszę przed panem jeszcze jeden obraz roztoczyć:

Wiesz pan dobrze, że ta kobieta jest sierotą. Przyjęli ją krewni i z poświęceniem się własnych interesów swoich zajęli się jój wychowaniem, wykształceniem i sumienną administracją majątku. Jak się wywiązali z swoich obowiązków, to pan wiesz. Przed kilkoma tygodniami trafia wielkie nieszczęście tych krewnych: matka umiera, konkurent najstarszej córki w wigilią zaręczyn odstępuje (jestto wielka przyjaciółka i siostra mleczna téj, o której mówimy), majątek okazuje się zrujnowany, a pięć córek bez perspektywy znalezienia mężów!...

Matka w testamencie poleca jój swoje sieroty, szlachetny opiekun puka do wdzięczności jój serca, i wszystko teraz spoczęło w jój ręku!

Nie myśl pan jednak aby tu chodziło o wspomóżenie podupadłych krewnych jaką jałmużną; nie, prośby téj rodziny są inne:

„W twojem ręku — wołają do niéj — jest dzisiaj nasza przyszłość. Stwórz dla siebie tém, cośmy dla ciebie zrobiły, należytą pozycję w świecie, abyśmy korzystając z tego, znalazły przy tobie opiekę matki, któraby nas w świat wprowadziła i dała nam sposobność znalezienia odpowiedniego szczęścia!...”

Od kroku więc, jaki ta kobieta uczyni, zawisło nie tylko jój szczęście, ale szczęście zrujnowanej rodziny jój jedynych dobrodziejów!...

A teraz pytam pana trzeźwo i spokojnie: czy możesz pan w świecie rzeczywistym nadać téj kobiecie taką pozycję,

na którejby ona żądanej słusznie od niej wdzięczności zadość uczynić mogła?

I to zapytanie może pana chwilowo gniewać, ale gdy spokojniej nad tém się zastanowisz, to sam uznasz, że uczucie, o jakiem miałeś wysokie wyobrażenie, nie było niczem inném, jak tylko wpływem wyrafinowanego, ale zawsze poziomego egoizmu.

Czysta, wielka miłość nie czyni z kobiety ofiary; nie wiąże jej rąk tam, gdzie pewna czynność jest potrzebą jej życia i obowiązkiem zaciągniętego długu wdzięczności!

LIX.

STEFAN DO ALFREDA.

List pana odsłonił mi zamiary, jakich się domniemywałem.

Wierzę, że każdemu człowiekowi wolno powziąć sobie pewne zamiary. Wierzę, że te zamiary mogą nawet zaszczyt uczynić jego sercu i odwadze, ale chciój pan bez żadnej alteracyi zważyć, że te *zamiary* nie nadają mu jeszcze żadnego stanowiska, z którego walkę skutecznie rozpocząć można.

Ale przyjmuję i tak pana za adwersarza, choćby tylko dlatego, aby odpowiedzieć na niektóre zdania, w sposób nader zręczny wyłuszczone, a bynajmniej nie zgadzające się z prawdą rzeczywistą.

Wyobrażenia pana o miłości i o szczęściu kobiety ukochanej są tak piękne i wzniosłe, że mogą w danym razie przejednać mnie z panem. Gdyby okoliczności zrzędziły, że ta ukochana nielegalnie przezemnie kobieta weszłaby na pańskiemi ramieniu w szerszy zakres swoich zaszczytnych czynności, miałbym natenczas tę jedyną pociechę, że ją wprowadził zacny człowiek, mający o jej szczęściu i obowiązkach tak zaszczytne pojęcia!...

Ale od słów do rzeczywistości, mój panie, jest jeszcze daleka droga. Jakkolwiek dzisiaj nie mam żadnego prawa słowa pańskie podejrzywać, nie będziesz się pan jednak

gniewała, jeżeli powiem, że dla nadania słowom podobnym prawdziwej wagi, potrzeba pewnych, rzeczywistej natury warunków życia.

Pan do nich dopiero dążysz, a *dążność* nie jest jeszcze stanowiskiem, z którego wydawać można z góry sądy o sobie i o drugich.

To co pan mówisz o bawieniu się w pewnych sferach rzeczami świętymi, nie wchodzi w zakres naszego sporu. Tak sam pan mówisz, ale tém coś nie dopowiedział a myślał, ubliżyłeś w wysokim stopniu kobiecie, której prokuratorem się obrałeś, i ubliżyłeś samemu sobie.

Miłość, nazywasz pan błędnie szalem chwilowym. Być może, że w otoczeniu swoim nie widziałeś pan innej miłości. Być może, że w pewnych warunkach życia nie może być miłość czémś więcej jak szalem chwilowym, tak samo jak zapalona lampa może tylko raz wyblysnąć i zgasnąć, jeśli w wnętrzu swém nie znajdzie materiału palnego. Ale tego wyobrażenia nie możesz pan rozszerzyć na ogół, który nie zwykł w takim razie zapalać pozostałych po różnych ofiarach niedopałków...

Miłość nie jest szalem jednej chwili, ale jest żywiołem całego życia. To co pan widzisz, jest tylko jedną jej przemianą, tak samo jak kwiat na drzewie, który dla pospolitych oczu niby marnie ginie, jest tylko jedną przemianą w całym życiu drzewa.

Nie przeczę temu bynajmniej, że są w społeczeństwie ludzie, dla których czas kilkunastowiekowy wyrobił pewne formy, przyzwyczajenia, odrębne pojęcia i je niejako w pewien zakon skryształizował.

Wierzę, że tym ludziom smutno jest wyjść poza granice tego zakonu, ale tylko wtedy, jeżeli się lękają zmierzyć z żywym prądem społeczeństwa, jeśli zgniłym w ostojach siłom swoim nie ufają, a wreszcie jeżeli wprost do niedołęstwa się przyznają, ochraniając się od innych wałem nieprzebytym, jak mieszkanie niebieskiego państwa!

Nie mogę jednak z tém się z panem zgodzić, aby legowisko za tym wałem należało koniecznie do szczęścia.

Życie ludzkie ma wiele dróg do szczęścia, a najuboższy tak samo między niemi wybierać może, jak i ten który się blisko tronu rodzi.

Zależy tu tylko o pojęcie obowiązków życia. Kto za cel życia położył sobie próżnowanie i zabawę, a znudzony taką jednostajnością nie wie w końcu co z życiem zrobić: ten oczywiście chciwie przywiązuje się do stereotypowych form i drobnych fraszek, które jako tako czas mu wypełniają.

Wielce ubliżasz pan kobiecie, o której sądzisz że podobne fraszki staną się potrzebą jój życia. Odziedziczone stosunki wybrańszego towarzystwa są to niejako ze składu wzięte patrony, przez które każdy terminator malarski może na ścianach mazać różne ładne arabeski. Człowiek czynny w społeczeństwie stwarza sobie sam stosunki, według tego jak daleko praca jego dosięże! Takie stosunki są odpowiednie i godności człowieka i czynią zadość wymaganiom, jakie ma społeczność do niego.

Wielce ubliżasz pan kobiecie, o której mowa, podejrzewając ją o nieudolność stworzenia sobie takich, swemu usposobieniu odpowiednich stosunków!

A nawet jestem tego zdania, że stanowisko takie w żywym prądzie społeczeństwa, daleko większą korzyść mogłoby przynieść nieszczęśliwej, podupadłej rodzinie, niżeli z ostatkami mienia garnienie się tam, gdzie jak pan sam twierdzisz: „miłość jest szaleństwem jednej chwili” a na następujące „długie życie” nie będzie dostatecznych posagów!...

Dajesz mi pan do poznania, że tę kobietę chciałbyś zaprowadzić przed ołtarz.

Przypuśćmy, że ona jest!... albo że będzie panu wzajemną do tej chwili.

Miłość wielka i szlachetna nie wypływa nigdy z egoizmu. Nie podejrzewam pana, że dla własnych widoków

rzucasz się jakby na zdobycz jaką.... Wierzę, że pragniesz szczęścia téj kobiety.

Czy masz pan warunki tego szczęścia?

Kobieta, o której pan marzysz, należy do sfery kobiet wybrańszych, które nie poprzestają na martwych formach i fraszkach życia, jakeimi je jak mumje owinać usiłują. Może ona kiedyś zapukać do sumienia męża i zapytać: kto jesteś i czém jesteś?... Atmosfera świata, w którą ją pan wprowadzisz, może się wkrótce wydać za duszną. Może od pana zażądać żywego prądu życia, zapragnąć, abyś dla jęj wyobrażeń i usposobienia inne stworzył sobie stanowisko!

Czy będziesz pan miał na to warunki?

Nie, tego lekceważenia ze strony pana przypuścić nie mogę. Serce które kocha patrzy w przyszłość, a o wyrachowanie zaś tylko na dzisiaj, nie posądzam pana!

Zresztą spór nasz prowadzimy w ten sposób, jakbyśmy trzecięj osobie odmawiali wszelkiej wolnej woli i samodzielności. Na tém téż koncentruje się cała moja odpowiedź!

Osoba trzecia najlepiej nam obu odpowie.

LX.

STEFAN DO NIEZNAJOMEGO.

1 września.

Zaledwie list do ciebie z wiadomością o dziwnój między mną a pana Alfredem korespondencyi wysłałem, przyszedł do mnie zadyszany muzyk i doniósł mi, że Jowity już w mieście niema!

Wyjazd ciotki z Jowitą nastąpił nagle, niespodzianie. Nie było najmniejszych przygotowań. Nikt o tém nie wspomniał ani słowem, a dzisiaj rano zaproszono jeszcze muzyka na wieczorną herbatę.

Co się stało? Nie wiem. Nie mogę nawet nic wymyślić, co by mogło to wszystko spowodować!

Wysłałam muzyka na zwiady i przerywam list aż do jego powrotu.

Muzyk wrócił, ale nic szczególnego nie przyniósł z sobą. Pomieszkanie jest zapłacone jeszcze na pięć miesięcy. Powiedziano przy odjeździe gospodyni, że jadą do wód. Do jakich? Nie wiem.

Smutek ciężki opanował serce moje. Ciemno zrobiło się nagle wkoło mnie. Czuję się nagle tak samotnym, jakbym sam jeden był na świecie!...

Jakież mogła mieć powody Jowita tak nagłego odjazdu? Jeżeli o nim naprzód wiedziała, czyż nie mogła przesłać mi przez muzyka choć jedno słowo pożegnania? Wszak co-dziennie miałem od niej słowa przyjaźni, czyż nagle zmieniło się jój serce?...

Czyż to ma być ta odpowiedź osoby trzeciej, o której niedawno do p. Alfreda pisałem?

Nie umiem z tego wszystkiego nic związać. Wszystkie domysły moje mącą się i motają, a nigdzie nie widać żadnego końca, aby go uchwycić i do pasma się dostać!...

Może jutro więcj się dowiem. Noc jednak dzisiejsza będzie dla mnie straszną nocą!..

LXI.

2 września.

Dowiaduję się dzisiaj, że pani marszałkowa także nagle miasto opuściła. Miała ona temi dniami mieć atak apoplektyczny. Lekarze nakazali jęj spieszenie udać się do wód. Do których? Nie wiem.

Prawdopodobnie więc ciotka Jowity, jako nieodstępna przyjaciółka marszałkowej, pojechała z nią wzięwszy z sobą Jowitę; pan Alfred zaś wybrał się na kilka miesięcy do Paryża.

Tyle tylko zebrałem wiadomości. Zdaje mi się jednak, że to wystarczyć może do małego zarysu całej tęg, jak ją nazwę, intrygi.

Po liście pana Alfreda sądzę, że sprawa jego względem ręki Jowity nie szła najlepiej, jeżeli do mnie niejako po cessay się udawał. Odpowiedź moja pogorszyła zapewne jeszcze tę sprawę. Uradzono więc chwycić się ostatecznego środka, to jest, wyrwać Jowitę z miejsca, do którego przywiązują się niektóre jęj wspomnienia i nawałem świeżych wrażeń zmazać to wszystko, co w jęj duszy mogło się przez ten czas zapisać. Środek to dla młodych panien, nader pospolity i często ze skutkiem używany.

Zdaje się, że taki był plan. Aby Jowitę niejako niespodzianie zaskoczyć zmyślono słabość marszałkowej i uradzono naprędcę nagły wyjazd dla jęj ratunku. Stara kobieta potrzebowała jakiśs opieki kobiecęj, którą wzięła na siebie jęj przyjaciółka. Jowita sama w mieście pozostać nie

mogła i musiała chcąc nie chcąc razem się zabrać. Pan Alfred według wszelkiego prawdopodobieństwa także razem pojedzie, tylko dla zmylenia opinii wymyślił podróż do Paryża. Towarzystwo Jowity w tej podróży, będzie polem różnych jego usiłowań, aby dojść do zamierzonego celu.

Taki mniej więcej może być plan najbliższej p. Alfreda kampanii.

Cóż ja przeciw temu postawić mogę?

Gdybym był zdrow, gdybym miał środki po temu, puściłbym się w pogoń za nimi, jak król Faraon za żydami, unoszącymi z sobą złote naczynia Egipcyan... starałbym się krzyżować ich drogi, stawać im na wszystkich rozstajnych ścieżkach i walczyć, walczyć do ostatniego oddechu...

Ale dzisiaj, cóż mogę uczynić?..

Porwano, uwieziono ją! A ja nie mogę nawet jęj bronić!

Czy w ten sposób porywa nam świat rzeczywisty najpiękniejsze nasze ideały?

17 września.

Kilka tygodni upłynęło w ciężkim smutku moim. Jedyną moją pociechą jest, że mogę już wyjść z mego więzienia.

Wczoraj wyszedłem po raz pierwszy. Wyszedłem o zmierzchu, jakbym wychodził w tajemnych zamiarach..

Serce mi drżało w piersi, powietrze nie starczyło do oddechu. Dziwny dreszcz przebiegał po mojem ciele, jakbym szedł na spotkanie upragnionéj istoty, która osłonięta mgłą nocy, miała mi się ukazać na miejscu umówioném...

Wreszcie przyszedłem...

Otóż i ona!..

Tam w oknie na pierwszém piętrze miga jęj biała sukienka!... Swawolny wiatr porusza nią zalotnie i odsłania białe ramię!... Jęj twarz płonie dziwnym wyrazem, a cie-

mnoszafirowe oczy palą się jasnym, przejrzystym światłem!... W głębi pokoju cisza, głucha cisza... usłużny wietrzyk przyniesie do mego ucha każdy jej szept, każde słowo miłosne!

Ach, nie! To biała firanka chwieje się w pustym, opuszczonym oknie... to pokrzywiona szyba odbija w połamanych liniach gazowe światła ulicy... a pod oknem stojąca lipa karłowata szepcze do mnie szeptem powiędłych latem liści!

Widziadło znika, a ja stoję przed próżnymi oknami domu, w którym mieszkała Jowita!..

I odszedłem smutny, smutniejszy niżeli byłem przed chwilą!..

Mimo to pójdę jutro, pójdę pojutrze... codzienie pójdę pod te okna!..

Być może, że wyobraźnia moja stworzy mi jeden z tych cudów, nad którym mozołą się dotąd uczeni, a który lud prosty objawieniem nazywa!

Może kiedyś z wyobraźni mojej wyjdzie ta upragniona postać i stanie przedemną tam w tym oknie, na pierwszym piętrze, gdzie ta biała firanka, gdzie ta szyba z połamanym światłem?.. Może tak, jak niegdyś gorącym wyznawcom objawiali się święci, objawi mi się Jowita?..

10 października.

Znowu kilka tygodni upłynęło. Ani śladu po nich, gdzie są i co robią! Zdaje mi się, że z umysłu poprzerowano wszelką korespondencją. Jest tylko wieść, że odbywają różne podróże. Niejakiś czas byli w Ostendzie, zamtąd wyjechali prawdopodobnie do Włoch.

Ja siedzę jak trapista w pracowni mojej i pracuję. Praca dosyć mi sporo idzie. Jakkolwiek ból wielki nurtuje w moim sercu, mam jednak pewien spokój duszy, jakiego dawniej nie miałem.

Dawniej oglądałem się z niepokojem ciągle wkoło siebie, szukając tego co mi świat dać może. Dziś wiem, co

on dać może, choć mi to wziął napowrót. Nie pragnę od niego nic więcej, bo więcej nad to, co mi wziął, nie dać mi nie może!...

Jestem podobny do żołnierza, który zraniony krzychał z bólu w niebogłosy; potem stał się ten ból chronicznym, a żołnierz przyzwyczaił się do niego!...

Są jednak chwile jakiejś dziwnej gorączki. Zdaje mi się, że ją obaczyć muszę, że na jej twarzy ujrzę ten sam uśmiech czarodziejski, jakim mnie po raz pierwszy powitała!

Wtedy idę znowu pod to okno z białą firanką... patrzę znowu w te szyby z połamaném światłem latarni gazowych!..

LXII.

JOWITA DO SALOMEI.

30 października.

Od czasu wyjazdu z Drezna, nie pisałam do ciebie kochana siostró moja!

W tych słowach wiele, bardzo wiele się mieści! Gdybyś je umiała dobrze odczytać, wiedziałabyś daleko więcej, niżeli ci napisać chcę i mogę!

Pierwój miałam do czynienia tylko z własnymi marzeniami, dzisiaj nie mogę się opędzić od natłoku różnych wrażeń zewnętrznych, które wszystkie moje siły wyczerpują!

Bawiłyśmy, źle mówię, bawiliśmy (bo i pan Alfred jest z nami) czas krótki w Ostendzie. Ztamtąd przejechaliśmy wzdłuż całej Francji, wysiedziawszy się w Paryżu przez cały miesiąc, i zdążyliśmy z końcem października do Bajonne, gdzie marszałkowa miała kontynuować kąpiele morskie. Lekarze kazali jój szukać łagodniejszego klimatu, a tu wiatr zachodni jest daleko przyjemniejszy i wilgotniejszy od północnego w Ostendzie. Od kilku dni jednak bawimy w Pau, gdzie jest pyszny zamek cesarza z widokiem na rozkoszne pasma Pyreneów! Lekarze kazali marszałkowej zaniechać kąpielei morskich.

Wyobrazisz sobie, ile wrażeń, ile dziwnych wzruszeń, przebiegnie przez duszę na takiej przestrzeni!..

Czytałam wiele opisów podróży, czytałam wiele romanów, które podobne koczownicze życie traktują; nie znalazłam jednak w nich nic z tego, czego sama doznaję.

Weź np. jaki instrument, który pod twoją ręką wydaje ci pewne tony, akordy i melodye. Słuchasz je czas niejaki,

a potem cofasz rękę, a one milkną. Wyobraź teraz sobie że ten instrument porusza ustawicznie jakaś ręka niewidoma, że wibracya strun nie ustaje ani na chwilę, że z téj wibracyi rodzą się coraz to nowe jakieś tony, niepochwyczone akordy, niedosięgnięte melodye, które w oka mgnieniu giną, aby innym miejsca ustąpić... wyobraź sobie to wszystko dźwięczące ci w uszach twoich nieustannie i dniem i nocą: to będziesz miała wrażenia podróży naszéj!

Mytologia mówi z zachwyceniem o harfie Eola, która poruszana podmuchem powietrza miała ustawicznie wydawać dziwnie rozkoszne tony, które upajały słuchających i wprawiały ich w sen jak najgłębszy!

Wrażenia podróży, w której widzi się za każdym krokiem arcydzieła ludzkiego geniuszu, mają coś podobnego do téj harfy eolskiej!..

Zaprawdę, zaczynam wierzyć, że zapadam w jakiś sen dziwny, sen twardy, w którym nic się nie śni, nic nie marzy!... Rzeczywistość sama jest tak wielka i rozkoszna, że zużywa wszystkie siły duszy. Gdy się z przed oka usunie, wtedy użycza tylko czasu na wypoczynek. Dla marzeń nie ma ani chwili!..

W takim stanie duszy trudno mi było wziąć pióro do ręki; a nawet wstydziłam się sama siebie gdyby mi przyszło zdać sprawę z tego, o czém dawniej tak szeroko i z takim zapalem pisałam!..

Nie myśl jednak, aby to wszystko we mnie umilkło. Jest ono w głębi duszy, schowane jak relikwia, tylko nie dobywam go ztamtąd codziennie, aby się widokiem jego poić. Świat zewnętrzny zanadto ciśnie mi się przed oczy. Nie mam czasu odetchnąć pełniejszą pierśią.

Gdy się w ten świat rzeczywisty, najczęściej piękny, a zawsze tak rozmaity wpatruję, zaczynam zwolna pojmować, że można się nim zupełnie zadowolnić, a przynajmniej wierzę, że może wszystkie nasze siły spotrzebować w ten sposób, że nam żadnej próżni nie zostawi!

LXIII.

Listopad.

Tu w tém rozkoszném miejscu odetchnęłam trochę swobodnięj. Zdaje się, że zatrzymamy się tutaj jeszcze czas niejaki, bo zdrowie marszałkowej nie pozwala na rychłą podróż.

Biędna staruszka patrzy dosyć z rezygnacją na zbliżający się kres życia. Ma dosyć spokojne sumienie i opowiada nam wieczorami z życia swego wiele rzeczy, które świadczą o jęj zacnej duszy. Słowa jęj odsłaniają mi nowy świat i nowych ludzi, których dotąd nie znałam, albo miałam o nich zupełnie inne wyobrażenie.

Pan Alfred jest bardzo troskliwy o nią. Siedzi przy nięj po całych wieczorach nie uważając na powaby życia, które poza widokiem staruszki, roztaczają się przed nim w barwach nader ponętnych. Świadczy to o dobrém jego sercu, bo o interes nie można go tutaj posądzić. Wprawdzie marszałkowa zostawi dosyć ładny majątek, a nawet ciocia sama wspomniała o tém, że nicby nie zawadziło, aby notaryusz za dobrych zmysłów staruszki sporządził testament: ale pan Alfred oparł się temu, utrzymując że wolałby zrzec się wszelkięj nadziei spadkobierstwa, niżeli takim aktem zatrwóżyć ukochaną stryjenkę.

Przyznasz droga Salciu, że to dzisiaj u młodych ludzi, chciwych świata, jest dosyć rzadkim wyjątkiem!

Mimoto marszałkowa ma się coraz gorzej. Pan Alfred mówił, że wrazie niebezpieczeństwa wystarczy ustne jej rozporządzenie przy świadkach.

Przy tak smutnym obrazie, który mimowoli nasunął mi się pod pióro, nie chcę dłużej pozostać, i wolę raczej list na tém zakończyć. Myśl ta smutna zbudziła we mnie jakieś dziwne piękne uczucie!..

Myślę w tej chwili o was osieroconych!..

LXIV.

Listopad.

W liście twoim ostatnim każesz mi sobie zdać sprawę z tego, czém dusza moja obecnie, bez żadnych wrażeń zewnętrznych żyje. Zaiste nie małe to zadanie!

Jestem podobną do ucznia, który po skończonym kursie udał się do domu rodzicielskiego na dwumiesięczne ferye. Po feryach skończonych przywożą go do szkoły, a professor zadaje mu pytanie, na czém to właśnie w zeszłym kursie stanął!....

Otoż i ty tak samo zapytujesz mnie!

Jak uczeń ów, naukę całego kursu szkolnego porozrzucił częściowo gdzieś na pięknych błoniach stron rodzinnych, pozostawił pod rozkosznemi drzewami ogrodów owocowych a wreszcie zatopił z niéj wiele w kryształowych falach płynącej poza dworem rzeki: tak samo wiele z moich skarbów wewnętrznych popozostawało po różnych drogach i stacyach malowniczej podróży mojej!... Niektóre utonęły w morzu, inne wziął wiatr północny i poniósł gdzieś ponad fale oceanu; wiele z nich uczepiło się jak jesienna pajęczyna do monumentów Paryża, i zostały na zawsze za mną!...

Nie uwierzysz droga siostró, jakie to dziwne, elektryzujące wrażenie sprawia widok nieustannie pulsującego wielkiego życia. Najsroższy ból, najboleśniejsza rana musi tu zacierpnąć, bo na ból nie staje sił ni czasu!...

Bywało nieraz, po całych dniach patrzałam z okna mego na bulwary w Paryżu. Dziwny jest tu widok. Tyśiączne tłumy tłoczą się nieustannie. Wszystkie twarze, oczy, są rozgorączkowane. Jeden ciśnie drugiego, odtrąca na bok, zostawia w tyle, aby tylko sam jak najprędzej stanął u jakiegoś celu!...

Jakiż cel mają ci wszyscy ludzie? pytałam nieraz siebie. Cóż ich tak na przód popycha, coś tak przyspiesza ich kroki, rozognia ich twarze i oczy? ..

Droga siostró! Odpowiedź na to wypada zawsze dla mnie nader smutna.

Oto ludzie ci dążą naprzód, aby wziąć to, co im świat rzeczywisty dać może! Ręczę ci, że żaden z nich nie pędzi za jakąś mrzonką, którą dziś w nocy w duszy swojej wykołysał, że goni za jakimś wielkiem szlachetnym uczuciem, któreby mu na resztę życia wielką, jasną gwiazdą przyświecało.... poprostu, on goni za czémś nadzwyczaj realnym i korzystnym dla siebie!

Może być, że gdzieś tam zdala od tego tłoku, od tej głównej arterii świata, gdzieś w jakiejś ubocznej, zapomnianej żyłce, bije inne, słabo pulsujące życie, które się żywi bladym światłem gwiazd nocnych i pije chłodny prąd powietrza!.... Być może, że tam gdzieś za temi kolosalnymi murami, albo tam na poddaszu w tych otworach gołębih żyją inni ludzie, są inne warunki i potrzeby życia.... ale to wszystko w obec tej głównej arterii świata i życia ludzkiego wygląda jakby blade, wątłe, chorobliwe!....

Lepiej, stokroć lepiej, kochana siostró, żyć na brzegach Horyni, i tam prócz siebie, prócz złotych marzeń swoich nic więcej nie widzieć, nic nie znać! ..

Zaiste patrząc na te tłumy z twarzą pogodną, uśmiechniętą, które nie pragną nic, coby im świat rzeczywisty dać nie mógł, i które wykwintnemi jego darami zupełnie się zadawalniają.... wrywa się z piersi pytanie: kto lepiej świat i życie pojmuje? Czy oni z pełną, rumianą twarzą z mnóstwem wykwintnych fraszek pod pachą, czy ci zwiędli, bla-

dzi i wychudli, którzy drżąc od zimna i głodu krocą za tym bladym ognikiem, który Bóg w ich piersi rozdmuchał, krocą co raz słabszym krokiem aż do zimnych progów historii, która nie mniej zimnym rylcem za całą nagrodę, zapisze na swych kartach ich nazwiska!....

Wierzaj mi droga siostró, nie ma nic boleśniejszego jak los, jakiego doznają na świecie wszelkie ideały! Czasami pod wpływem rzeczywistości tak się zmarszczą i skurczą, że je radzi odrzucamy od siebie, aby tak bolesnego nie mieć wspomnienia!....

Uczą nas, że narody na Północy mieszkające zabijali z litości i pietyzmu starców niedołężnych, którzy sami sobie i społeczności stawali się ciężarem. Inni znowu tracili z miłości rodzicielskiej nowonarodzone, brakiem sił albo kłectwem dotknięte dzieci, z tego samego względu.

Czyby nie lepiej było, abyśmy sami w chwilach zachwycenia, powzięte ideały własną ręką zatracali, zanimby je świat oziębził i pokurczył? Cóż i tak stanie się z nimi, jeżeli im żyć pozwolimy?

Takie dziwne myśli, droga siostró, nachodzą mnie w ciuchej, bezwietrznej nocy, gdy wszystko wkoło mnie głębokim snem spoczywa, a nademną tylko milczące świecą gwiazdy, rozwieszone nad granitowymi olbrzymami Pyreneów!....

W tych myślach szukaj, tylko ostrożnie, odpowiedzi dla siebie!....

LXV.

Listopad.

Marszałkowa ma się coraz gorzej. Nic jęj nie dolega, nic się nie skarży, tylko siły żywotne słabną zwolna coraz więcej, pierś coraz wolniej oddycha!

Pan Alfred robi co może aby ostatnie dni jęj osłodzić. Robimy wycieczki w pobliżkie Pyrenees. Marszałkowa odbywa te wycieczki w lektyce. My około nięj jedziemy na mułach, albo pieszo idziemy.

Jest to cudny, czarodziejski kraj ta Hiszpania. Może jeszcze piękniejszym wydaje się dla nas, że na niego tylko z wyżyn pyrenejskich patrzymy!

Przychodzi mi przytęm dziwna myśl do głowy: czyby nie lepiej było w życiu naszym, gdybyśmy wymarzywszy sobie jakie szczęście, nie sięgali śmiałą ręką po to szczęście, ale tak jak my tutaj na wyżynach pyrenejskich, zatrzymali się, i tylko zdaleka na to szczęście spojrzeli?...

Gdy Mojżesz powątpiewaniem w moc Bożą zgrzeszył, nie pozwolił mu Bóg wejść do ziemi obiecanęj, tylko dał mu ją widzięć z dalekięj góry.... Czy Mojżesz nie był może szczęśliwszym, że tylko zdala ją widział w barwach rozkosznych, niżeliby wszedł w sam jęj środek i ujrzał bryły kamieni i zgniłe jeziora?...

Gdy wczoraj stałam na najwyższym szczycie, dokąd tylko z panem Alfredem dostaliśmy się, napawałam się długo czarodziejskim widokiem, aż mi w końcu łzy się puściły z oczu i serdecznie płakać zaczęłam.

Pan Alfred zdziwił się i zapytał czy przypadkiem ten widok nie przypomniał mi co z wymarzonych ideałów, ja-kiemi karmi się nieustannie serce kobiece.

Otarłam łzy i z uśmiechem odpowiedziałam mu:

— Gdybym kiedykolwiek ideały moje do grobu złożyć miała, tobym je tutaj pochowała!

— A jabym im wystawił pyszny nagrobek z białego marmuru!—odparł z uśmiechem pan Alfred i podał mi ramię do odwrotu, bo ciotka właśnie wołała na nas z doliny.

LXVI.

30 listopada.

Dzień wczorajszy był ważną epoką w życiu mojem. Widziałam jak śmierć wygląda.... jak w obec niej wygląda-
ją wszystkie nasze marzenia!....

Zaraz z południa widocznie słabła na siłach marszał-
kowa. Na naleganie cioci zdecydował się wreszcie pan
Alfred, aby zawołać notaryusza.

Smutny jest to epizod w życiu, gdy około łóżka staną
ludzie obcy z miną urzędową, aby zapisać ostatnie słowa
człowieka, który żyje jeszcze, myśli, czuje, a może nawet
i marzy, a już przemawiać musi tak, jakby nigdy nie miał
mówić.... Na szczęście trwało to krótko, bo pan Alfred
już naprzód wygotował potrzebne w takim razie formularze,
aby biédnej stryjence nie zabierać przed zgonem kilka dro-
gich chwil ulatającego życia!...

Zmierzch zastał już nas samych, siedzących przy
staruszce....

Powoli gasły promienie słońca, które po raz ostatni
zeszło nad sędziwą kobietą.... Gwiazdy wytryskiwały je-
dna po drugiej z szafirowego nieba, a migocąca lampa roz-
lewała w komnacie coraz jaśniej czerwone światło swoje...

Ciotka modliła się z książki. Był także i ksiądz miescowy i pomocnik jego Gaskończyk, który opowiadał nam różne swoje przygody przy umarłych...

Po spowiedzi i położeniu oleju św. odetchnęła wolniej staruszka i zażądała spokoju.... Ksiądz odszedł i zostaliśmy tylko sami swoi prócz usługującej kobiety.

Nie chcieliśmy przeszkadzać śpiącej staruszce. Siedzieliśmy w głębokiém milczeniu.

Około północy westchnęła staruszka, otworzyła oczy i wyszłą rękę do mnie wyciągnęła. Zbliżyłam się do niej.

— Dziecko moje—ozwała się urywanym głosem—błogosławię ci. Zważ że życie jest tylko jedno, nie odrzucaj tego co ono ci daje i nie odkładaj w niem nic na jutro. Jutro nie nasze, jutro może być już zapóźno! Każda chwila która ubiegnie bez celu, jest stracona!... Alfred....

Tu głos jój ustał. Ruszały się jeszcze usta, ale już słowa żadnego nie usłyszałam!

Zaraz po północy ustał jój oddech, pierś się zapadła, a lewa ręka zawisła bezwładnie....

Ciotka odprawiła służącą, a myśmy jeszcze wszyscy troje zostali przy nieboszce.

Nikt do nikogo nie mówił ani słowa.

Sama, wielka chwila była wymowna!..

Ciotka czytała modlitwy z książki, pan Alfred siedział opodal z głową ręką podpartą. Ja siedziałam w nogach łóżka, a oparłam się o poręcz fotelu, bo mnie w téj chwili siły fizyczne opuściły.

Umysł mój za to był czynnym w dwójnasób. Tłoczyły mi się dziwne myśli, jakieś, niewidziane dotąd rzeczy stawały mi szeregiem przed oczyma!..

Dziwne wrażenia sprawia śmierć człowieka! Ale my zazwyczaj widzimy ją w szatach i akcesoryach straszliwego jój majestatu! Widzimy trumnę, świece palące się, widzimy kłęby kadzidła jako symbol ulatującej duszy... wreszcie widzimy żałobny pochód, słyszymy płacz lub śpiew żałosny

i słyszymy w końcu jak grudki rzucanej ziemi uderzają o wieko spuszczonej do grobu trumny!...

I wtedy powiadamy: nieboszczyk!

Z takimi przyborami zazwyczaj staje śmierć przed nami! Po nich poznajemy ją, widzimy w duchu owiniętą czarnym całunem i wystawiającą do nas trupie oblicze!..

Ta śmierć, na którą w tej chwili patrzyłam, była zupełnie inną. Tamta straszy nas i trwoży, ta patrzy na nas z twarzą uśmiechniętą, uspokojoną...

Nie jest to śmierć właściwa, jest to dopiero, że tak powiem, przejście z życia do śmierci!...

Patrz na tę staruszkę, leżącą przed nami!... Niema tu jeszcze trumny, ani świec jarzących, niema kadzidła ani pieśni pogrzebowej... a jednak tu już była śmierć...

Tak jest, była... dopiero co wyszła. Jeszcze nie wycisnęła śladów swoich okrutnych, nie zostawiła po sobie tego strasznego napisu, który poeta odczytał w tych dwóch słowach: *Ei fu* (1).

Oto wkoło staruszki są jeszcze wszystkie akcesorya życia. Pod głową leży poduszka ułożona dla wygody śpiącej, głowa pochylona na bok, jakby czegoś przed sobą dojrzeć chciała; jedna ręka na przykryciu rzucona niedbale, druga więcej ku ziemi zwieszona... Twarz biała, czoło jasne, na którym zdają się przebiegać jeszcze myśli albo marzenia śpiącej...

To nie jest jeszcze śmierć... to tylko życie w tej chwili ustało i zrobiła się jakaś pauza dziwna, nieodgadniona, tęsknotą przejmująca!...

Długo wpatrywałam się w ten dziwny obraz między życiem a śmiercią, a powieki moje powoli przymykały się, jakby jakaś niewidzialna siła ciężyła na nich.

I zbudziły się całą potęgą wszystkie marzenia mego życia!.. I przechodziły kolejną około mnie jedne ubrane jak

(1) Był! Początek znaniej ody Manzoni'ego na śmierć Napoleona.
P. R.

muszki złotoskrzydłne, inne jak bratki i jaskier polny!... I widziałam smutne, jednostajne brzegi Horyni, słyszałam głuchy jęk stepów i oczeretów, tęskną dumę mogił ukraińskich!.. Słyszałam gwary pomówek kozackich i dziwny, straszny brzęk stali...

Wszystko to przesuwano się przed memi oczyma i mieszało się razem w jakiś chaos nierozwikłany.

Jasno tylko i wyraźnie stał przedemną obraz leżącej staruszki, obraz śmierci!

I znowu otworzyłam oczy i wpatrywałam się w ten obraz. Cóż ten obraz mówił do mnie?

Ta twarz zmarszczkami okryta mówiła mi, że była kiedyś również jak ja młodą, pełną marzeń i rojeń dziewczyn! Ta twarz była kiedyś podziwiana, adorowana!.. Cóż się teraz z wszystkiego zostało? Gdzie są ci, którzy niegdyś przepadali za temi błękitnymi oczyma, za temi złotymi puklami włosów?..

Oto staruszka sama na obcej ziemi usnęła snem wiecznym, otoczona przyjaciółkami, o których gdy była młodą, nawet nie marzyła! Jedyny, najmłodszy jej krewny przymknął jej powieki?

Czémże jest ta marna przestrzeń czasu, która nas dzieli od dnia pierwszego marzenia naszego do pierwszego zimnego uścisku śmierci?

Czyż godzi się dręczyć po nocach bezsennych, czém tę marną przestrzeń czasu wypełnić? Czyż nie jest to nasz egoizm, że chcemy ją zapełnić najwonnieszymi kwiatami?

Kwiaty zwiędną w uścisku śmierci, zostaną tylko dobre owoce życia!

Czyż nie mniejsza o kwiaty, byle tylko owoc był dobry? A sposobności do dobrych owoców nie braknie żadnemu życiu, choćby było najniebezpieczniejsze!...

Takie myśli nachodziły mnie na widok śmierci, który przedemną się roztaczał.

Powoli cichły te myśli, a dawne, w głębi duszy złożone marzenia, wydobywały się jedne po drugich!

Stały mi przed oczy pierwsze moje pragnienia! Były one czyste i jasne jak fala zdrojowa! Widziałam przez nie aż na dno duszy i cieszyłam się, że tam nie było żadnych mętów!...

I odżył we mnie jeden z najrozkoszniejszych snów moich! Sen, do którego często i zawsze wracam, bo on jedynie karmił dotąd spragnione serce moje!...

A wiesz ty, kochana siostró, który to sen?

Jest to ta sama wizya, która przed rokiem prawie odbiła się w nocy miesięcznej na białych arabeskach franki!.. Jest to ta sama postać, którą wtedy widziałam, postać idącą pod jakąś górę z szatą w tył rozwianą!..

Mój Boże! Rumieniec okrył w tej chwili twarz moją gdy to piszę. Słyszę głos pytający: Cóżes uczyniła z tą wizją, z tym snem złotym?..

Nic nie uczyniłam, kochana siostró. Pozostał tém, czém był: snem, wizją!..

Straszna, okrutna jest ta rzeczywistość! Przy zetknięciu się z nią bledną, nikną wszystkie sny nasze!..

I mój sen zbladł, mocno zbladł!..

Gdym właśnie o nim marzyła, zdawało mi się nagle że widzę tę samą wizję, która wtedy na białych szybach okna narzynała się!..

Przypominam sobie dobrze, że miałam oczy otwarte. Widziałam w głębi twarz pomarszczoną nieboszki, widziałam jęj rękę ku ziemi spuszczoną!..

Mimoto jednak postać owęj wizyi zbliżała się do mnie coraz więcej. Teraz nawet mogłam lepiej widzieć twarz jego, niżeli owęj nocy przed rokiem!... Widziałam twarz dobrze mi znajomą!..

Był smutny i blady, jakby wstał po długiej chorobie.

Nieugaszoném pragnieniem serca przyciągałam go zwolna do siebie... pozwoliłam mu oprzeć się o moje ramiona... i uczułam na ustach gorący, rozkoszny pocałunek!

Kochana siostró! To był pożegnalny pocałunek mego ideału!

Otworzyłam oczy. Przedemną stał pan Alfred i trzymał mnie za rękę.

— Może się uda pani na spoczynek?— rzekł do mnie — zostawmy śmierci, co się jej należy!

— Zostawmy za sobą co już żyć przestało— dodałam bez myśli, i wzięłam podane ramię pana Alfreda!

LXVII.

STEFAN DO NIEZNAJOMEGO.

10 grudnia.

Dziwne rzeczy mam dzisiaj dla ciebie, drogi przyjacielu!

Pierwszy śnieg, który dzisiaj upadł odżywił we mnie rozkoszny sen mego życia. Na takim tle ujrzałem ją przecież po raz pierwszy!..

Wspomnienie to skierowało mimowoli kroki moje pod to okno, do którego odbywam najmiłsze pielgrzymki moje, jak muzułmanin do Mekki!

Zastałem dzisiaj w tych oknach jakiś ruch nadzwyczajny.

Dowiaduję się, że przyjadą!

Wiadomość ta, zamiast mnie ucieszyć, nabawiła mnie dziwnym smutkiem.

Czy to jest zwykła trwoga przed każdą chwilą stanowczą, czy jakie złowrogie przeczucie, które widzi w najbliższej przyszłości coś bardzo smutnego!..

Czuję obawę i smutek i gotuję się na najgorsze. Zresztą, jakikolwiek cios mnie trafi, trafi w ranę już tak obolałą, że jój boleści więcej nie doda!

Przyzwyczailem się w ciągu czasu do największej boleści któraby mnie trafić mogła. Podobny jestem do skazańca, który widzi przed sobą kata i wierzy w śmierć swoją, a jednak gdzieś tam w głębi duszy tli jakaś mała isierka nadziei!..

Otóż ta mała iskierka tylko niepoki i trwoży mnie w téj chwili, bo po tém, com dotąd słyszał i mógł się domyślić, jestem pewny smutnego wyroku!...

12 grudnia.

Bóg czuwał nademną, że mi zwolna, choć boleśnie, odbierał nadzieję. Tak jest, drogi przyjacielu, moje nadzieje są dzisiaj ostatecznie pogrzebane!

Dowiedziałem się od Nereusza, że rzecz trzeba uważać za dokonaną. Jowita zgadza się z życzeniem familii i oddaje rękę panu Alfredowi, spadkobiercy nieboszki marszałkowej.

Więc koniec!

Przyznam ci się, że jest w tém słowie rodzaj jakiegoś rozkoszy cichój, spokojnej!

Koniec, to strzał, który za sobą zaraz ma kulę... to zapadnięcie kurtyny przy łzawym dramacie... to ostatni koziołek spadłego z liny pajaca... to ostatni oddech umierającego na polu żołnierza!..

Zawsze jednak jest to coś dobrego, bo ludzie mówią: „dobrze, że się już skończyło!“...

Nie czuję żalu do nikogo, chyba tylko do téj biednej abstrakcyi, na którą wszyscy się uskarżają, do tego brzydkiego świata, który ugrząsłszy zaraz po potopie w pozostałym błocie, dotąd w niem grzęźnie!.. Cóż bowiem w obec téj zbiorowej potęgi poradzi jeden człowiek, chociażby miał duszę najszlachetniejszą, serce najwznioślejsze?..

Jeżeli więc rzeczywiście jest koniec, to przyjmuję go z rezygnacją...

Ale do końca brakuje mi jeszcze jednej rzeczy.

Muszę ją obaczyć!

15 grudnia.

Dzisiaj w południe siedziałem przed moją sztalugą i szkicowałem na płótnie nowy pomysł do obrazu. Boleść mojej duszy jakoś dziwnie jest produkcyjną. Cisną mi się do głowy najrozmaitsze plany

Otóż wchodzi do mnie... zgadnij kto!.. pan Alfred!

W pierwszej chwili nie umiałem dla siebie wybrać żadnej roli. Adwersarz mój, który całe szczęście moje wziął mi z przed oczu moich, przychodzi do mnie, z grzecznym, gładkim uśmiechem...

Gdybym zamiast palety miał broń nabitą w rękę, możebym bez żadnej myśli, tylko prostym wiedziony instynktem, w łeb mu palnął!

— Spodziewam się—rzekł do mnie—że po wojnie nie ma już nieprzyjaciół!

Zmierzyłem go wzrokiem pogardy, chociaż téj pogardy nie mogłem niczém umotywować. Bo cóż on właściwie zawinił, że był szczęśliwszym odemnie, że urodził się w lepszych odemnie warunkach, aby temu szkaradnemu światu zadość uczynić?...

— Nie wiem — odpowiedziałem z chmurą na czole — jakiej broni używałeś pan w téj wojnie!

Jest broń i są pociski wzbronione nawet w wojnie, prawami narodów...

— Najlepiej na to odpowie panu ta osoba, w której imieniu przychodzi!—odpowiedział spokojnie.

— Nie rozumiem pana — rzekłem zadziwiony.

— Panna Jowita przysyła mnie z bardzo gorącą prośbą!

— Z jaką prośbą?

— Abyś pan temi dniami chciał wymalować jej portret!

— Portret?—powtórzyłem machinalnie, bo z zadziwienia nie mogłem przyjść do siebie.

— Tak jest, portret—odparł spokojnie pan Alfred—
chce mieć tę pamiątkę od pana!....

Stałem długi czas w najwyższém zadziwieniu.

— I ja do jej prośby dołączam moją!—dodał pan Alfred z grzecznością człowieka światowego.

— Portret?—powtarzałem raz po raz bezmyślnie.

— I jeżeli łaska—zakończył pan Alfred—ciotka i Jowita zapraszają pana dzisiaj na herbatę!

Jeszcze dobrze myśli moich pozbierać nie mogłem, gdy pan Alfred wyciągnął do mnie rękę i rzekł:

— Wypełniwszy rozkazy nie zabieram panu drogiego czasu! Człowiek wyższego talentu odpowiedzialny jest za każdą marnie straconą chwilę....

Bez myśli, machinalnie podałem mu rękę. Po długiej chwili poznałem dopiéro, że sam jestem....

Rzuciłem się na krzesło i zacząłem powoli rozmyślać nad tém dziwném zôarzeniem.

Co to wszystko znaczy? Dlaczego mówił pan Alfred, że ona sama mi odpowie? Cóż znaczy ten portret? Dlaczego zaproszono mnie dzisiaj na herbatę?

Były to pytania, na które odpowiedzieć nie umiałem! Najbardziej tentujące było ostatnie. Obaczyć dzisiaj Jowitę, sama myśl jest już rozkoszą!

Ale jakże stanąć przed nią? Czy raczej jakże ona przedemną stanie? Czy w samém spojrzeniu mojem nie wyczyta bolesnego zapytania, nie uczuje srogiego wyrzutu?....

Bądź cobądź, pójdę. Nie zamieniliśmy między sobą pierścionków, ani nawet żadne oficjalne słowo nie stoi między nami!.... A to, co serca sobie mówiły.... czyż to obowiązuje?

Możemy rozmawiać grzecznie, a nawet dowcipnie, jakbyśmy byli sobie najobojętniejszymi!

Czyż to nie dzieje się często w świecie nawet między tymi, którzy oficjalnie sformułowali sobie uczucia swoje?....

.

Godzina 1 po północy.

Kończę list przerwany. Byłem na herbacie u ciotki Jowity.

Jowita wygląda cudownie!....

Zbladła, przychudła, spoważniała....

W jej twarzy jest rys nowy, którego dawniej nie było: jest to rys bólu i przeżytych cierpień....

Mówiła ze mną wiele, ale dosyć zimno i obojętnie. Mówiła zawsze przy świadkach. Była nadzwyczaj grzeczną i uprzedzającą jak dawna, wypróbowana przyjaciółka, która już inną być nie może; ale nie była ową czujną, wiecznie trwożliwą dziewczicą, która zakrywa rumieniec i maskuje szybsze uderzenia serca....

O portret koniecznie nalega, czekam ją jutro w mojej pracowni z ciotką!

Koniec grudnia.

Przed kilkoma dniami o godzinie jedenastej weszła do mnie Jowita z ciotką.

Zrzuciła płaszcz swój, zadziwiłem się!

Była dziwnie ubrana. Miała ubiór długi, fałdzisty, lekko na biodrach ściągnięty, podobny do ubioru z okolic Rzymu. Włosy również podobnie miała utrefione z małym, białym, prawie zwiędłym kwiatkiem niedbale zwieszonym nad uchem.... Na twarzy miała wyraz dziwny, chorobliwy. Usta przybladłe ścisnęła jakby z bólu, którego zdradzać nie chciała, a na czole błyszczał majestat nieugiętej woli i rezygnacji.

Uśmiechnęła się smutno widząc moje zadziwienie, a koryzystając z zatrudnienia ciotki rzekła do mnie:

— Czy tak dobrze będzie?

Po tych słowach spojrzała z uśmiechem na szkic mój „przed sądem” i zaczęła pozować na sposób postawy owej Rzymianki...

Teraz dopiero odgadłem ją!.... Ona chciała pozować jako modell!....

Opuściłem pędzle i paletę i spojrzałem rozrzuwiony w te cudowne, szafirowe oczy, tak jak dawniej patrzyłem...

Zrozumiała to spojrzenie. Trzymała w ręku kwiatek. Teraz oskubała z niego listki a okazując mi nagą łodygę wyszepnęła niby do siebie:

— Tyle mam tylko dzisiaj!

I westchnęła.

— Może lepiej będzie żebyś usiadła—ozwała się ciocia.

— Nie, ciociu, ja tak stać będę—odparła smutno i stanęła w pozie Rzymianki w moim szkicu!....

.
Dwa dni malowałem. Ciotka była zawsze przy nas. Nie wyobrażasz sobie ile bogactwa miałem w tej twarzy!...

Gdy ciotka przeglądaniem drobnych studyów zajęta była rzekłem do niej:

— Chciej mi pani wytłumaczyć ten dziwny wyraz na swojej twarzy, którego dawniej nie było...

— Czyś pan nie kontent z swego modelu?—zapytała z smutnym uśmiechem. Jakiż inny wyraz może mieć Rzymianka w przededniu strasznego wyroku, co ją czeka?....

Obaczyłem łzy w jej oczach.

— Czy ten wyrok jest rzeczywiście tak straszny?—zapytałem.

— Jeżeli przychodzi rozstać się z tém, czém się serce karmi!

— Gdybym wiedział, że ten wyrok narzucony—pojąłem skwapliwie!

— Nie, panie—szybko przerwała—to dobrowolny wybór!

Po tych słowach spoważniała i przybrała wyraz tak spokojny jakby była z marmuru.

Rzeczywiście, tylko tak mogła stać Rzymianka „przed sądem Nerona“!..

Malowałem dalej...

Byłem w téj chwili tylko artystą...

Poświęciłem sztuce wszystko, co miałem najdroższego!..

W kilka dni, gdy właśnie z wykończonego już portretu kopję dla mego obrazu zdejmowałem, wszedł do mnie mój brat Wacław. Był wykwintnie ubrany i miał twarz rozpromienioną.

Po przywitaniu się rzekł do mnie:

— Cóż! czy ożenisz się z szwajcarką? Czterykroć stotysięcy franków, to nie fraszka!

— Wziąłem to za żart z twojej strony — odpowiedziałem smutno.

— A ja myślałem, że wyprawimy dwa wesela równocześnie!

— Dwa wesela? Jakie dwa wesela?

— Bo ja się żenię! Patrz, oto pierścionek mojej narzeczonej a to portret jej!

Na pierścionku były litery i data. Dalej „memu Wacławowi“. Fotografia okazywała młodą, piękną, z nadzwyczajną elegancją ubraną kobietę.

Zdziwiłem się mocno. Wacław patrzył na mnie rozpromieniony jak zwycięzca.

— Któż jest ta osoba?—zapytałem po chwili.

— Podolanka, z bardzo dobrego domu: ma dwakroć.

— Zlituj się! Gdzieś ją poznał? Jakim sposobem ją uchwyciłeś?

— Poznałem ją w kąpielach zagranicznych, a uchwyciłem moją własną filozofią, moim często przez ciebie wyśmianym systemem filozoficznym!...

— Jakaż to filozofia?

— Nic nie robić na świecie, zaciągać długi gdzie można, starać się o zewnętrzny blichtr, nie gardzić żadnym środkiem, którym fortuna do nas uśmiechać się może, a na wędkę wydawać pieniądze, jakbyśmy mieli szkatułę nie wyczerpaną!... *Mundus vult decipi*, mawiał dawny nasz ksiądz proboszcz!...

Zadumałem się głęboko: bolesne uczucie ścisnęło mi serce.

— Ale ty mi nic nie mówisz o sobie — podjął po chwili Wacław. Ja jednak o wszystkiem słyszałem! Szkoda, wielka szkoda, że ci się nie poszczęściło! Ma być bardzo ładna i bogata! Szkoda!

Wskazałem na jej portret. Wacław wpatrywał się długo i nie mógł słów znaleźć unosząc się nad pięknością portretu. Potém zamyślił się, i zaczął chodzić po pokoju.

— Żle, bardzo źle zrobiłeś! — mówił do mnie z politowaniem — mówiłem ci, nie trzeba się chwytać żadnej roboty! Kto tylko co robi i to za pieniądze, ten już przepadł w tej mierze u nas w oczach pewnej warstwy!.. Po co ci było malować obrazy?.. Mogłeś się podobać i tak, i szczęście zrobić!.. Najgorzejś sobie zaszkodził, żeś kilka obrazów swoich tu sprzedawał!..

— Pieniądze za nie posłałem tobie, gdyś był w niebezpieczeństwie życia! — odrzekłem z boleścią.

— Toś źle zrobił! Lepiej było te kilkaset franków pożyczyć u jakiego głupca, który jeszcze wierzy, że pożyczone pieniądze oddają się, jak za dobrych, patryarchalnych czasów!..

Zamyśliłem się głęboko nad tą dziwną filozofią życia, której jednak lepiej powodzi się od mojej!..

Ale po chwili wyprostowałem się i zdawało mi się, że w całym nieszczęściu mojem jestem wyższy od tych szczęśliwców o całe niebo!..

A nawet w sercu w tej chwili nie zazdrościłem im tego szczęścia!..

Brat mój chodził ciągle po pokoju jakby nad czémś przemyślał. Wreszcie stanął i ozwał się:

— Sądzę, że sprawy nie powinieneś uważać za przegraną. Ładna i bogata. To rzadko się trafia. Trzeba o nią jeszcze walczyć!.. Mogę ci nawet podać broń wyborną!

Więcej z ciekawości niżeli w rzeczywistym zamiarze podjęcia walki spojrzałem na Wacława z zapytaniem.

— Z Alfredem—mówił tenże—byliśmy w różnych stosunkach. W pewnym względzie postąpił on sobie, między nami dosyć hazardownie. Mam na to list jego jako dokument. List ten kosztował go wiele. Mogę dla ciebie zrobić ofiarę. Masz go tutaj. Idź i okaż go pannie, a rzecz może się rozerwać....

Z ciekawości wziąłem list i zacząłem czytać.

Smutno, bardzo smutno mi było. List ten traktował nader brzydką, brudną sprawę. Rzucała one haniebne światło na charakter narzeczonego Jowity. Odsłaniał go z téj strony, o jakiej nawet wyobrażenia nie mogła mieć biedna narzeczonka!.. List ten mógł rzeczywiście wszystko rozerwać!..

Nie umiem opisać, jakie uczucie owładnęło mnie w téj chwili. Czy to była czysta, bezinteresowna obawa o los niewinnej kobiety, która o szczęściu marzyła, czy wrodzone sercu naszemu pragnienie, aby odebrać to, co niejako już jego własnością było; czy wreszcie ukryta żąda zemsty i piekielnej zazdrości, aby wśród gotującego się wesela z szyderskim krzykiem wpaść między biesiadników i roztluc im przytknięte do ust puhary?... Nie wiem! Dosyć, że postanowiłem w téj chwili zrobić użytek z tego listu i natychmiast udałem się do Jowity...

Na korytarzu zastałem różne paki. Przedpokój był otworzony. Leżały tam także paki. Wnosiłem ztąd, że mieszkańcy gotują się do odjazdu....

Z przedpokoju prowadziły do salonu drzwi szklanne. Dawniej były osłonięte białą firanką. Dzisiaj już téj firanki nie było. Zajrzałem przez szyby do salonu...

W głębi salonu obaczyłem dwie postacie: była to Jowita i Alfred.

Alfred siedział i przewracał w jakimś albumie a Jowita stała przy nim i ręką jedną dotykała się jego ramienia....

Był to cudowny obraz. Zdawało mi się że widzę anioła-stróża około grzesznego człowieka....

I dziwne uczucie owładnęło mnie. Zapytałem sam siebie:

W jakim celu przyszedłem tutaj? Czy broń, jakiej chcę użyć jest szlachetna? Jakież będzie jój skutek? Czy Jowita weźmie to za przysługę przyjaciela, czy za poziomą zemstę? Na cóżby jój ta przysługa się przydała? Wszak wybrała sama, miała zapewne ważne do tego powody. Może nie chciała widzieć ciemniejszej strony, może widziała i pobłażyła?... A gdyby nawet list ten rozerwał wszystko, czyż niemożnaby mnie wtedy posądzić o pobudki egoistyczne?...

Stałem niejakiś czas w ciemnym przedpokoju i zdawało mi się, że już żywym nie wyjdę, że skamienieję w posąg kamienny!...

Wreszcie odetchnąłem głęboko, a myśl jaśniejsza błysła mi przed oczyma. Rzekłem do siebie:

— Nie, tych dwojga ludzi nie mogę rozerwać w ten sposób. Byłby to sposób nieszlachetny. A zresztą, któż może odgadnąć, dlaczego właśnie takimi drogami prowadzi Bóg ludzi z idealniejszym pragnieniem duszy? Może właśnie ten brzydki człowiek potrzebował tak idealnej kobiety, aby go choć trochę z jego błota podniosła?....

....Czy go podniesie do swoich wyżyn, czy razem z nim upadnie?... to właśnie należy do dalszej historii jój życia!....

....W najlepszym razie, będzie to zawsze piękna, wzniosła—tragedya!...

....Będzie to walka dobrego ze złem...

....Świat zły to *fatum* starożytne dla każdego ideału!

....Upadający pod brzemieniem walki bohater upada, ale z wieniec na głowie!

.

Odszedłem z przedpokoju, list podarłem i rzuciłem na schody!

Za dwa dni wyjechała ciotka z Jowitą do Horynina. Tam ma się odbyć wesele.

Pan Alfred dla różnych sprawunków wyjechał do Paryża.

Na drugi dzień otrzymałem pocztą list z pieniędzmi. Było paseset talarów. Otworzyłem i przeczytałem podpis ciotki Jowity. List był grzeczny, pieniądze za portret!

Nie było w tém nic dziwnego, jednak był to dla mnie cios najboleśniejszy!...

Pojałem, czém właściwie dla świata poziomego jestem! Czy może być inaczej?...

Pieniądze za portret Jowity paliły mnie. Był to cios wymierzony w drogi mój ideał!...

Lecz któż w tém winien?... Nie, tu nikt nie winien, winę weźmie chyba na siebie znowu ta okrzyczana tyle razy abstrakcja, którą „światem” nazywamy!...

Wyszedłem na ulicę. Chciałem rozerwać umysł mój zachmurzony.

Spotyka mnie jakiś biedny człowiek. Ręce drżą mu od zimna, w oczach ma łzy.

— Panie—woła na mnie zdaleka—pan znasz zapewnie pana Alfreda,*** widziałem go z panem!

— Na cóż panu téj wiadomości?—zapytałem.

— Odjechał, uciekł po prostu, a ja mu dałem jedyne moje pieniądze! Mam pięcioro dzieci, jestem nieszczęśliwy!...

Stałem na chwilę przy biednym niemcu a myśl dziwna przyszła mi do głowy.

— Masz skrypt?—zapytałem.

— Nie, panie, list tylko!—odpowiedział z rozpaczą.

Wstąpiłem do cukierni, przeczytałem list, sprawdziłem podpis, wypłaciłem niemcowi i kazałem na liście zakwitować.

Teraz odetchnąłem swobodnie. Pozbyłem się pieniędzy, które mnie piekły. Pochodziły one z tego samego źródła, na którym ciążył także ten dług listowy!...

Za dwa tygodnie porzucę to miasto, w którym odbył się mój pierwszy i ostatni romans w sposób tak dziwny!... Wyjadę do Paryża.

LXVIII.

Paryż, 20 stycznia.

Za list twój i za pociechę przyjacielską serdecznie ci dziękuję. Uspokoilem się, tylko czasem mi przykro, gdy się ludzie około mnie za wiele śmieją... Czuję, że w głębi duszy tkwi jakiś cierni, ale nie przeszkadza mi w codzienniej pracy mojej. Pracuję wiele. Obraz mój „Przed Sądem” bardzo mi się podoba!...

Słusznie mówisz, że boleść życia wydaje dobre owoce. Być może, że każdy talent potrzebuje takiej boleści życia, jaką przejmowali się pierwsi wyznawcy Chrystusa, tworząc dzieła wiekopomne...

Nie rozumiem pod tém ascetyzmu, który tylko duszę ziębi i serce wysusza, ale pewną rozsądną powściągliwość od świata zewnętrznego, która nam siły nasze wykrada!...

Otóż ten spokój, tak potrzebny do tworzenia, mam dzisiaj. Do świata nie przychodzę z żadną gorączką, nie pragnę od niego tego, co mi odebrał, a jedyném szczęściem mojem będzie, jeśli z mojej zranionej duszy wysnuję i dam mu to, czego on nie ma!...

Wczoraj byłem w *bois de Bulogne*. Dzień był piękny. Mnóstwo ekwipażów przesuwalo się przedemną.

Jeden ekwipażyk zwrócił uwagę moich towarzyszy. Młody człowiek siedział w nim z jakąś damą, dosyć excen-trycznie ubraną.

— Ach!—zawołał mój towarzysz — pan Alfred i Mlle Caelestine!

— Czy wiesz gdzie mieszka pan Alfred — zapytałem skwapliwie.

— *Hôtel de Louvre!*

Nazajutrz zapukałem do drzwi pana Alfreda.

— Mam panu to oddać — rzekłem podając mu list jego z pokwitowaniem kilkustu talarów.

Pan Alfred przeczytał i zaczerwienił się.

— Czy mogę zapytać — ozwał się nieśmiało — z jakiego źródła były te oddane pieniądze?

— Z tego samego co i posag panny Jowity. Miałem je od ciotki.

Pan Alfred zarumienił się jeszcze więcej. Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Nie objął jeszcze myślą tego faktu, a lękał się czegoś, co mogło być poza tém...

— Kiedy pan odjeżdżasz do Horynina — zapytałem chłodno.

Patrzył na mnie chwilę i odrzekł:

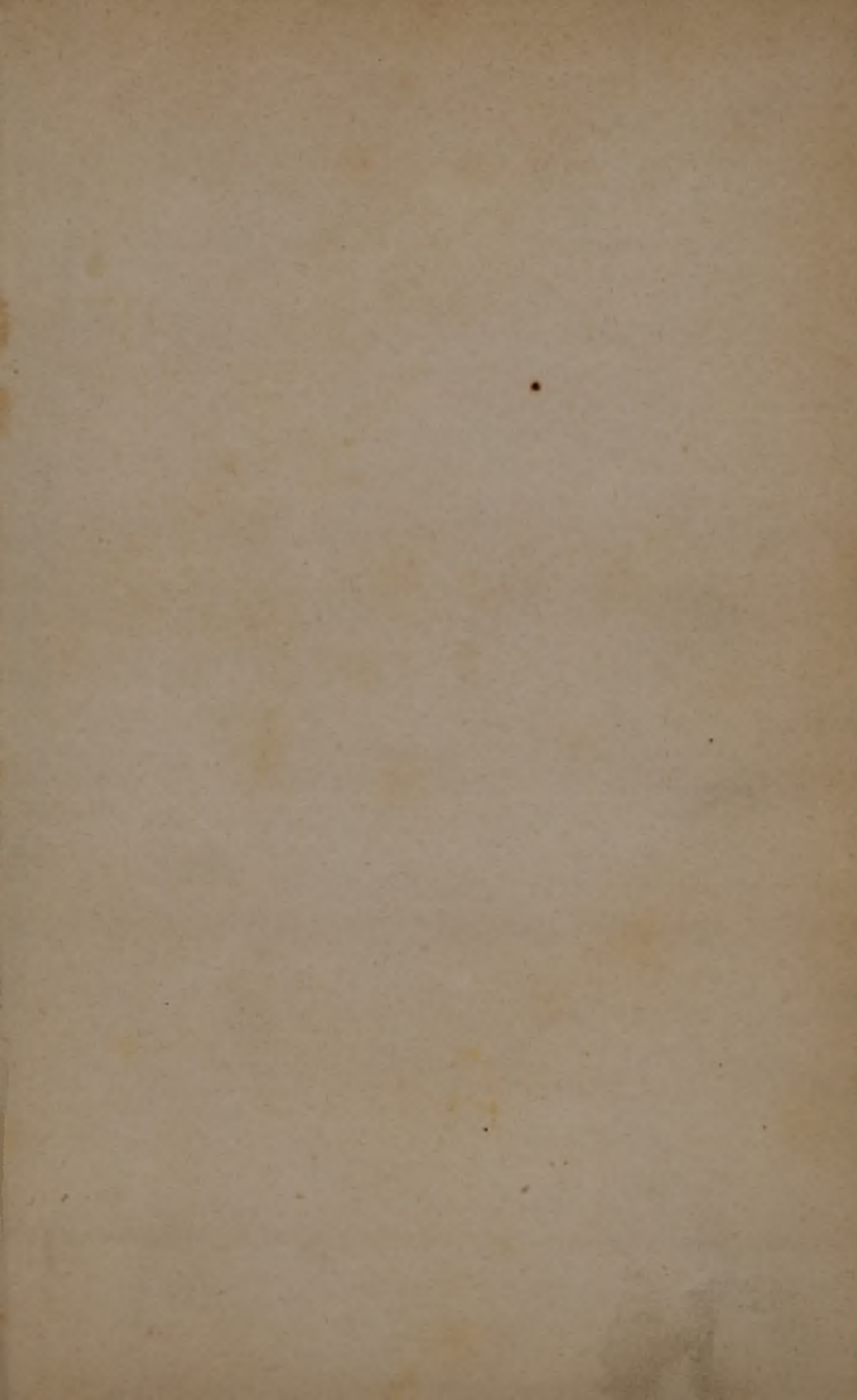
— Jutro!

Nazajutrz przechodząc około hotelu zapytałem o pana Alfreda:

Wyjechał rzeczywiście.

Listopad. 1868.





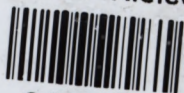
60

209/17

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

101258

Biblioteka WSP Kielce



0160904